

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



LUCJAN SIEMIENSKI

**PODANIA I LEGENDY
POLSKIE, RUSKIE I
LITEWSKIE**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Kilka słów o ważności podań ludowych

I

Stary świat pogański przeminał; na jego miejscu powstała nowa wiara, poważna, tkliwa, pełna szczytnych tajemnic i szczytniejszych nadziei. Z nią zstąpiło w serce człowieka mnóstwo uczuć nie znanych starożytnym: jako to: święta gorliwość wiary, poświęcenie się, szlachetny zapal wolności, miłość, miłosierdzie, przebaczenie krzywd i uraz. Pod takimi wpływami zrodziła się poezja lepiej zastosowana do potrzeb chrześcijaństwa, poezja mająca także swoje mity i podania. Przez długi czas nowe to źródło natchnień zaniedbanym było przez umników wszelkiego rodzaju; pobożną i tkliwą legendę zostawiano tylko starym babom i dzieciom, jakby niegodną dostojniejszych uszu; podanie miejscowe o olbrzymach, duchach pokutujących itp. odrzucał poważny historyk jako nie przypadające do miary jego pojęć i poszukiwań. Zgoła, z biegiem czasu, z wzrastającym duchem dociekania i rozbiorowości psuła się owa szczytna prostota wiary, która tylu rozkoszy była źródłem, a bez której nie masz i być nie może prawdziwej poezji.

Poezja bowiem każdego okresu składa się zwykle z dwóch głównych żywiołów: ze szczerzej wiary i wyobraźni człowieka, który wierzy w to, co opowiada i z wiary szczerzej ludzi z czystym uczuciem, którzy wierzą w to, co im opowiadany jest. Za granicami tej ufności i wspólnego pojęcia, gdzie się zbiegają harmonijne organizacje, poezja jest tylko czczym słowem, tylko sztuką jałową składania wierszy. Dlatego poezja w znaczeniu prostym i pierwotnym tego wyrazu nie istnieje dziś prawie, tylko między gminem, który sam jeden jest panem potrzebnych do niej warunków. Chcesz się z nią bliżej zapoznać, musisz szperać po starych księgach pisanych przez ludzi gorącej wiary i prostego ducha, albo też zasiąść w kole wieśniaczym. Tam to jeszcze krążą tkliwe i urocze podania, których powadze nikt się nie ośmieli zaprzeczyć, a które z pokolenia na pokolenie przechodzą jak puścizna w nieomylnym i poważnym słowie starców. Tam żadnej wziętości nie mogą mieć szydercze zarzuty zarozumiałych mędrków, dla których dociekań wiecznie są zamknięte tajemnice duchowo, bo aczkolwiek zdają się gonić za prawdą, zdobywają same tylko wątpliwości.

Klechda, podanie, legenda nie może przypuszczać żadnej rozprawy ani krytyki, tarcza bowiem głębokiej wiary odbija pociski wymagań rozumowych, jak i wgardliwej filozofii; utwory te ludowe nie są zmuszone zamykać się w obrębach zwykłego prawdopodobieństwa, nawet w obrębach możliwości; bo to, co nie jest dziś możliwym, bez wątpienia było nim za dawnych czasów, kiedy świat młodszy i niewinniejszy zasługiwał, aby Bóg robił dla niego cuda, kiedy anieli i święci bez ubliżenia swej niebiańskiej dostojności mieszały się z ludem prostym i czystym, który dzielił swój żywot między pracą dnia każdego i pełnienia świętych powinności.

II

Najniebezpieczniejszym nieprzyjacielem klechdy, podania, pieśni gminnej, zgoła wszelkiej wiary jest (a ułamkowa cywilizacja stanów wyższych przeciskająca się do ludu; ona mu bowiem za odsłonięcie kilku materialnych ulepszeń i celów odbiera szeroki świat duchowy, z którym wieśniak w ściślejszych zostawał stosunkach niż najwybijalszy filozof. Najlepiej o tym przekonamy się z doświadczenia na ludzie w ogólności, jeżeli rozważymy, jakim jest w krajach, gdzie go pewna oświata owionęła, a jakim w tych, gdzie przy

dawnych swoich wyobrażeniach pozostał? Oto w pierwszych - stracił bardzo wiele z swojej prostoty, z swej świadomości duchowej, ze swojej poezji; piosenek, którymi od wieków odzywały się jego lasy i pola, dziś wstydzi się śpiewać jako zbyt prostackich; w powieść, którą opowiada, nie wierzy i nie gniewa się, gdy ktoś ją wyśmiewa: zgoła, zamieniwszy wszystkie skarby uczuciowe na zyski materialne, staje się bardziej kosmopolitą i wszystko mu jedno, czy przewracać ziemię w przedpotopowych lasach nowego świata, czy na besarabskim stepie. Ta półcywilizacja odejmuje ową woń niewinności, owe szczytną prostotę właściwą plemionom, co pielęgnuje nie wygasłe ognisko wiary; i patrzmy tam, gdzie jeszcze nie dosięgła, pojawiają się niezmiernie materiały, z których dłoń twórczego geniuszu może wznieść budowę społeczną o wiele spanialszą nad wszystkie mrzonki nowoczesnych socjalistów. Rozumiem tu głównie lud w naszych polskich ziemiach tak ruski, jak litewski. Dzisiaj jest on takim jeszcze, jakim był przed tysiącem i więcej lat. Religia chrześcijańska podciągnęła tylko jego wyobrażenia pod jeden wielki system domowy, społeczny i polityczny, a bynajmniej nie zniszczyła dawnych podań, ale wytłumaczyła je i uzupełniła, co właśnie, jak się wyraża Mickiewicz, stanowi jej charakter postępu. Wiadome powszechnie, że między dogmatami chrześcijaństwa a dogmatami pogańskimi jest związek.*

Religia chrześcijańska nie zniosła ofiary, tylko wykryła jej znaczenie, nie odrzuciła pojęcia pierwiastków złego i dobrego, tylko objaśniła ich stosunek, łączyła się przeto z najistotniejszymi zasadami wiary pogan.

III

Sądzę, że źle ci robią, którzy za nic poczytując tę samorodną cywilizację ludu, gardzą nią jako przesądem lub zabobonem i gwałtem mu narzucają formy społeczeństwa zachodniego, które jak to dobrze dziś czujemy, opierają się na dość niegruntownych podstawach, gdyż lada system, lada wypadek, wstrząsa je i obala. Daleko ważniejszym zadaniem byłoby, miasto przewracać zbutwiałe karty przeszłości, z których nie może nic żywotnego się wysnuć, czytać w otwartej księdze ludu; zbadać jego życie wewnętrzne (zewnątrznym, to jest politycznym, dotąd nie żył) we wszystkich korzeniach i gałęziach tego tajemniczego drzewa i znaleźć klucz do jego serca, które dotąd jeszcze się nie otwarło i nie otworzy nawet za obiecane złote góry. W przedmiocie tym najjaśniej i najgłębiej wypisał się autor rozprawy *O górach tatrańskich* umieszczonej w piśmie czasowym „Rok 1844” na miesiąc wrzesień posz[yt] IX, do niej więc odsyłam; tam znajdzie się i podział tej pracy, i wytknięte jej cele. To jeszcze natracę, że przedsięwzięcie to, tak pod względem użytku publicznego, jak literackiej zasługi, przyniosłoby tysiąckroć ważniejsze korzyści niż ogłaszanie zdań pseudopostępowych, niż wertowanie starych broszur lub paszkwili i karykatur różnocznych, z których pan Maciejowski odgadywał przeszłość polskiego i ruskiego narodu. Nie za stolikiem, to z piórkami i okularami, nie nad stosem szpargałów przychodzi się do odkrycia nowych prawd lub światów; Kolumb mógł z niektórych wieści od islandzkich żeglarzy domyślać się o istnieniu nieznannej ziemi, ale byłby jej nigdy nie odkrył, bez spuszczenia się na wiatr i losy, bez poświęcenia swej osoby nie-pcwnościom morza. Nie przeczę, że w pracach tego rodzaju potrzebne są gruntowne i głębokie wiadomości, ale tylko jako środek, i to podrzędny. Przykład Chodakowskiego wielu w tym względzie poruszył, ale wszyscy cząstkowie działali tylko w tym nowym dla siebie żywiole; ci do pieśni, owi do klechdy, inni do strojów i zwyczajów ludu, a nikt jeszcze nie objął jednej prowincji jednego plemienia** ze wszystkimi zwyczajami, wyobrażeniami, pieśniami, muzyką, tańcami, przysłowiami, podaniami miejscowymi, tajemnicami lekarskimi, z nauką astronomii, historią naturalną (ludową) i innymi gałęziami świata umysłowego. Taki opis zaspokajałby potrzebę naszą; uczyłby szanować tę istotę, która acz stoi na

najniższym szczeblu społeczeństwa, przechowała może w swym łonie pierwotne objawienie i najdawniejsze tradycje.

IV

Wykładając wysokie zasługi wyniknąć mogące z pracy tego rodzaju, nie przeczę, że na to potrzeba nie lada odwagi, nie lada siły moralnej, a nade wszystko szczytnej miłości i prostoty duszy; gdyż bez ostatnich warunków niepodobną jest rzeczą dostać się do tajemnic gminu. Chciawszy doznać wzajemności, należy takim stanąć w oczach wieśniaka, jakim on jest sam; z tą wiarą, z tym prostym czuciem, bez żadnej spekulacji ani podejścia. To bowiem, co ma służyć za przyszły żywioł, za tkankę wysokich przeznaczeń, nie powinno być użyte na karb dumy autorskiej lub dla nasycenia próżnej ciekawości. Wieśniak nasz jakby ostrzegany przecuciem, że kwiat jego uczuć, popadłszy się w ręce nie poświęcone, utracą woń swą i barwy, ma się ciągle na baczeniu i niełatwo przed pierwszym lepszym tajemnicze słowo uroni lub pieśń odśpiewa. Najlepiej to wiedzą ci, co przestawali z ludem i chcieli zeń coś wyciągnąć***. Powiadał mi pewien, iż mając na myśli podanie podgórskie pytał we wsi, czy tu nie ma kogo, co by umiał opowiadać bajki? Wskazano mu jakiegoś starca. - Poznawszy się z nim, częstuję go kieliszkiem, mówi grzecznie, w końcu nakręca do podań miejscowych i klechd. Starzec ujęty zaczął opowiadać - myślicie, że klechdy i podania? Bynajmniej - zbył go jakimiś tłustymi anegdotami. - Inny znowu na Litwie nie mógł się doprosić pieśni u pewnego starca; dopiero kiedy raz podochoceni chłopcy zaczęli wyśpiewywać wszeteczne piosenki, starzec ów przejęty zgrozą obrócił się do zbieracza pieśni i zawołał: - Za moich młodych lat nie znano piosnek, jakie ta znikczemniona młodzież śpiewa, ale takie tylko śpiewano - i zawiódł precudną dumę, sięgającą Bóg wie, jak głębokiej przeszłości Litwy. Wieśniak otoczony nieprzyjaznymi sobie żywiołami, ciśniony obca cywilizacją, broni swych płodów duchowych jak największej świętości, jakby bronił krzyża ze znakiem Zbawiciela, gdyby świętokradca przyszedł go wywracać. Co więcej, ma on swoje pewniki i prawa, które my nazywamy przesądem lub zabobonem, lecz bardzo fałszywie; albowiem są to prawdy uświęcone starym bardzo doświadczeniem, a utrzymujące się w postaci przysłowia lub przypowieści; do liczby takich prawd należy i ta, aby strzec swoich tajemnic jak oka w głowie, inaczej, rozpowszechnione tracą na swej mocy i potędze. Wiemy, jak trudno wydobyć jaki środek lekarski od chłopca, który go zbawiennie używa; w jego bowiem przekonaniu nie należy się zwierzać dla nasycenia czyjejś ciekawości, ale tylko pod uroczystą przysięgą, często na łożu śmierci, jak to ojcowie synom swoim czynić zwykli. Taką to ostrożność okazuje wieśniak w udzielaniu wszystkiego, w co wierzy; przeciwnie tam, gdzie za pierwszym słowem prawi, co ślina do ust przyniesie, gdzie pomiesza świeckie i obce wiadomości ze swymi własnymi, tam nie wierz jego bredniom, bo już uronił na zawsze tajemniczy kwiat paproci, który mu odkrywał wszystkie skarby.

Na dowód powyższych mych twierdzeń przypominam tu Staszica, który wyraźnie mówi w *Ziemioródtwie gór karpackich*, jak trudno było mu co wydobyć od górali, mianowicie o owych talizmanach gdzie nazwiska perskie, Amschapsans i Bachman, wspomniane były. Takie jedno odkrycie wyświeciłoby może lepiej nasze pochodzenie, nasze dawne stosunki, niż tylokrotne dociekania z pisarzów obcych, których stopa nigdy nie zbłądziła na polską ziemię; ucho nigdy dźwięku słowiańskiej nie słyszało mowy.

V

Z drugiej strony wszedłszy z ludem w duchowy stosunek, przypuszczeni zostajemy do wspólnego z nim dziedzictwa, wchodzimy do tej jaskini istniejącej w podaniu, gdzie możemy garściami podnosić drogie kamienie i złoto, i byle się nie obracać poza siebie,

byle nie mieć na myśli zdrady przeciw duchowi zostającemu na straży. Tak jest, wszedłszy raz do tej jaskini podań, klechd, pieśni, uczuć i wyobrażeń, nie wolno nam obracać się na ten świat drugi, gdzie życie nagięło się tylko do konwencjonalizmu, do kształtów zmysłowych, gdzie rozbiorowość, a razem konieczny jej wypadek - wątpliwość lub zaprzeczenie, zajęły miejsce silnej wiary i żywej poezji, bez których ludzkość nigdy nie jest w stanie ani podnieść się wysoko na drodze postępu, ani tworzyć dzieł przynoszących nieśmiertelność. - O, tylko spytajmy tych, co mieli szczęście rozmawiać z ludem, a raczej wyciągnąć z niego jaki nowy materiał, ile doznali rozkoszy wewnętrznej; jak ich pojęcia przeczyściły się zaraz, jak wszelkie dotychczasowe przypuszczenia nabrały przekonującej pewności; Chodakowski odkrywając jakieś zapomniane uroczysko lub horo-dyszcze, dowiedziawszy się o jakimś obrzędzie, jak po nici Ariadny odkrywa przejścia labiryntów dziejowych i nie posiada się w uniesieniu; Narbutt za odśpiewaną sobie piosnkę *Mileńka Lietwa* oddaje Litwinowi w zapale zegarek, bo z niej wionął zaraz duch ożywczy na tę przeszłość, za którą marnie ścigał po martwych kronikarzach. Drobnie to tylko przykłady; bo i usiłowania dotąd były drobne. Najznamienitsze jednak dotąd zasługi oprócz Chodakowskiego i w części Wójcickiego położył pan Izopolski, o ile mogą wnosić z urywków jego umieszczonych w „Athenaeum”. Od lat wielu szukał on po Ukrainie pieśni, podań, zwyczajów, obrzędów itp., wygotował obszerne dzieło, które nie wiem dlaczego, gdy tyle ramot się pojawia, notąd tylko ułamkami i wyjątkami nas dochodzi. Zajrzyjmy do niego, co mówi o Ukraińcu, kiedy ci pierś swoją otworzy:

Wszystkie pamiątki żywe obudzają uczucia w Ukraińcu, a oko jego, jakkolwiek z nimi jest oswojone, zawsze jednak zasępia się tęsknym uczuciem, gdy mu zwrócisz uwagę na te resztki przeszłości, w której żyje Ukrainiec, którą się pyszni i szczyci; i kto go tylko zdoła zniewolić dla siebie, komu on poufa, temu odśpiewa wszystkie pieśni, jakie umie o dawnych czasach, mieszając te razem z miłosnymi, hulackimi i tym podobnymi; opowie znane sobie powieści o zdarzeniach i bohaterach, w których cześć swą doci tych powieści i pamiątek zakończy tą tęskną myślą: tak kiedyś było! - Słyszac te wyrazy, gdy je Ukrainiec z całym rozrzewnieniem wymawia, widzac jego oczy na pół wzniesione do nieba, na pół jakby pamiątkami przeszłości olśnione; jego prawą rękę na piersiach złożoną lub splątaną na głowie w gęstych włosach; jego na koniec wyraz twarzy i poruszenie głowy malujące żywy obraz uczuć serca, nie możesz nie westchnąć i nie podzielić jego tęsknoty za przeszłością.

Taki to obraz wywnętrzającego się syna stepu podaje nam p. Izopolski; zobaczymyż, co mówi o góralu tatrzańskim pan Zejszner (Biblioteka [Warszawska] 1844. Lipiec):

Powieści opowiadają Podhalanie wielce dramatycznie. Zdaje się, jakoby tych zdarzeń byli naoczni świadkami. Ich twarze i cała postać przybiera wtedy wyraz to podziwienia, to żalu, to smutku; w dali jednak przebija się, jakby spoza obłoką, wyraz prawdy ostrzegającej, że to są piękne uludzenia, bez rzeczywistości, których sprawdzenia życzyć by sobie warto.

Ukraińca tęskny żal za piękną przeszłością, Podhalana pragnienie, aby się te złote rojeńnia sprawdziły, są jakby przecuciem tej jasnej drogi, po której mamy dążyć do odrodzenia w postępie, czyli przechodzić z wysokiego wykształcenia form do również wysokiego wykształcenia ducha, już to stając się prostymi, wierzącymi, jak ten lud wielki w swej niewinności i ciemności, już to na tejże drodze, używając mu zasobów naszego doświadczenia i odkryć na polu nauk i życia społecznego.

VI

Z tych krótkich napomknień o ważności badań nad naszym ludem, jako też o trudnościach towarzyszących podobnym przedsięwzięciom, przystępuję do pomówienia kilku słów o niniejszym zbiorze podań i legend wykonanym przeze mnie. Nie roszczę sobie bynajmniej prawa do tak wysokiej zasługi, jaką wskazałem tym, co się poświęca doskonałemu zgłębieniu jakiej części kraju, pod względem badań nad światem umysłowym ludu, wykonałem tylko bardzo małą cząstkę tego wielkiego i pracowitego zadania, zbierając same podania, czyli tradycje miejscowe; już to odnoszące się do pomników, jak: mogiły, zamki, kamienie, już do miejsc, jak: jeziora, rzeki, lasy, góry, jaskinie; także do osób historycznych; do legend kościelnych przechowywanych w jakiej pamiętce - następnie też i do wyobrażeń dziś istniejących o nadzwyczajnych istotach, czarownicach, diabłach, wilkołakach itp. Wszystko, co tylko mogło mnie dojść z drukowanych źródeł, użyłem na ten cel; mianowicie zaś z Klechd p. Wójcickiego i ze *Wspomnień Wielkopolski* p. E. Raczyńskiego, aczkolwiek w ostatnie to dzieło wpłynęło wiele podań pióra znanego poety Berwińskiego i artykułów umieszczonych w „Przyjacielu Ludu”. Wiele podań dostarczyły mi kroniki nasze; a legend - żywoty świętych; znaczna jednakże część doszła mnie z ustnych opowiadań, bądź wprost od ludu, bądź od osób, które przypadkowo lub z umysłu przyszły do posiadania onychże. Zwracam tu uwagę czytelnika, że do zbioru niniejszego nie przyjąłem tak zwanych klechd czyli bajek; ten rodzaj bowiem utworów gminu należy do innego działu. Podanie właściwe trzyma się albo pewnego miejsca, albo też nosi na sobie cechę pewnej rzeczywistości historycznej lub pochodzenia z czasów pogańskich, gdy przeciwnie klechda, swobodna jak wietrzyk, jest czystą igraszką fantazji lubującej się w pewnych obrazach i przedmiotach, a mianowicie w postaciach bohaterskich. Lud do niej nie przywiązuje tej religijnej wiary, jaką ma często w podanie; tym ona jest dla niego, czym dla nas romanse rycerskie lub powieści Hofmana. Niewypowiedzianej wartości byłby zbiór takich klechd, ale z koniecznym rozgatunkowaniem i oddzieleniem tych, które się z *Tysiąca Nocy* nasnuły. Z tego powodu niech się kto nie dziwi, dlaczego zbiór mój nie zawiera wiele więcej nad 150 podań - albowiem wiążąc się do pewnych miejsc, nie są tak łatwe do zebrania, jak klechdy lub pieśni; a co największa, że od lat wielu nie mając sposobności oddać się temu rodzajowi pracy, musiałem albo poprzestać na tych podaniach, które miałem nie ogłoszone w moim zbiorze, albo korzystać z uprzejmości osób posiadających takowe. Z tym wszystkim zamiar mój zbierania ich dalej, tak z dzieł ogłaszanych drukiem, jak z własnych poszukiwań, nie ustaje z wydaniem niniejszego dzieła; mam bowiem to przekonanie, że liczba podań ogromną jest w naszym kraju, a mianowicie w Krakowskim i na Litwie. Ostatnie szczególnie odznaczają się nieporównanym urokiem poetyckim i wyraźnie czuć się w nich daje, że pogańska przeszłość Litwy nie jest zbyt jeszcze odległą. Namienić tu muszę mimochodem o niektórych podaniach zasłyszanych przeze mnie, lecz tylko urywkowo lub niedokładnie. Warto, aby osoby, którym będą przystępne, postarały się o zebranie onych i ogłoszenie drukiem. I tak: w Krakowskim krąży powieść o królewnie, która nie chciała iść za męża, lecz gdy na nią nalegano, odrzekła, że ten będzie jej mężem, którego znajdą jedzącego na żelaznym stole; dworzanie wyszli szukać takiego człowieka i znaleźli rolnika w polu jedzącego obiad na żelaznym lemieszu. Zdarzenie to przypomina podanie o Libuszy. Znowu: olbrzymka wyszedłszy w pole znalazła wieśniaka orzącego wołmi, wzięła go więc, a myśląc, że to jaki osobliwy robak, przyniosła pokazać ojcu; lecz ten ją zgromił mówiąc, że bez tych robaków poumieralibyśmy z głodu. Podobne podanie słyszałem w Wogezach. Na Pobereżu opowiadano mi o Sołodywym Buniu, który miał tak ogromne brwi, że kiedy chciał popatrzeć, musiano mu dawać pod nie podpórki. O tymże samym Buniu jest dokładna powieść w kromce znajdującej się w archiwach konsystorza we Lwowie. Wnoszę, że w tej osobie przechowała się pamięć połowieckiego wodza, Boniaka.

W Górninie w Wielkopolsce, gdzie pokazuje szczątki dawnego zamczyska, który miał należeć do króla Przemysława, rozповідаją o białej niewieście, pojawiającej się zwykle w południe z pękiem kluczy. Jest że to pamiątka Ludgardy żyjąca w tym podaniu?

Na każdym prawie miejscu można znaleźć plon mniej więcej okwity, byle chęć mieć ku temu i nie ważyć lekce podobnych pamiątek. Nie licząc już innych stąd korzyści dla badaczy i poetów, każda okolica nabiera więcej powabu, jeżeli głośnym się stanie podanie o niej. Ktokolwiek zwiedzał nadreńskie zamki i zwaliska, ten przyzna, że największy swój urok winny romantycznym podaniom, które po ustąpieniu dawnych rycerzy same teraz z wijącym się bluszczem udzielnie w tych sokolich gniazdach panują i odmładzają myślą żywotną milczące i ponure głązy.

*

Nie można twierdzić, aby przy gorliwości pierwszych apostołów chrześcijańskich religia łamała sił: do wyobrażeń pogan, jak to utrzymują niektórzy; raczej przyjąć należy, że w bezduszne formy wier pierwotnych wstępował duch chrześcijański ożywiał je. Liczne tego mamy dowody: na Ukrainie obrzęd Kupajła zeszedł się z św. Janem Chrzcicielem, którego zowią Iwan Kupajło; toż samo o Kolladzie i Pałykopie, z których pierwsza przypada na Boże Narodzenie, drugi na dzień 27 lipca, kiedy Kościół obchodzi św. Pantelemona. Na Żmudzi także się modła do Perkunateli, czyli do Najświętszej Panny nazywanej u nich Panna Maria Perkunatele. W Poładze, jak mówi ks. Incewicz, gdzie jest góra Biruly, lud odbywa pobożne pielgrzymki i uznaje ją za świętą i właśnie kiedy zwiedzał tę górę, postrzegł wieśniaczkę chodzącą na kolanach około krzyża; gdy ją spytał, dlaczego się modli? Odrzekła: w czasie mojej choroby uczyniłam ślub, jeśli tylko przyjdą do zdrowia, odwiedzę grób świętej Biruty.

** Między ludem naszym, który acz jednego szczepu, postrzegać się dają znaczne różnice, już to w ubiorze, już w przechowywaniu podań miejscowych, już w zwyczajach; dlatego należy odróżniać tubylców od późniejszych osadników; tak np. w Krakowskim plemiu chrobackie daje się poznać od plemienia przybyłego z Wielkopolski, które się z nim pomieszało. To samo i gdzie indziej.

*** Nie tylko u nas, ale i gdzie indziej trudno jest dostać się do podań i pieśni ludu. Posłuchajmy, co mówi w tej mierze o wieśniakach kampańskich p. Visconti w dziełku *Saggio de canti popolari della provincia di Marittima e Campagna*, Roma 1830. - „Ile-kroć zdarzyło mi się prosić wieśniaków lub ich żony o powtórzenie śpiewanych piosnek, zawsze odbierałem odmowną odpowiedź i tylko niekiedy za wysoka nagrodę skłoniono się do mego żądania; a i to jeszcze winienem być bardziej rozkazowi osób mających u wieśniaków powagę niż dobrej ich woli. Pieśni te tak wiernie malują wewnętrzne uczucia ich serca, iż żądanie moje zdawało im się być nie tylko dziwne, lecz obrażające; prawie jak gdyby im kto wydierał najskrytszą tajemnicę. Twarze ich pokrywał wtedy rumieniec, w całej postaci okazywał się przymus, pomieszanie i kwaśny humor trudny do opisania - *pudor guidam poene subrusticus* - jak się wyraża Cicero.”

Smok

Pod górą Wawel, gdzie dzisiaj stoi zamek krakowski, był smok wielki, który troje dobytka naraz zjadał, także i ludzi kradł i jadł; przeto musieli mu dawać obrok, każdy dzień troje cieląt albo baranów. Kazał tedy Krak nadzieć skórę cielecą siarką, a przeciw jamie położyć rano: co uczynił za radą Skuba, szewca niejakiego, którego potem dobrze udarowa! i opatrzył. On wyszedłszy z jamy mniemał, by ciele pożarł razem: gdy to w nim tłało tak długo, pił wodę, aż zdechł. Jest jeszcze jego jama pod zamkiem Smoczą Jamą zwana.

2. Mysia wieża w Kruszwicy

Po pogrzebie Popielą starszego wybran został na jego miejsce syn jego, drugi Popiel, którego Chostkiem od brody i włosów na głowie rzadkich, co rozpustnego znaczy, zwano: a to z dozwoleniem stryjów jego książąt. Lecz dla jego młodych lat więcej stryjowie rządili niż on sam. Gdy dorósł, dali mu żonę z Niemiec, która mu się bardzo wkradła w serce, tak iż ona rządziła, a nie on: przeto o nic innego nie dbali, jedno tańcowali, dobrej myśli byli. Bacząc to stryjowie jego upominali go, aby tego poprzestał, a R. P. przedsięwziął i o niej lepiej radził. Żonę także jego upominali mówiąc: przetośmy cię synowcowi za małżonkę dali, spodziewając się tego po tobie, abyś go ty, jako mędrsza, hamowała od tych zbytków, które czyni. Lecz i ona, bojąc się tego, aby mimo syny jej albo męża, którego z stryjów innego nie obrali, zmówiła się z mężem, kazała mu się roznieść na śmierć, a gdy tak uczynił, obesał stryje wszystkie, powiadając im, iż się na śmierć roznieść mógł, i prosząc, aby się do niego zjechali, chcąc przed nimi testament uczynić. Gdy przyszli, cieszyli chorego: on im dzieci i żonę poruczał, był płacz po wszystkich dworze; ku wieczorowi prosił ich, by siedzieli przy nim, a pili z nim i jedli. Przyniesiono trunki ktemu przyprawione, napił się sam najpierw z jednego kubka, a onym drugie przyprawne z trucizną podano; gdy się porządkiem napili, strzegąc tego, aby tam który zaraz nie padł, zmyślił sobie, iż się chce uspokoić i prosił, żeby mu ustąpili, aby mógł usnąć. Ustąpili wszyscy precz, winszując mu zdrowia. Gdy przyszli do gospod, rozpałił ich jad, wielką boleść cierpieli, rychło pomarli.

Gdy pani księżna usłyszała o ich śmierci, pomówiła, iż ich bogowie skarali. Powiadając to, że musieli co złego nam myśleć, i nie dała ich chować, jedno w jezioro wmietać; z których ciał poczyniła się wielkość myszy, które się rzuciły na Popielą i zżarły go, i zamordowały i jego żonę, i syny, których nie mogli słudzy ani ogniem, ani bronią odegnać; a chociaż na wodę uciekali, wszędzie ich myszy goniły, aż na koniec gardła dali od nich na zamku kruszwickim.

Gmin kruszwicki utrzymuje po dziś dzień, że Popiel chcąc się od natrętnych myszy zasłonić, kazał zrobić wielką szklaną banię, w której się zamknął z żoną i z dziećmi, i tak kazał się puścić na jezioro Gopło, ale i to nie pomogło, bo myszy banię przegryzły i zjadły Popielą.

3. Piast

Był w Kruszwicy obywatel, syn Koszyków imieniem Piast, wzrostu siadłego, szerokich i długich pleców, wiek średni już pomijając, a z niewielkiego grunciku roli i z barci żywot swój utrzymując. Człowiek prosty, sprawiedliwy, ludzki, jałmużnik, i podług mienia swego uczciwiec wielki. Temu, gdy żona imieniem Rzepicha *, od obyczajów jego nieróżna, jedyne go syna powiła, a za żywota jeszcze Popiela, pierwszy włos obrzędem pogańskim synowi podstrzygać i nazwisko nadać miał: na on bankiet wieprza zabiwszy i kadź miodu rozsyciwszy, przyjaciół wezwał był. Pierwej niż dzień ucztu naznaczonej przyszedł, z trafunku nagodzili się mu dwaj nieznanymi w pielgrzymkim odzieniu młodzieńcy, których on widząc, że od dworu książęcego odepchnieni byli, łaskawie wezwał, w dom swój chętnie wprowadził, stół przygotował i dostatek z onych potraw, na przyszłe postrzyżyny przygotowanych, przed nich postawił. Tam rzecz wielka i dziwna przydarła: przyrosło nad zamiar mięsa; lunął się miód wierzchem naczynia swego. Wnet za tem Piast, za upomnieniem gości onych, statków więcej spożycza, miód w nie przelewa, a za sprawą onych, już nie tylko sąsiadów i przyjaciół swoich, ale też samego księcia (gdyż naówczas nie tak się poważnie i pieszczono nosili panowie) ze wszystkim dworem jego na ucztę naznaczoną zaprasza. Ciż to tedy goście, gdy wtóry raz, a prawie czasu zjazdu onego do niego przyszedli; Piast za rozkazaniem ich, z ubożuchnej spiżarni swej wszystek on zjazd od głodu prawie zdychający dostatkim hojnej żywności karmił; gdyż każda rzecz ujęta, na to miejsce okwicie przybywała. Co gdy się rozślawiło, jednostajnym wszyscy głosem Piasta, nie zdaniem abo pomocą ludzką obranego, ale przejrzeniem Boskim za pana sobie być podanego, krzyknęli. Zbiegnie się wtem do domu jego wielka moc panów: proszą i wymagają na nim, aby lejącą rzeczpospolitą podźwignął: wzbrania się ten. Za sprawą jednak i pozwoleniem gości swoich, tak jako chodził w siermiedze, w kurpiach łyeczanych na zamek od starszych prowadzony jest. A goście oni, dosyć uczyniwszy powinności swej, zniknęli. Rozumieją tedy jedni, że to byli aniołowie Boży, jałmużnę i dobroczynność, chociaż poganinowi, odpłacający.

* Na goplańskim jeziorze dziś jeszcze jest wysepka nosząca nazwę: Rzepny.

4. Pięciu męczenników kazimierskich

Jadąc z Konina do Kazimierza drogą piaszczystą i nudną, postrzega się na lewo w lesie klasztor Minichowski, stojący na wzgórku, dziś podupadły i pusty. Naprzeciw niego, tuż przy drodze na prawo stoi mała kapliczka drewniana, z prostych desek zbita i pochylona; w niej studzienka w najgorętszej nawet porze napelniąca wodą, do której lud cudowną przywiązuje siłę, zwłaszcza na chorobę oczu i kołtuna; — stąd ściany owej kapliczki zakryte prawie całkiem włosami, kołtunami, a nawet włosiem końskim.

Woźnica mój, poczciwy kmiotek okoliczny, przemywszy sobie oczy cudowną wodą z studzienki, wyrwał z grzyw lichych swych szkapin po garści włosienia i pokropione też

wodą zaczepił o drzazgę na ścianie; a kiedy go, nieświadomy naówczas jeszcze podania, zapytał o przyczynę tej dziwnej operacji, odpowiedział mi z powagą polskiemu chłopkowi właściwą, że woda ta za lepszych, prawowitszych czasów daleko większą miała siłę cudowną, bo nie tylko ślepotę, ale wszystkie inne kalectwa leczyła, a ludziom w łasce Bożej będącym nawet członki odcięte za jej pomazaniem odrastały. Cudowność zaś ta, bardzo dawnych sięga czasów i z dziwnie starymi zdarzeniami jest połączona. Działo się to za rządów wielkiego króla naszego Chrobrego, który przy wolnym czasie na łowy zjeżdżał w te strony; — bo były też to — mówił dalej mój opowiadacz — były to strony dzikie i leśne, wokoło bagna i puszcze. Stąd jeno mila do Ślesina, a tam dziś jeszcze knieje sławne z rozbojów; nasi starzy powtarzali, a i my złym parobczakom mawiamy: będziesz zbijał na borach ślesieńskich. Dawniej oczywiście jeszcze gorzej było; nie tyle, prawda, złych ludzi, ale dzikiego i drapieżnego zwierza więcej się chowało po większych puszczech. Mój ojciec, co żył lat dziewięćdziesiąt i sześć na świecie, powiadali mi, że raz za młodych lat, kiedy powrócili z jarmarku i jednego konia wyprężonego wprowadzili do stajni, to drugiego przez ten czas wilki zjadły przy dyszlu. Takie to tu przed stu laty były puszcze, a jakież być musiały wówczas, kiedy do nich Chrobry na łowy zjeżdżał. Mieszkał on wtedy tam, gdzie dziś Gosławice, na zamku, który dopiero za pamięci dziadka mego się spalił: a wielką stadninę swych koni miewał na błoniach przy rzece, w tej okolicy, gdzie potem miasto założył, które nazwał Koninem, oczywiście od tego, że się tam konie jego pasły. Było też właśnie, że naówczas w tej puszczy mieszkało pięciu pustelników — wszyscy pono bracia: Jan, Mateusz, Izaak, Krystyn i Barnabasz. Najstarszy pomiędzy nimi wiekiem i najświętobliwszy, Barnabasz, był ich przełożonym i mieszkał na osobności, tu właśnie, gdzie dzisiaj ta kapliczka ze studzienką cudowną. Reszta zaś mieszkała razem, choć każdy w osobnym domeczku; na pamiątkę tych domków do dziś dnia utrzymują w Kazimierzu kapliczki, każdą w swoim miejscu, podobnie jak owo tę Śgo Barnaby. Trza zaś wiedzieć, że miasto Kazimierz dużo później założono: owi święci pustelnicy mieszkali w kniei, którą wkoło swoich chat karczowali, zamieniając las na ogród. Najbardziej jednak i najusilniej pracowali nad zbudowaniem kościoła; czego pono jednak nie dokonali, bo im śmierć męczeńska przeszkodziła; nagromadzili przecie bardzo wiele polnych kamieni, które gładko obrabiali w kostkę; z nich potem wystawiono kościół wspaniały, a kiedy później zgorzał, odbudowano go drugi raz, a znowu zgorzały po trzeci raz wystawiano tak, jak oto do dziś dnia stoi owa wspaniała fara kazimierska. Możecie tam jeszcze teraz przypatrzeć się tym cudownym kamieniom, które się w murach znajdują pomiędzy cegłą — bo trza wam wiedzieć, że kościół powiększono tak, że na cały kamieni nie wystąpiło; ale jest ich przecie i tak dosyć, a wszystkie ręką świętych pustelników ociosane. Byli też to święci robotni jak chłop polski, a skromni w jadłach i napoju. Przez długi czas żyli jeno korzonkami i trochę warzywa, które w swoich ogródkach sadzili. Mięsa ani ryby nie zasmakowali nigdy, bo mięsa ślubowali nie jeść; a co do ryb, to choć tu w okolicy po jeziorach nie brak — czymże ich mieli biedni pustelnicy ułować? — musieli się tedy obejść i przestać na korzonkach. Ale Bóg litościwy nie chciał ich opuścić przy ciężkiej pracy w głodzie i niedostatku — bo to do pracy, panie, sił człeku trzeba. Owoż tedy taki cud im sprawił.

Jednego razu szedł tymi stronami pewien rzeźnik z Gniezna, także człek poczciwy i bogobojny — i niósł kawał mięsa dla swego rodzonego, co tam gdzieś jeszcze dalej mieszkał na kmietwie; a kiedy tu w tę okolicę zaszedł w czasie południa, ujrzał pięciu biednych pustelników, jak lichą sprawę z korzonków sporządzoną zajadali modląc się. Otóż ulitował się na nimi poczciwy rzeźnik, a był dobrym chrześcijaninem i chciał im dać to, co niósł dla brata — ale pustelnicy przyjąć nie mogli, a Barnaba rzekł mu: że mięsa nie jedzą. Owoż tedy człowiek z rzemiosła rzeźnik, bo mięso jadał i lubił — jeszcze bardziej litować się począł nad nimi — i szczerze żałował, że raczej nie jest rybakiem, bo wtedy

nie mięso, ale zapewne rybę niósłby dla brata i mógłby nią głodnych pustelników nakarmić — co, że szczerze mówił, Pan Bóg wszechmocny oczywiście pokazał, bo zaraz owo mięso przemienił w rybę bardzo wielką i piękną. Zdumieli się wszyscy niepomalu, a rzeźnik poczciwy, upadłszy na kolana, dziękował Panu Bogu za to, że go wysłuchać raczył, i oddał rybę Barnabie, który ją pobłogosławił, a oddawszy głowę, sprawił i upieczoną spożył razem z drugimi i z owym rzeźnikiem modląc się Panu; głowę zaś wpuścił do małej studzienki, którą miał przy swej pustelni, bo mu tak głos Boży rozkazał w jego duszy. Owoż nazajutrz, kiedy się znowu wszyscy koło południa zeszli na obiad, po odprawionych modlitwach, poszedł Barnaba do swojej studzienki i łowić w niej zaczął, bo mu znowu głos Boży w jego duszy tak zrobić rozkazał i ku zadziwieniu wszystkich wydobyl z niej rybę w całości taką, jak ją wczoraj odebrał z rąk rzeźnika, a pobłogosławiwszy odciął głowę, rybę upieczoną spożył z braćmi swymi, a głowę do studzienki zapuścił. Nazajutrz ryba znowu odrosła w całości i tak cud ten co dzień się powtarzał i żywił biednych pustelników; a choć to cud wielki i niepojęty, to i moc Boska wielka i niepojęta, mój dobrodzieju, a Jego łaska nieustająca nigdy nie wysycha, jak owa woda tej studzienki, za której pomazaniem niejednemu już członki odrastały jakoby na pamiątkę szczerzej ofiary i dobrego uczynku, którymi się ów poczciwy rzeźnik gnieźniński przed Panem Bogiem zasłużył. Aliści i zgorszenia przyjść muszą — jak Chrystus Pan uczy. Owoż tedy zdarzyło się w parę lat później, że Chrobry w te strony na łowy zajechał — a polując po puszczy, zawinął raz na miejsce, wykarczowane ręką ludzką, gdzie było trochę uprawnej ziemi i cztery małe chateczki. Poznał on wtedy dopiero owych pustelników, o których pierwsi nigdy nie słyszał — dziwił się ich świątobliwemu życiu i niezmordowanej gorliwości w ociosywaniu kamieni na przybytek chwały Bożej — a widząc razem ich ubóstwo i nędzę, że był król wspaniały i wielki, chciał im jakoś dopomóc i po królewsku łaskę swoje okazać. Oddał im przeto wszystko srebro i złoto, które miał ze sobą i na sobie — tak znacząc, jako człowiek światowy i możny, że całym szczęściem na świecie jest ta mamona mizerna, a nie wiedział zaś, że owi pustelnicy na ubóstwo ślubowali Bogu; oni mu też tego nie rzekli, czy to z przestachu przed tak wielkim i potężnym królem, którego pierwszy raz oglądali, czy też może złe ich skusiło; boć to i święci miewali pokusy, a nie zawsze im się oparli. Dostyc, że bogactwa przyjęli — a patrzeli na to dworscy królewscy i zazdrościli im skarbów, mówiąc do siebie, że lepiej by ich użyć mogli na dworze jak owi na puszczy. Owoż stało się dalej, kiedy król odjechał, a obiadowa godzina nadeszła, że się czterej bracia wedle zwyczaju zebraли u najstarszego Barnaby, który na ustroni zamieszkały, o tym, co zaszło, nie wiedział i po dawnemu odmówiwszy modlitwy pobiegł łowić rybę w studziencie. Aliści tą razą wyłowił jeno głowę nieodrośniętą, a spojrzawszy na braci, widział wstyd ich i pomieszanie i rzekł zasmucony: bracia, zgrzeszyliście! Oni też przyznali się zaraz do winy, a widząc wyraźny gniew Boży, postanowili przebłagać go ciężkimi pokutami, które sami na się nałożyli; Barnaba zaś postanowił zwrócić królowi, co jest królewskiego; wnet zabrawszy skarby zostawione udał się z nimi w drogę do Gosławic, gdzie król na wypoczynek zwykle wieczorem z łowów powracał. Tu czekał na niego do nocy, a uzyskawszy wreszcie posłuchanie, stawił się przed nim w pokorze i rzekł: „Królu miłościwy! Jestem Barnaba pustelnik i najstarszy brat tych czterech, których dzisiaj przez nieświadomość pokusiłeś do grzechu. Ślubowaliśmy na ubóstwo, a oni od ciebie złoto przyjęli. Dałeś im skarby tego świata, a odebrałeś skarb niebieski — łaskę nieustającą Pana. Odbierz, królu, co twego; a przyczyn się za nami modlitwą do Boga, aby nam przywrócić raczył spokoju naszą doczesną i zbawienie wieczne!”

Król zdumiony prostotą i świątobliwością Barnaby, czuł to sam u siebie, że źle zrobił kusząc światowymi bogactwami święte ubóstwo, ale jako był dumny z natury i stanu swego, nie chciał się zaraz przyznać do winy i mówił, że owo złoto zostawił gwoli pędzszego wybudowania kościoła, w którym by niezadługo chciał widzieć odprawioną chwałę Bożą;

aliści miasto odpowiedzi począł tu Barnaba gorzko płakać i znów się radośnie uśmiechać, czym król mocniej jeszcze zdumiony zapytał się o przyczynę tego dziwnego płaczu i śmiechu, a Barnaba rzekł: „Płaczę, mój królu, nad straszną, choć sprawiedliwą karą, jaką Bóg w tej chwili braciom moim za ich przewinienie wymierza, a raduję się ze szczęścia, jakie ich czeka w niebiesiech!” I tu duchem proroczym natchniony oświadczył królowi, że dworzanie jego widzący pozostawione braciom pustelnikom bogactwa, unieśli się chciwością i śpiących nocną porą napadli, a nie mogąc znaleźć owych skarbów w żadnym domku pustelniczym rozumieli, że je gdzieś w ziemi zakopano i męczarniami chcieli wymóc ich odkrycie, co gdy nie pomagało, przez złość, czy też z obawy, aby poznanych nie doniesiono królowi, wszystkich braci pomordowali okrutnie. „Widzę tę krew męczeńską — wołał płacząc Barnaba — w tej chwili dokonywają swej zbrodni, ostatni i najmilszy brat mój Mateusz upada pod ciosami zabójców. Ale Bóg sprawiedliwy nie dopuści im ucieczki, którą się chcą ratować!”

Jakoż król wysłał zaraz łuczników gwoli schwywania morderców i wnet ukazała im się wielka światłość ponad puszciami i wiodła ich na miejsce dokonanej zbrodni. Była to łuna bijąca od chat podpalonych przez zbójców, którzy rozum utraciwszy wokół nich biegali jak błędni. Jedni mówią, że wzrok postradali, ale to pono Pan Bóg takie omamienie zesłał na nich, że nie wiedzieli, dokąd uciekać i wnet się wszyscy dostali w ręce pogoni. Tej jeszcze nocy stawiono powiązanych przed królem, który w gniewie wielkim chciał wszystkich okrutną śmiercią potracić, ale Barnaba wstawił się za nimi i jako dobry chrześcijanin prosił o litość dla nieprzyjaciół, czego jednak król wysłuchać nie chciał, bo był twardej woli. Otóż wtedy Barnaba widząc, że u ziemskiego mocarza politowania nie znajdzie, upadł na kolana i gorąco modlił się do Boga, aby nie dozwolił zatraty tylu dusz grzesznych, które się pokutą i skruczą oczyścić jeszcze mogą na ziemi; a modlił się tak gorąco, że go Bóg wysłuchał i nowy cud pokazał, bo oto zaraz opadły więzy z rąk i nóg winowajców; co gdy król ujrzał, poznał w tym wszechmocny palec Boży i przeciw jego wyrokowi stawiać się nie śmiał i zostawił Barnabie zbrodniarzy, którzy w nim zbawcę i świętego uznali, i poprzysięgli nigdy go odtąd nie odstąpić; jakoż udali się z nim na puszcę i tam nowy cud ujrzeli; bo oto owe chaty, co tak jasno w nocy gorzały, teraz przez ogień nietknięte stały w całości. Wprowadzili się do nich nowi pustelnicy i ciężkimi pokutami starali się sprawiedliwość Boską przebłagać; jakoż też pewnie Bóg pełen litości darował im ich winy; a dotąd ludzie pocziwi utrzymują na miejscach, gdzie owe chaty pustelnicze stały, takie same kaplice jak owo tu Śgo Barnaby, którąśmy w Miniszewie widzieli.

Stanąwszy w Kazimierzu pospieszyłem obejrzyć owe starożytne kaplice i znalazłem na ich drewnianych ścianach głównejsze sceny z życia pięciu pustelników wymalowane przez jakiegoś miejscowego artystę; a mały chłopczyk, który był moim ciceronem, powtórzył mi ich historię z niektórymi drobnymi wariantami i ofiarował się jedną jeszcze osobliwość pokazać w domu pewnego mieszczanina, dokąd zaszedłszy, oglądałem pokój, w którym niegdyś nocował Karol XII, trzymając przez noc cały łańcuch przeciągnięty dziurą wydrążoną w ścianie bocznej, do którego przykuty był nieszczęśliwy Patkul uwięziony w przyległym pokoju. Nazajutrz rozerwano koźmi Patkula na małej łączce, którą lud do dziś dnia Patkulką zowie, i do dziś dnia opowiadają mieszkance Kazimierza jego śmierć męczeńską i okrucieństwo Karola, pokazując ową dziurę w ścianie jako niewątpliwe świadectwo. Patkul jest szóstym męczennikiem kazimierskim!

WIADOMOŚĆ HISTORYCZNA

*Ciekawym i ważnym będzie może dla myślącego badacza porównanie tego, co lud **dzisiaj** o pięciu męczennikach kazimierskich opowiada, z wiadomością, jaką nam o nich zostawił Damianus, pisarz XI wieku, w żywocie Śgo Romualda, któremu był współczesny. Święty ten Romuald był założycielem zakonu kamedułów, o których sprowadzeniu do Polski rzeczony Damianus w ten sposób się wyraża (Bollandystów tom II. Februarius, p. 114. C. IX.):*

Kiedy Romuald w Pereo zamieszkiwał (gdzie był klasztor kamedułów), posłał król Bolesław do cesarza z prośbą, ażeby mu ten- że przysłał duchownych, którzy by w państwie jego lud na wiarę nawracali.* Dwóch tylko pomiędzy wszystkimi było, którzy się gotowymi na tę podróż oświadczyli; z tych jeden Jan, drugi się zwał Benedykt. Ci tedy idąc do Bolesława zatrzymali się pierwaj (pod jego opieką) w pustyni i dla tym lepszego nawracania i kazania uczyli się pilnie języka słowiańskiego: siódmego zaś roku, gdy już mowę krajową dobrze poznali, do Rzymu wyprawili mnicha, prosząc przezeń najwyższej głowy Kościoła (Jana XVIII zwanego XIX) o wolność nauczania i dodając zarazem, ażeby im z braci Śgo Romualda przyprowadził niektórych, co by reguły życia pustelniczego świadomi współ z nimi w krajach słowiańskich zamieszkiwali.

Bolesław zasię chcący koronę od powagi rzymskiej uzyskać, począł rzeczonych znacznych mężów upornymi prośbami nalegać, ażeby różne jego podarunki papieżowi zanieśli, a przynieśli mu za nie od Stolicy Apostolskiej koronę; lecz oni przyzwolenia prośbom królewskim stanowczo odmawiając, rzekli: „Do świętego pocztu należym Nie wolno nam wcale zajmować się doczesnymi sprawami.” I tu porzucając króla do cel swych wrócili.

Ale niektórzy z orszaku poznawszy zamiar królewski, a nie znając odmowy mężów świętych, źle rozumieli, jakoby oni znaczną ilość złota przeznaczonego dla Stolicy Apostolskiej do celi zabrali.**

Umówiwszy się tedy pomiędzy sobą postanowili napaść potajemnie nocą pustelnię, zabić mmichów i unieść pieniądze. Napad ten zamierzony gdy błogosławieni mężowie usłyszeli, powód jego od razu zamiarkowawszy spowiedź pomiędzy sobą czynić i znakiem krzyża świętego zbroić się poczęli. Było tam zasz dwóch młodzieniaszków dodanych im na towarzyszków przez króla, którzy wedle sił bronili świętych przeciw złoczyńcom, lecz po powtórnym napadzie zmogłszy ich rabusie, wszystkich jednakowo dobytymi mieczami pomordowali.

Potem trwożliwie skarbu szukając, a nic nie znalazłszy, usiłowali pustelnię i ciała męczenników popalić, ażeby tym sposobem zbrodnię swą ukryć i przyczynę wypadku ściągnąć na pożar. Lecz podłożony ogień, mimo wszelkich usiłowań ludzkich, zająć się nie chciał, jak gdyby owe lepianki nie z drzewa, ale z krzemieni były stawiane. Po daremnych usiłowaniach chcieli się rabusie ucieczką ratować, ale i tego nie dozwoliła opatrność Boska, gdyż przez noc całą po leśnych zaroślach, błotnych moczarach i ponurych kniejach z trwogą drogi szukając, w żaden sposób błędnymi nogi znaleźć jej nie mogli. Co więcej — nawet puginałów uschłymi rękoma do pochew wsadzić nie zdołali. Gdzie zasz ciała świętych leżały, tam aż do dnia nie przestała błyszczeć światłość wielka i brzmieć słodczy anielskiego śpiewu.

Za nadejściem ranku nie mogło się to, co zaszło, ukryć przed królem; bez zwłoki tedy udał on się z licznym orszakiem na miejsce pustelni, i ażeby złoczyńcę nie uszli, otoczył

las ludźmi. Złoczyńców zasie znaleziono, karą Bożą przywiązanych aż dotąd do własnych mieczów. Rozważywszy, co z nimi począć, postanowił król ostatecznie nie karać ich śmiercią tak, jak zasłużyli, lecz żelaznymi łańcuchami do grobu męczenników przykuć ich rozkazał; w którym to stanie albo do końca życia swego pozostać mieli, albo też — jeśliby się inaczej świętym męczennikom zdawało — dopóty, dopóki by ich ciż święci w miłosierdziu swoim z pęt nie uwolnili. A gdy ich wedle rozkazu królewskiego do grobu świętych przykuto, wnet niewysławioną Boga wszechmocnością uwolnieni zostali z pękających się kajdan.

Odtąd, po wystawieniu na grobie świętych kościoła, nieprzeliczone dzieją się tam po dziś dzień cuda.

Cesarz zasie Henryk świadomy zamiarów Bolesława, wszystkie drogi czatami obsadzić kazał, ażeby posłowie Bolesława w jego popadli ręce. Mnich tedy wyprawiony przez świętych męczenników ostatnimi czasy do Rzymu, schwycony nareszcie i w więzieniu osadzony został. W nocy zasie odwiedził go anioł pański i oznajmił mu, że dokonali żywota ci, od których był posłań.

Tyle Damianus; za nim powtarzał tę wiadomość Kosmas pragski, Długosz, Naruszewicz i inni. W roku zaś 1777 wyszła w Poznaniu książeczka nabożna, przedrukowana tamże w roku 1842: Pięć filarów..., czyli nabożeństwo do świętych pięciu męczenników kazimierskich: Jana, Benedykta, Mateusza, Izaaka i Chrystyna, w której są godzinki i hymny na cześć tych męczenników po dziś dzień w Kazimierzu śpiewywane. Na tytułowej karcie nie umieszczono imienia Barnaby, ale w jednym hymnie znajdują się dwa takie wiersze:

Choć się przez Barnabasza wszystko odesłało,
Łakomstwo jednak zbójców was pozabijało.

Opowieść ludu zgadza się po większej części z treścią tych pieśni.

* Miechowita lib. 2 cap. 9 mówi: „przyzwolono Benedykta i Jana za wstawieniem się Bolesława, z klasztoru Śgo Romualda, ku nauczaniu nowo nawróconych w Polsce”.

** Niektórzy pisarze polscy mówią, że pieniądze dane im przez króla, przeznaczone były nie dla papieża, lecz na ich własny użytek — a zostały mu później zwrócone.

5. Wskrzieszenie Piotrowina

Biskup krakowski Szczepanowski kupił był wieś Piotrowin, u Piotrowina, na biskupstwo krakowskie, o którą pozwali biskupa przed króla przyjaciele nieboszczykowi, które król sam na to podwiódł. Staął biskup przed królem i przed jego radą pod namiotem, między Solcem a Piotrowinem nad Wisłą, gdzie natenczas sejmował. Pytano biskupa, którym prawem dzierży wieś Piotrowin? Stanisław biskup powiadał, iżem ją kupił i zapłacił nieboszczykowi Piotrowi, który jako umarł, jest na cztery lata. Strona powiedziała: czym tego dowiedziesz, albo gdzie masz tego zapis? Biskup wziął sobie na pewny dowód do

trzeciego dnia, a w tym czasie kazał pościć wszemu duchowieństwu i modlitwy czynić, aby mu Pan Bóg świadka ożywił, który by rzecz sprawiedliwą zeznał przed prawem. Potem wszedł do kościoła św. Tomasza w Piotrowinie, kazał odkryć grób Piotrowin, tknął go laską biskupią a rękę mu podał i rzekł: „W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, Piotrze wstań, a rzecz sprawiedliwą zeznaj.” I wstał Piotr, którego biskup przed sąd królewski przywiódł; tam zeznał Piotr, iż sprzedał biskupowi wieś Piotrowin i wziął zupełną zapłatę od niego. Tamże karał przed królem przyjaciele słowy, iż się upominają tego, do czego im nic: a iż też temu świętemu mężowi trudności zadawają niewinne. A tak dowiódł swej rzeczy biskup, który spytał potem Piotra: jeżeli chce być żywym, czyli zasię do grobu iść? Powiedział: iż wolę wieczny żywot mieć, a nigdy już nic umierać: któremu już blisko; jedno proszę, módl się za mną do Pana Boga, aby mię z czyszcza wybawił, boć jeszcze w nim mam być do pewnego czasu, wszakże niedługiego. Także i uczynił: wstąpił zasię do grobu, oczy zawarł przysypał ziemią. Rozjechali się z tego sejmku wszyscy. Dotąd legenda z kronik wyjęta; dalej dodaje powieść gminna, iż co rok w rocznicę wskrzeszenia Piotrowina pokazuje się przez Wisłę pod Solcem ścieżka, jakby biczem trząsał po wodzie; jest to na pamiątkę, iż Piotrowin przechodził po wierzchu wody.

6. Męczeństwo św. Stanisława na Skalce

Bolesław Śmiały powróciwszy z wyprawy na Ruś wylał się na rozpusty i gwałty, czego nie mogąc ścierpieć biskup krakowski wyklął go; wszakże król nie dbał na klątwy biskupie, choć przed nim zapowiadał mszy mieć i innych świętości w kościołach sprawować; i sam gdy miał mszę mieć, tedy aż za Wisłę chodził przez most na Skalkę, gdzie był kościół św. Michała. O którym król dowiedziawszy się tam, jednego czasu szedł za nim, wzięwszy z sobą kilku dworzan i onych, co skarżyli o bliskość wsi Piotrowina. Gdy przyszli na Skalkę, kazał go ode mszy przed kościół wywieść; oni gdy chcieli tak uczynić, padli wznak; chcieli drugi raz, także. Przeto on potem sam szedł, zabił biskupa we mszę na Skalce w kościele. Piszą kronikarze, iż to byli Jastrzębcy, Strzemieniowie, Srzeniawowie i Drużynowie, co pomagali tego królowi.* Działo się to lata 1079 dnia 8 maja. Skoro po odejściu króla przylecieli orłowie i strzegli ciała św. Stanisława przez trzy dni, które w kęsy rozsiekane było, aby psi albo ptacy go nie jedli; a gdy kapłani przyszli, pozbiali one sztuki i złożyli społu; tam się cud okazał, iż się społu zrosły wszystkie sztuki. Tamże na tym miejscu widziano świece gorejące w nocy.

* W niektórych familiach polskich tych herbów utrzymuje się podanie, jakoby zawsze któryś członek familii cierpiał pomieszanie zmysłów.

7. O Piotrze Duńczyku

Piotr Duńczyk był to pan wielki i hojny, kochał się był w żonie króla swego gdzieś tam daleko, w duńskim kraju; król zazdrosny kazał mu miecz rozpalony do oczu przyłożyć i tak go pozbawił wzroku, a potem do Polski wyprawił. Żał mu było oczu i uspokoić się nie mógł, że ociemniał. Cóż więc czyni? Oto jedzie do Krakowa po radę do tamecznego biskupa; biskup idzie do kościoła na modlitwy, aby go Bóg oświecił; a pomodliwszy się gorąco wyszedł i powiedział do pana Piotra: — Piotrze! Wystaw trzy klasztory i siedm kościołów, a Pan Bóg ci wzrok powróci. A kiedyż to będzie, a długoż to tego czekać? — zapytał się Piotr z niecierpliwością, jak to zwyczajnie wielcy panowie, kiedy im się czego zechce. — Czyń, co mówię — odrzekł biskup — wystaw trzy klasztory i siedm kościołów, a Pan Bóg ci wzrok powróci.

Dopiero to Piotr Duńczyk bierze się do budowli i zewsząd cieśli i mularzy sprowadza; ale cóż potem, oto chciał być mędrszym od biskupa i wystawił trzydzieści klasztorów i siedmdziesiąt kościołów. Na nic się to wszystko nie przydało i po staremu był ciemny. Powraca więc do Krakowa do biskupa, a ten go ofuknie: — Cóż to za pycha, człowiecze! Co za nieposłuszeństwo! Wszakżem ci trzy klasztory i siedm kościołów stawiać kazał. Idź i czyń, jak ci rozkazano.

Nieborak tą rażą pychę zdjął z serca. Postawił trzy klasztory i siedm kościołów i natychmiast przejrzał.

8. Oblężenie Nakła

Bolesław Krzywousty rozumiejąc, że jeszcze mało mieli Prusacy i Pomorzanie na onych klęskach, które im zadał, ściągnął wojska pod Kruszwicę. I już obóz ruszyć mieli, gdy oto w dzień jasny na oko wszystkim prawie żołnierzom pokaże się na samym wierzchu kościoła kruszwickiego nadobny młodzieniec białym odzieniem przełyskujący; skąd potem, gdy się wszyscy zdumiewali, skoczył i przed chorągwie wystąpił. Tam wojsko wszystko z weselem natychmiast tabor ruszywszy za onym hetmanem od Boga danym pospiesza, znamienite zwycięstwo wziąć z nieprzyjaciela pewnie sobie obiecując. A skoro pod Nakło, przedniejsze natenczas u Pomorzan albo Kaszubów miasto miejscem przyrodzonym obronne i ręką dobrze obwarowane, przyciągnęli, młodzieniec on jabłko złote, które w rękę trzymał przeciwko miastu rzuciwszy, natychmiast zniknął. A nasi częścią drabiny przyszańcowawszy na mury wpadać, częścią bramy wyłamać, wszystką mocą usiłują; gdzie o mały włos onegoż dnia miasta zaraz nie wzięli: jedno, że ich doskonalsze zwycięstwo z nieprzyjaciela bezwierne czekało.

9. *Pani Kinga*

Niedaleko Krościenka nad Dunajcem siał góral pszenicę pod zimę. Właśnie już słońko było zaszło, a on jeszcze nie skończył swej roboty. Wtem drogą posłyszał jakiś szelest — spojrz, a tu bieży tłum niewiast w czarnych szatach, a poprzedzał je ksiądz, co niósł krzyż pański. Gdy poskoczył ku nim i ciekawie się przyglądał, wysunęła się jedna niewiasta z tego orszaku i rzekła: — Dobry wieczór wam, człowiecze! A cóż tak późno robicie?

— Pszenicę sieję — odrzekł góral.

— Szczęść ci Boże — odpowiedziała — ale jeśliś poczciwy człowiek, tedy zrobisz, cōc powiem. Jutro tu będzie gonił srogi nieprzyjaciel za nami i będzie pytać się, czyśmy tedy nie szły; ty zaś odpowiedz, żeśmy szły właśnie, kiedyś siał pszenicę na tym łanie.

— Dobrze — rzekł góral, ale nim zdołał się onej pani pokłonić, już jej nie było.

Nazajutrz wstawszy do świtu idzie na pole — patrzy, a tu nowy cud, bo gdzie wczoraj siał, tam dziś bujają pszeniczne kłosy. Nie wyszedłszy jeszcze z podziwienia, dolatuje go tętent jazdy — spojrz na drogę, a tu ćma Tatarów. Jeden przypada doń i pyta: — Powiedz mi, człeku, a nagrodzić hojnie, czy nie widziałeś tu wczoraj pani Kingi?

— Widziałem — odpowiedział — jak szła tedy z siostrami, a właśnie siałem tę pszenicę. Tatarzyn znowu błaga go, w końcu grozi mieczem; ale góral odpowiada: widziałem ją, szła tedy, kiedy siałem tę pszenicę... I tak tatarska pogoń wróciła się tym samym szlakiem, którym przyszła.

10. *Paweł z Przemankowa*

Ksiądz Paweł z Przemankowa zły był człowiek i wszystko w Rzeczypospolitej mieszał, przeto też trzykroć był w więzieniu. Jednego czasu będąc u dominikanów, mnichów w Krakowie, usłyszał głos z nieba taki: „Biada tobie, Pawle nieboże, i lepiej żebyś się był na świat nigdy nie rodził.” Co nie tylko sam słyszał, ale i ci co przy nim byli, których było do 70. Też i mnich jeden jawnie to zeznawał, że widział przed nim wilka, a on się wspiął na przednie nogi mówiąc do niego człowieczym głosem: „Biada tobie biskupie, boś wziął i zabił”; co ludzie rozumieli o owej mniszce ze Skały, co ją był wziął z klasztoru i płodząc z nią niecnotę, duszę jej zabił. Zaczem dopiero ją pokutować. I przeto zasię usłyszał taki głos: „Odpuszczone tobie będzie, Pawle, dla twojej skruchy i będzie się już lepiej wszystko działo, a będziesz żyw jeszcze siedm lat.” A Paweł odpowiedział: „Dobrze by mi miłosierdzie Boże uczyniło, by mi tak długo przedłużyło żywota, żebym wypokutował za swe grzechy.”

Ten to biskup był przy tym tak myśliwy, iż gdy mszą miewał, tedy psi około niego chodzili i z sokoły przed nim myśliwcy stali. Nawet trafiło się to, że gdy mu kto z sieci zwierza zepsował, tedy go rohatyną z gniewu przebił.

11. Biskup Gamrat

Gamrat umierając zapisał na klasztor dwie beczki doskonałego wina, lecz wykonawcy ostatniej woli przywłaszczyli je sobie, a natomiast gorsze posłali zakonnikom. Jednego razu, kiedy się zahulali przy tym skradzionym winie, dało się słyszeć kołatanie we drzwi, nikogo jednak nie znaleźli i wzięwszy to za przypadek dalej ciągnęli wesołe krążenie kubka. Wtem mocniejsze powtórzyło się kołatanie, co ich tym więcej przestraszyło, że po otwarciu drzwi nie było nikogo; jednak po małej chwili zaczęli swój przestach zatapiać w doskonałym winie. Wreście po trzecim, długim kołataniu wszedł Gamrat w biskupim stroju i uderzywszy o stół pastorałem rzekł: - Winnicie mnie restytucję, boście testamentu nie spełnili. Chociaż po tym widzeniu wino zostało wrócone do klasztoru, jednak ci nieskrupulatni wykonawcy testamentu w przeciągu roku umrzeć mieli.

12. Czterdzieściu dziewięciu męczenników sandomierskich

Tatarzy wpadłszy do Polski pod hetmanem Nogajem, przyszli pod Sandomierz i tyle ludzi wyścinali, aż się krew potokami do Wisły lała. Wtenczas to zdarzyło się, iż w klasztorze dominikanów sandomierskich, gdy pięćdziesiąt księży z przeorem swoim Sadochem było na jutrzni, Pan Bóg cudownym sposobem ostrzegł ich o bliskiej męczeńskiej koronie; gdy bowiem nowicjusz Martyrologium jutrzejsze czytać zechciał, nadspodziewanie literami zobaczył złotymi pisane te wyrazy: *Sandomiriae quadragintata novem martyrum*; co zobaczywszy, sam nie wie, czytać czy milczeć? Ośmieliwszy się na koniec, drżącym głosem dekret przeczytał złoty: *Sandomiriae, quadraginta etc.*; na takie czytanie zadumiały przeor i z bracią za rozkazaniem na podanej sobie księdze obaczył ów napis złotymi literami, które zaraz po przeczytaniu w ręku ich zniknęły. Zaczem im św. Sadoch rzecze: umrzeć potrzeba, bracisz-kowie, więc wesoło umierajmy.

A gdy na klasztor gwałtownym pędem nieprzyjaciel uderzył, braciom na *Salve Reginae* wynijść kazawszy, wszystkim zadał śmierć męczeńską.

13. Wawrzyniec Powodowski, kawaler maltański

W kościele katedralnym w Poznaniu znajduje się grobowiec Wawrzyńca Powodowskiego. Piastował on urząd komandora maltańskiego aż do r. 1543, w którym przeniósł się do wieczności. Napis na nagrobku tym mówi: iż po śmierci przez rok cały (dziwne po-bożnymi i tajemniczymi zjawieniami) z grobu wychodził i podczas mszy uroczystych

śpiewanych u wielkiego ołtarza z dobytym mieczem podczas ewangelii świętej między stallami prałatów i kanoników a stallami niższego duchowieństwa widocznie stawał. Po ukończonej zaś mszy niknął.

Naradziwszy się przeto prałaci i kanonicy odprawili za niego rozmaite nabożeństwa, przybrawszy postać pokorna, lichtarze wielkie z woskowymi świecami, które według ceremoniału akolici nosić powinni, trzymali w rękę sami prałaci, a w ich nieobecności kanonicy, a tak ustało na koniec owo okropne zjawisko roku 1544 dnia 26 kwietnia.

Podanie dodaje jeszcze, iż takowe okazywanie się w kościele zmarłego Powodowskiego karą było za jego naśmiewanie się za życia z płonącego, jak mniemał, zwyczaju, aby kawaler maltański w czasie nabożeństwa pałasz dobywał i nim w powietrzu przed ołtarzem machał.

14. Procesja duchów

Przed ową okropną wojną z Kozakami i Ukrainą pokazywała się w Barze na Podolu procesja umarłych, która od kościoła do kościoła chodząc, jednostajnym wołaniem pomsty do Boga mściciela wołała, takie podnosząc pienie:

Pókiż niebo i ziemię. Wiekuisty Panie,
Nie zemścisz się niewinnej krwi naszej wylanie.

15. Złotaryńko

Bóg nie przepuścił Kozakowi Złotaryńce za jego morderstwa, zabit bowiem pod Szklówem w Litwie, a gdy był w Czechrynie chowan na katafalku, trup jego z trumny się podniósł i znowu pokładał, jęczał i wzdychał, około stojącym bardzo strasznym, z dopuszczenia Boskiego, czyli z czartoskiego naigrywania. Czemu, gdy wielu nie wierzyło, w dzień sam pogrzebu, gdy czerńcy służbę zaczęli, podniósł do góry ręce, z których bardzo obficie krew płynęła. Co lud wszystek obaczywszy, zdumiał się drżąc od bojaźni; a gdy trzy razy trup zawołał: Uciekajcie! uciekajcie! uciekajcie! — wszystek lud strwożały ze swym pryncypałem Chmielnickim, który przy tym był i na to patrzył, z cerkwi uciekł. Wtem się cerkiew zapaliła i tak godny sprawom swoim pogrzeb Złotaryńko odebrał w ogniu.

16. Królowa Bałtyku

W głębinie wód Bałtyku wznosił się za dawnych czasów pałac królowej Juraty. Ściany tego pałacu były z czystego bursztynu, progi ze złota, dach z łuski rybiej, a okna z diamentów.

Razu jednego rozesłała królowa wszystkich szczupaków z listami do najznakomitszych bogiń Jury *, prosząc do siebie na gody i spoiną poradę. Nadszedł dzień naznaczony i zaproszono boginie przybyły; wtenczas królowa, otoczona przydwornym orszakem, ukazała się w sali, uprzejmym ukłonem powitała gości i zasiadłszy na bursztynowym tronie tak mówić zaczęła: „Miłe przyjaciółki i towarzyszki moje! Wiecie to dobrze, iż wszechwładny mój ojciec Praamżimas, pan nieba, ziemi i morza, mojej opiece i władzy poruczył te wody i wszystkich mieszkańców w nich będących; same byłyście świadkami moich łagodnych i szczęśliwych rządów. Żaden najmniejszy robaczek, żadna najdrobniejsza rybka nie miały przyczyny skarżyć się i narzekać. Wszyscy żyli w pokoju i zgodzie; nikt się na życie drugiego targnąć nie odważył. Teraz zaś jeden nikczemny rybAk Castitis znad brzegów moich posiadłości, tam gdzie rzeka Święta hołd memu królestwu Płaci; jeden nikczemny śmiertelnik ośmiela się naruszać spokojność niewinnych moich poddanych, imać w sieci i na śmierć wskazywać; gdy ja, ja sama do własnego stołu ani jednej nie śmiem ułować rybki. Fląderki nawet, które tak lubię, po jednej połowie zjadam, a drugą nazad do wody wpuszczam**”. Takiej śmiałości nie można puścić bezkarnie: oto gotowe czekają nas łodzie, płynmy nad brzegi Szwenty, bo właśnie o lej poże zwykł on zarzucać sieci. Naszymi płasy i śpiewy zwabimy go na dno mroza udusim w uściskach i oczy żwirem zasypiem. Rzekła i natychmiast sto łodzi bursztynowvch pożeglowało dokonać okrutnej zemsty.

Płyną, słońce pogodnie świeci, morze ciche, a echo) już roznosi po wybrzeżu słowa ich pieśni: Bięda ci, rybaka młody. Stanąwszy boginie blisko ujścia rzeki postrzegły rybaka, jak siedząc na brzegu rozwijał sieci. Zajęty pracą, zrazu nic nie uważał, lecz gdy go uroczę doszły śpiewy, zwrócił wzrok na wodę i ujrzał sto łodzi bursztynowych i sto precudnych dziewic, a wszystkim przewodniczyła z koroną na głowie, z bursztynowym berłem w ręku królowa morza. Dźwięk coraz miłszy się rozlega, otaczają go morskie panny i swymi wdzięki do siebie wabić poczną:

O, rybaka piękny, młody,
Porzuć pracę, chodź do łodzi:
U nas wieczne tany, gody,
Nasz śpiew troskę twą osłodzi.

My obdarzym boskim stanem.
Skoro z nami mieszkać będziesz:
Śród nas będziesz morza panem,
I naszym kochankiem będziesz.

Słyszy to rybak i ujęty zdradliwa ponętą już chce się rzucić w objęcia bogini, gdy królowa skinieniem berła każe się uciszyć towarzyszkom i tak do zdumionego rzecze:

— Stój, niebaczny! Zbrodnia twa wielka i godna kary, jednak ci przebaczę pod jednym warunkiem. Podobała mi się twoja uroda. Kochaj mię, a będziesz szczęśliwy. Lecz jeśli-

byś wzgardził miłością Juraty, wtedy zaśpiewam ci taką piosnkę, że wnet będziesz w mej mocy, a za dotknięciem mego berła zginiesz na wieki.

Młodzieniec wybrał i zaprzysiął jej wieczna miłość Królowa na to:

— Teraz już jesteś moim. Nic zbliżaj się do nas, bo byś zginał. Za to co wieczór będę przyływać do ciebie i na tej górze, która odtąd od twego imienia zwać się będzie Castiv zawsze zobaczę się z tobą. Po czym zniknęła królowa z całym orszakiem.

Rok już mijał, jak co wieczora królowa Jurata przyjeżdżała na brzeg i na górze widywała się z kochankiem; lecz Perkun dowiedziawszy się o tej schadzce rozgniewał się mocno, że bogini poważyła się ukochać śmiertelnika. A gdy jednego roku wróciła królowa do swego pałacu, spuścił z nieba piorun, który rozpruwszy morskie bałwany uderzył w mieszkanie królowej, samą zabił i bursztynowy pałac na drobne roztrzaskał cząstki. Rybaka zaś Praamżimas przykuł na dnie morza do skały i położył przed nim trupa jego kochanki, na który wiecznie patrząc, przymuszony jest oplakiwać swoje nieszczęście. Dlatego to teraz, gdy wicher morski zaburzy fale, słyhać jęk z daleka — to jęk biednego rybaka; a woda wyrzuca kawałki bursztynu — to są szczątki pałacu królowej Bałtyku.

* Tak się nazywa morze u Litwinów; brzegi zaś — *pojuris*.

** Litwini i Żmudź mniemają, iż fląderki dlatego jedno mają oko i postać jakoby połowy ryby, ponieważ królowa Jurata bardzo one lubiąc wszystkim drugą połowę poodgryzała i nazad do morza wpuściła.

17. Witolf

Był to człowiek nadzwyczajny: przeszłość wiedział, terażniejszość rozumiał, przyszłość zgadywał. Królowie do jego rady i woli stosowali się. On przebywał na swoim statku morze od brzegu do brzegu świata prędzej, niżeli kto mógł przez Niemen przepłynąć. Rozmawiał z księżycem i znał nieskończenie wiele gwiazd po imieniu. Miał konia nazwanego Jodź, na którym wiatry wyprzedzał. Pałacem jego była głowa owego konia; przez jedno ucho wchodził, przez drugie wychodził.

Kiedy u pewnego króla biesiadował, koń Witolfa zszedł się na błoni z klaczą królewską, która miała podobne przymioty: ale bogowie nie chcąc, aby rodzaj takich olbrzymich zwierząt rozmnażał się, przykryli ich dwiema, górami, pnącymi się jedna na druga. Witolf z rozpaczki oddalił się ze dworu tego króla i kiedy powracał z wojskiem na zawojowanie jego królestwa, trafił pod tą górą na smoka Pukisa, z którym walcząc pokonał go i niezmiernie skarby zabrał. Wreszcie pojednał się z królem tamecznym, gdyż oba czarownikami byli.

18. *Krysztofor* *

Przed bardzo dawnym, dawnym czasem żył na świecie pewien wielkolud nazwiskiem Oferusz. Był to człowiek tak ogromnego wzrostu, że w wielkim palcu swojej rękawicy wyprawiał siostrze wesele; a kiedy mu matka umarła, on chcąc jej grób usypać, nabrał w but swej ziemi i wytrząsnął ją na ciało matczyne, i wzniosła się góra aż pod obłoki. Tam zaś, skąd owej ziemi nabrał, powstała przepaść; a była to przepaść tyle mil głęboka w ziemi, ile mil góra nad ziemią sterczała. Nad przepaścią usiadł Oferusz i płakał rzewliwie, a wszystkie lzy jego w otchłań kapały i zrobiło się morze. Dlatego to woda morska jest gorzka i słona. Potem wyszedł Oferusz na wędrówkę i szukał pana, który by ze wszystkich był najmocniejszy i najpotężniejszy: u takiego pana jedynie chciał służyć. Radzono mu tedy, aby się udał na dwór pewnego króla, który nie znał wyższego od siebie i nie znał, co to strach w życiu.

Przybywszy do niego Oferusz popisывał się ze swoją siłą i został mile przyjęty; nie odstępował odtąd na chwilę boku mocarza i był jego najulubieńszym powiernikiem. Podobano się to bez wątpienia Oferuszowi, postanowił więc całe życie na dworze pozostać. Ale zdarzyło się pewnego dnia, że jeden z sług królewskich wymówił w gniewie imię diabła. Słyszając to król bogobojny przeżegnał się krzyżem świętym.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytał się Oferusz, który jeszcze był poganinem i nie znał zwyczajów chrześcijańskich.

— Zrobiłem to dlatego — odpowiedział król — że boję się diabła.

— Kiedy ty się diabła boisz, więc jesteś słabszy od niego.

— Pójdę ja zatem służyć u silniejszego pana — zawołał Oferusz i zaraz dwór królewski opuścił i powędrował na puszcze, w której dnia pewnego napotkał rotę czarnych rycerzy, z rogami na głowie, z pazurami u rąk, a z widłami w pazurach. W pośrodku siedział najczarniejszy i najokropniejszy na tronie z głów trupich i kości ludzkich i wrzasnął rykliwym głosem: Oferusie; Czego szukasz? — Szukam diabła — odpowiedział nieulękliwy Oferusz — ażeby u niego służyć.

— Ja jestem diabłem — rzekł wódz czartowski i podał rękę Oferuszowi, który odtąd boku jego nigdy nie odstępował; a był mu jak prawa ręka przydatny.

Pewnego dnia wyruszyła cała owa rota po zdobycz do pobliskiego miasta i przybyła na drogi krzyżowe, kędy stała Boża męka. Postrzegłszy ją dowódca zatrąbił co tchu na odwrót.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytał Oferusz.

— Dlatego, mój przyjacielu, że się boję Chrystusa! — odpowiedział diabeł.

Ty się boisz Chrystusa, pomyślał sobie Oferusz, więc jesteś słabszy od niego; pójdę więc służyć Chrystusowi.

I znowu diabła opuścił; a wędrując po puszczy napotkał ubogiego pustelnika i zapytał go: - Gdzie jest Chrystus?

— Wszędzie! — odpowiedział pustelnik, ale poganin nie rozumiał i pytał powtórnie:
— Jak ja mam służyć Chrystusowi?

— Módl się a pracuj! — rzekł zapytany.

Modlić się Oferusz nie umiał, lecz umiał pracować. Poszedł tedy za pustelnikiem nad bystry strumień płynący z góry i dowiedział się, że każdy pielgrzym, chcący się przeprawić na drugą stronę, tonie na środku.

— Tobie — mówił pustelnik — dał Bóg silne zdrowie i ciało olbrzymie, przenoś więc podróży na swoich barkach. Jeżeli to zrobisz dla miłości Chrystusa, to cię przyjmie za swego sługę.

— Zrobię to dla miłości Chrystusa — zawołał Oferusz i przenosił dniem i nocą wszelkich pielgrzymów, wspierając się na ogromnej sośnie, którą wyrwał z korzeniem.

Pewnej nocy zasnął głęboko, znużony pracą dzienną; wtem słyszy głos dziecięcia wołający go trzy razy po imieniu. Wstał więc bez zwłoki, wsadził dziecię na barki i wkroczył we wodę, która dawniej zaledwie kolan mu sięgała. Ale dzisiaj, gdy stanął na środku, szum powstał i wicher, woda się wzburzyła; bałwany biły z wściekłością o brzegi, a Oferusz zgiął się pod dziecięciem jak pałak i pierwszy raz w życiu uczuł strach i drżenie. Podniósł więc głowę i rzekł: — Dziecię! Dziecię! Dlaczego ty takie ciężkie? Mnie się zdaje, że świat cały dźwigam na moich ramionach?

— Nie tylko świat dźwigasz na swoich ramionach — odpowiedziało dziecię — ale i tego, który świat stworzył. Jestem Chrystus, któremu ty służysz; chrzczę ciebie w imię Ojca, w imię moje i w imię Ducha Świętego. Odtąd nazywać się będziesz Kryztofor, to jest piastun Chrystusa.

Odtąd więc nazywał się ów wielkolud Kryztoforem i chodził wzdłuż i wszerz po świecie, aby nauczać słowa Pana swojego i został za te nauki od pogan ukamienowany.

* Podanie to, lubo nie jest płodem wyobraźni naszego ludu, wszelako stało się jego własnością wraz z innymi legendami, które w średnich wiekach z Niemiec do nas przybyły. Rozpowszechniło się ono, równie jak często widzieć się dające posągi Kryztofora na domach w Krakowie, Kazimierzu itd. Jest też pieśń stara o św. Kryztoforze, którą Lelewel w księgach bibliograficznych przytacza. Wiara taka panowała w średnich wiekach, iż stąd kto ujrzał wyobrażenie św. Kryztofora, miał śmierć szczęśliwą; stąd przysłowie łacińskie: *Christoforum videas, postea tutus ear*. Godną rzeczą zastanowienia jest herb miasta Wilna: Kryztofor święty.

19. Anafielas

Krąży powieść na Żmudzi około Kretyngi, iż jest jakaś góra stroma i niedostępna, nazywająca się Anafielas, na którą cienie umarłych wdzierać się muszą. Dlatego paznokcie długie, pazury zwierząt, oręże, konie, sługi itp. potrzebne są dla prędszego dostania się na nią. Im zaś człowiek był bogatszy, tym trudniejszy mu przystęp; gdyż mienia ziemskie ciężą mu na duszy. Ubogi, lekki jak piórko, może się wdrzeć na górę, kiedy bogów nie obrażał w życiu. Inaczej grzesznego bogacza smok Wizunas, pod górą mieszkający, pożre i równie jak ubogiego grzesznika złe wiatry uniosą. Bożek mieszkający na szczycie tej góry, jako jest pełen sprawiedliwości, sędzi umarłych z ich postępków za życia. Każdy według jego sądu odbiera nagrodę lub karę wieczną.

20. Krumine

Królowa, nazywająca się Krumine, miała córkę jedynaczkę, nadzwyczajnej piękności. Ta, za nadejściem jednej wiosny, chciała matce przysłużyć się świeżo rozkwitłymi kwiatami, które z okien zamku królewskiego ujrzała nad brzegiem rzeki Roś; w tym zamiarze wybiegła niepostrzeżona. Kwiat jeden z najśliczniejszych, jakie wiosna wydała, który się zdawał być nad samym brzegiem, ujrzała wśród rzeki wyrosły. Woda go z wolna kołysząc w swym biegu, podwajała jego piękność błyskaniem świetnych kolorów, jakie drogic kamienie wydawać zwykły. Rzeka była bardzo mialka w tym miejscu, płynęła po żółtym piasku. Królowa znęcona powabem kwiatu, zrzuciwszy szkarłatne obuwie, ośmieliła się wnieść do wody. Zaledwie się zbliżała do zerwania mniemanej zdobyczy, dno rzeki się rozwarło i została porwaną w otchłań podziemną, Pragaras, to jest do piekła. W tym państwie piekielnym panował król, Pokole zwany, który uwielbiał wdzięki młodej królowy. Nieszczęśliwa matka, której obuwie tylko córki przyniesiono, przekonaawszy się, że na rzece Roś porwaną została, domyśliła się, że ktoś z mocarzy panujących nad wodą czy pod wodą ten postępek spełnił. Udała się więc dla wyszukania swej straty na wędrowkę po całym świecie. Lecz próżne były śledzenia. Gdy powróciła do Litwy, nic więcej prócz łez nie przyniosła, z którymi i wyjechała. Atoli nabyła umiejętności uprawy roli i zasiewania z korzyścią zbóż rozmaitych, których nasiona przywiozła z sobą. Odtąd zaczęła nauczać lud ubogi, dzikimi płodami przyrodzenia żywiący się, sztuki rolnictwa.

Gdy wytrzebiono na pole pewny las, pełen niegdyś smoków, Staubunas zwanych, znaleziono w nim kamień, na którym Przeznaczenie, Pramżymas, wyrzyło palcem swym przed wielą wiekami od bogów naznaczony los dla córki Krumini. Zaledwie wyczytała ten napis, ze wściekłością pałająca gniewem i zemstą, zapuszcza się królowa w podziemne państwo Pokola. Ale gniew jej został rozbrojony czułym spotkaniem: albowiem ujrzała przeciw sobie idącą nieśmiertelną córkę, orszakiem najśliczniejszych wnucząt otoczoną, które, upadłszy jej do nóg, wzywały przebaczenia dla matki swojej. Królowa nie tylko dała się przebłagać, ale zezwoliła na przepędzenie z nimi lat kilku.

Kiedy powróciła do swego królestwa, znikły tułactwa, dzikość, rozboje. Nędza, głód,

nagość przemieniły się w obfitość, dostatki, przepych i miłe rolnicze obyczaje. Lud ubóstwiał swoją królowę i nauczycielkę najpożyteczniejszej sztuki.

21. *Nemon*

Na Żmudzi nadniemeńskiej krąży takie podanie: Żeglarze przybyli zza morza żeglowali w górę Niemnem, doszedłszy do ujścia Dubissy, dowiedzieli się o wyroczni będącej blisko źródeł tej rzeki; z radości więc, że drogę do tej świątyni znaleźli, śpiewali: Sze radom, tuśmy odkryli, co było przyczyną nazwania miejsca Szeradzia, dziś miasteczko Seradnik. Upłynąwszy Dubissą w górę całą milę, wypoczywali na brzegu z żołnierstwem swoim, gdzie stanąwszy obozem, rzekli: Czekiszkim znoka — utkwijmy chorągwie. To dało powód nazwaniu Czekiszek, dziś miejscina tak zowiąca się. Dalej płynąc dostali się w puszczę niezmierne, gdzie natrafiając wiele przeszkód do dalszej podróży mawiali: E-ira gałas — nie ma końca; to miejsce nazwane zostało Eiragołą i tak do dziś się nazywa. Lecz, gdy posunąwszy się wyżej rzeką, dalsze usilności przekonały, że można dojść do zamierzonego celu, śpiewano śpiew oznaczający radość, że jest koniec: Bet ir gałas, stąd nazwanie miejsca Betygoła. Wódz tych żeglarzy i wędrowników nazywał się Nemon; od niego rzeka, po której pierwszy żeglował, wzięła miano Niemna.

22. *Rumszys*

Stary Rumszys, drwal ubogi, rąbiąc drzewo złamał siekierę, z płaczem więc w nocy powraca do domu. Gdy już był blisko domu, usłyszał jęk zgłodniałych dzieci, co go taką rozpaczą przejęło, że postanowił się utopić. Idzie więc do Niemna, rzeka była zamarznęta, a przerębli nigdzie nie mógł znaleźć; próbował wykuć ją kamieniem, lecz gdy to było próżnym, siadł na lodzie i tak gorącymi łzami płakał, że aż lód od nich odtajał. Gdy się miał rzucić w wodę, nadbiega szatan i rzecze:

— Czego sobie masz życie odbierać, kiedy przeznaczeniem twoim jest być najbogatszym i najszczęśliwszym człowiekiem. — Rumszys rozśmiał się gorzko i wskakuje w przerębel, ale szatan go pochwycił i z wody wyciągnął.

— Słuchaj, Rumszysie, wyratowałem cię od śmierci — rzecze szatan — a teraz dowiedz się, że bylebyś zapragnął, będziesz bogatym, ale musisz dać mi wprzód to, czegoś w domu nie zostawił.

Rumszys się namyślił, cały jego dom tak był nędzny, znikąd zresztą niczego się nie spodziewał, że wnet zezwolił na warunek szatana. W drodze już skutek obietnicy się okazał — piękny rumak z złotym rzędem stanął przed Rumszysem, miał na sobie wór, a w nim futro, szabla i dzwonek. Ubrał się tedy, siadł na konia — lecz go nikt w domu nie poznał; dzieci zaczęły się chować za piec, a żona rzekła: Mój mężu! Pókiś był biedny, to cię

kochałam, ale teraz widzę cię w zlocie, nie mogłeś tego zapracować, musiałeś złupić kogo, to brzydzę się tobą. Rumszys opowiedział jej swoją przygodę, ale to żony nie uspokoiło, owszem bardziej jeszcze płakać poczęła.

— Przeklęty! — zawołała — a toćś własne dziecko zaprzedał, dzisiaj porodziłam syna. Tu się zasmucił Rumszys, siedział długo przy ogniu, i postanowił zaraz nazajutrz zawieść syna do Krywe-krywejty, aby się w świątyni wychował, żeby niewieściego pokarmu nie zasmakował, a przez to, żeby nabrał mocy i szatana zwojował, gdy przyjdzie czas umowy, w którym szatan ma zabrać młodego Rumszysa; miało to być w dziewiętnastym roku życia.

Gdy to Rumszys skutecznił, zajął się budową wsi; łatwo mu poszło, bo na co tylko zadzwonił, wszystko szło, gdzie kazał, sosny same z boru przychodziły i kładły się w porządne zręby. Kogo uderzył szablą, zmieniał się w co chciał, a gdy przywdział futro, mógł wróżyć i widział, co się na drugim końcu świata działo. Wieś zbudowana nad Niemnem od Rumszysa Rumszyszkami się nazywa.

Gdy młody Rumszys dorósł, był nadzwyczajnie silny i tak świątobliwych obyczajów, że szatan nie miał do duszy jego żadnego przystępu. Jął więc kusić powtórnie ojca obiecując mu nieśmiertelność, byle zezwolił na jedną próbę. Zgodził się Rumszys i kazał szatanowi na godzinę przed kurami wylecieć z domu swojego i nim kury zapieją, przynieść olbrzymi kamień spod Kłajpedy. Diabeł leci, lecz pomimo wszystkich wysiłków nie mógł z kamieniem zdążyć na czas; kur zapiał, kiedy od Rumszysa mieszkania tysiąc kroków był zaledwie. Szatan zawył z rozpacz, rzucił kamień w Niemen. Długo jeszcze potem nocami przeszkadzał podróżnym, aż na koniec zniknął zupełnie, a ów kamień sterczy do dziś w poprzecz Niemna i tworzy próg, z którego woda z szumem się wali.

23. Wajdelotka

Koło Rumszyszek nad Niemnem krąży powieść, iż pannę świętą, czyli wajdelotkę pomówiono o spółkowanie z nieznanym rycerzem; za to wykroczenie wieziono ją czarnymi dwoma krowami i miano zaszyć w worze skórzanym z psem, kotem i żmiją i utopić w Niemnie. Wtem rycerz, który był przyczyną jej nieszczęścia, ukazał się na koniu w żelaznej zbroi, uwolnił pannę i kazał sobie dać z nią ślub nad samym brzegiem rzeki, potem oboje objawszy się skoczyli do wody i znikli z oczu. Woda na tym miejscu wrzeć i kręcić się poczęła, co i teraz jeszcze się dzieje, jakoby obchodząc gody weselne tej nieszczęśliwej pary. Ona wychodzi niekiedy przy świetle księżycy w nocy na brzeg, śpiewa piosnkę o swojej przygodzie i pierś daje niemowlęciu. Czasami w towarzystwie rycerza ukazują się na brzegu rybakom i słyszą przy nich warczenie psa, miauczenie kota i syk żmii.

24. Mogiły Soroki*, Nepromacha i Prakse- dy

Prakseda, władczyni Kalnika, miała wojnę z sąsiednim władcą Nepromachem; drugi jej sąsiad Soroka, chcąc ją wspierać swym wojskiem, przyprowadził je pod Kalnik, a Prakse-
da wzięwszy go za oczekiwanego Nepromacha, stoczyła z nim bitwę, w której Sorokę
położyła trupem. W ostatniej chwili błąd swój poznawszy, usypała w pamięć poległego
mogiłę, a we dwóch drugich złożyła pobitych w tym boju obu wojsk mężów. Lecz załed-
wo robotę tę skończyła, gdy nadciągnął Nepromach. Prakseda nie ufając uszczuplonemu
przeszłym bojem swojemu wojsku, wyzwala w osobisty bój Nepromacha, w którym wza-
jemnie siebie pomordowali; a na ich zwłokach wojska ponasypywały mogiłę.

W późniejszych czasach na szczycie mogiły Soroki miał wyrosnąć dąb ogromnej wy-
sokości, a na jego wierzchołku położono blachę dla rozpalania na niej ognia ostrzegające-
go okolicznych mieszkańców o zbliżaniu się nieprzyjaciela.

* Mogiła Soroki, leżąca przy Kalniku w powiecie lipowieckim, dziś jest rozkopaną,
lecz z pozostałej jej części wnosić można, że mogiła była na 200 sążni wysoką.

25. Mogiła Perepiat i Perepiatycha

Perepiat i Perepiatycha, dwie mogiły koło Chwastowa na Ukrainie, wedle podania usy-
pane są dla męża i żony. Mąż, wódz sławny, powracał z dalekiej wyprawy na Połowców z
wojskiem odzianym w zbroje nieprzyjacielskie. Żona w trwodze uderzyła nie niego z do-
mową drużyną; i poległ tam oboje w błędnej tej bitwie. Przy skonaniu jednak poznali się,
niesłychanie czule witając się i żegnając do lepszego świata.

26. Mogiła Mełanki

Tak się ta mogiła nazywa od pochowanej w niej ładnej dziewczyny tego imienia, udu-
szonej od Satany, czyli upiora, w wieczór św. Katarzyny, w którym Ukrainki zbiegłszy się
na wieczornice gotują kaszę i wylazłszy na płot wołają swoich narzeczonych: po takim
zawołaniu, z której strony psy zaszczekają, z tej strony narzeczony ma przybyć. Właśnie
na wołanie Mełanki nie odpowiedziały psy, lecz przybył sam narzeczony, który umarł był
przed rokiem ze zgrzyoty, gdy mu Mełanka nie była wierną w dotrzymaniu słowa wyjścia
za niego za męża, i pochwyciwszy dziewczę, udusił.

27. Świrydowa mogiła

W pan; godzin drogi od warowni Kilji, w kierunku Benderu, jest mogiła w polu, na wierzchołku której leży kamień z wykutym krzyżem. Takie o niej podanie: Na Wołoszczyźnie była jedna wielka czarownica, a miała córkę tak ładną, jak gwiazda. Dziewczyna ta bała się i nie lubiła Turków: kiedy więc ślali się do niej rozmaici bojarzy i kniazie, ona powiadała, że za tego pójdzie za męża, który ze swoim wojskiem trzy razy Turków w boju pokona, bo właśnie była wtenczas wojna z Turkami. Między starającymi się o nią był jeden bojarzyn dalekiej ziemi, a nazywał się Świryd *; on usłyszawszy o tym radził się czarownicy; a ta mu dała ziele, którego gdy się napił, widział jak na dłoni w przyszłości, że on, choćby z jak małym był wojskiem, pobije trzy razy największe siły tureckie. Poszedł więc na wojnę i po trzykroć nieprzyjaciół pokonał; po czym wrócił, aby pojąć krasawicę za żonę. Było to właśnie wtenczas, kiedy jeden mołdawski bojarzyn zakochawszy się w onej pięknej dziewczynie obsypał ją bogactwami, lecz chociaż ta była wierna swemu słowu, matka jej jednak, ujęta tymi bogactwami, życzyła skrycie za męża swej córce możnego bojara: powrót więc Świryda był jej nie po myśli, tym bardziej, że on już do jej córki zupełnie miał prawo. Wiedziała stara czarownica, że już Świrydowi z Turkami nie wojować; poi go więc drugi raz ziele, przez które wszystkiego, co w swej przyszłości widział, zapomniał; a sama potem zaczęła wymawiać Świrydowi, że powrócił z wojny wtenczas właśnie, kiedy Turcy stali się najniebezpieczniejsi. W tymże czasie i ów bogaty bojar przysłał do niego posty z uwiadomieniem, że Turcy odejściem Świryda ośmieleni coraz straszniejszymi się stają. Młodzieniec, z jednej strony niemęskim wyrzutem, z drugiej — zręcznym pochlebstwem zapalony, porzuca płaczącą swą narzeczoną, a sam w pole wyciąga; znalazł Turków nad Dunajem i zaraz wszedł z nimi w bój; lecz pokonany, stracił wszystko swoje wojsko i sam został zabitym, kilku z pozostałych jego towarzyszy tę mu usypali mogiłę i położyli na niej kamień z krzyżem. Turcy potem ową ładną dziewczynę zabrali, a starą czarownicę diabli w nocy aż dotąd topią w jednej studni wykopanej w polu, wokoło której na milę nie ma ludzkiego mieszkania.

* Pan Izopolski domyśla się, że Świdryd mógł być znanym w dziejach hetmanem Janem Świrgowskim. Podług pieśni poległ on niedaleko Kilji w roku 1574

28. Wał Olgi

W okolicach Zborowa (na Podolu), Kołtowa pokazuje lud ciągnący się przerwami wał, nazywany wałem Olgi. Księżniczka ta uciekając przed Batyjem, wodzem Tatarów, przemieniała się w mysz i szła pod ziemię i wszędzie, gdzie nurtowała, wysypywał się taki wał. Bezpieczne schronienie znalazła dopiero na Horodyszczu zwanym Pleńsko, w pobliżu Podhorzec, gdzie zamknąwszy się w grodzie, dała odpór hordom tatarskim. Na tym miejscu widać kilkaset mogił; w pobliżu stoi monasterek księży bazylianów.

29. Wał Żmii

I

W niepamiętnych czasach Kozaczyzny Bóg zesłał na kozacki naród straszliwą potworę nazwaną Żmiją, która całą krainę spustoszyła najokropniej. Władca tej ziemi zapobiegając dalszym nieszczęściom ułożył się z potworą tą codziennie dawać jej na pożarcie jednego młodzieńca, kolejną z każdej rodziny w kraju. W sto lat potem przysłała kolej na rodzinę panującą, w której był tylko jeden młodzian, ostatni rodu potomek. Próżno cały naród ofiarowywał w zamian swych synów, potwór Żmija zamiany nie przyjmował. Wówczas nieszczęśliwy młodzieniec był zawieszony na oznaczone miejsce, aby był pożarty od Żmii. Młodzieńcowi temu, gdy się tam został, zjawił się anioł i nakazał ucieczkę przed Żmiją: dla skutecznienia jakowej nauczył go modlitwy i Ojciec nasz: jakoż, gdy zbliżenie się Żmii uprzedził gwałtowny szum wichru, młodzieniec przedsięwziął ucieczkę, która trwała trzy dni i trzy noce; skoro zaś młodzieniec choć na chwilę przestał powtarzać nauczoną modlitwę, natychmiast zaczynały go palić wyziewy z paszczy rozsrożonej i ścigającej Żmii. Czwartego dnia młodzieniec całkowicie z sił wyniszczony, już prawie był dościgany, gdy ujrzał przed sobą kuźnię, gdzie święci Hleb i Borys pracowali nad zrobieniem pierwszego pługa dla ludu tej krainy, i młodzieniec skrył się do owej kuźni, a święci przerażeni słyszonym szumem wichru, uprzedzającym o zbliżaniu się Żmii, żelazne drzwi kuźni zatrzasnęli i w tejsze prawie chwili przybiegła Żmija, prośbą i groźbą żądając wydania sobie młodzieńca; czego gdy święci skutecznie nie chcieli, Żmija trzy razy zalizła językiem żelazne drzwi kuźni i za czwartym razem język na wylot przesadziła. Wówczas święci, mając na pogotowiu rozpalone kleszcze, schwycili Żmiję nimi za język; a tak złapaną wprzęgli do gotowego już pługa i odrzucili nim skibę, do dziś nazywaną wałem żmijowym.

II

Drugie o tychże wałach podanie, więcej rycerskie, tak samo jak poprzedzające się zaczyna, wywodząc tylko pochodzenie Żmii, że wyszła z morza i siedm głów miała i że jej nie młodzieńce, lecz najpiękniejsze poświęcano dziewice. Wypadła kolej na królowną, którą mimo ciężki żal rodziców i narodu odprowadzono na oznaczono miejsce, gdzie gdy nieszczęśliwa płakała, przybył jakiś nieznajomy młodzieniec, od stóp do głowy zbrojny i o przyczynę płaczu zapytał; w czym objaśniony, przyrzekł królownie wybawić ja od śmierci i dla nabrania siły do walki ze Żmiją położył się spać, poleciwszy zbudzić siebie królownie. Gdy łoskot do gromowego podobny zwiastował zbliżanie się Żmii, strwożona dziewica upadła na kolana przed śpiącym bohaterem i pod uchylonym hełmem ujrawszy piękną twarz młodzieńca uczuła w sercu nowe, dotąd obce dla siebie wzruszenie. Wtem łza jej spadła na twarz śpiącego, czym gwałtownie obudzony zawołał, dlaczego by tak go mocno w twarz upiekła? Odrzekła, iż Żmija się zbliża. Młodzieniec uchwycił broń i w pogotowiu czekał na Żmiję. Wkrótce nastąpiła walka, która trwała trzy dni i trzy noce. przerywana. to odpoczynkiem walczących, to mimowolnym wykrzyknieniem królowny, gdy która z siedmiu głów Żmii upadła pod nogi jej bohatera; czwartego dnia Żmija została pokonana, straciwszy ostatnią, siódmą głowę. Wówczas młodzieniec odwiózł królowną jej rodzicom, ożenił się z nią i wziął w posagu królestwo: żeby zaś nowa Żmija kiedy nie przysłała od morza, granice swego państwa obwiódł wysokim wałem, którego szczątki do dziś dnia noszą nazwę wałów żmijowych.

III

W Kozaczyźnie był hetman Żmija, chrobry i wielki wojownik. W jednej z wypraw swoich poznał bardzo ładną Laszkę i ożenił się z nią; a chcąc odtąd żyć z żoną, postanowił kraj własny obwarować od napadów sąsiedzkich. Dlatego podzielił kraj na 10 pułków, a w każdym pułku kazał na granicy zbudować 10 zamków; tak aby wszystkie sto stanowiły jedne prawie ścianę. Prace te jednak zaledwo w części przyprowadzono do skutku, gdyż żona Żmii, nie kochając męża swego, dała o wszystkim wiedzieć swoim braciom, którzy najechawszy królestwo Żmii ogniem i mieczem je zniszczyli; a samego Żmiję schwytawszy rozsiekali i wszędzie, gdzie tylko były wały usypane z jego rozkazu, po kawałku trupa powieszono i odtąd wały te zowią żmijowymi wałami.

30. Góra Koniusza

Przybysław, rycerz jeden herbu Śrzeniawa, mieszkał na górze, którą zowią Koniusza, pod samymi Proszowicami, a temu się takowy przypadek trafił:

Miał konia, którego, że był w biedzie, sprzedał Węgrzynowi do Węgier i tenże koń we trzy lata zasię przyszedł do niego i stado mu wielkie koni z sobą przyprowadził. Stądże tę górę dziś zowią Koniusza, na której Przybysław dlatego kościół zbudował.

31. Żupy solne w Wieliczce

Bolesław Wstydlivy zaręczył sobie przez posłów królowną Kunegundę na Węgrzech. Ta oblubienica, nie chcąc u ojca brać żadnego posagu w złocie i srebrze, prosiła go tylko na wyjeździe, aby jej darował, co by równie bogaczom i ubogim służyć mogło. Zezwolił ojciec, a Kunegunda pojechawszy do żup węgierskich ślubną tam obrączkę wrzuciła. Stańawszy potem w Krakowie, kazała się wieść po niejakim czasie do Wieliczki, a gdy za jej wolą kopać tam zaczęto, znaleziono sól, a w pierwszej bryle rzuconą w Węgrzech obrączkę.

32. Strukis

W powiecie mariampolskim, w lasach pilwiskich jest jezioro zwane Strakbalis (Strukisowe błoto), nadzwyczajnie głębokie, lecz zupełnie bezrybne. Włościanie mniemają, że to stąd pochodzi, iż wszystkie ryby w tym jeziorze znajdujące się są pod władzą wielkiego

szczupaka Strukisa (kusego), który więzi je na dnie; najdrobniejsza płotka nie może się ukryć przed baczny jego okiem. Ten groźny pan raz tylko na rok zasypia w noc świętego Jana; spoczywa bardzo krótko, bo tylko godzinę po północy. Ryby wtedy korzystając ze snu swojego ciemieży gromadami wesoło pluskają po całym jeziorze.

Jeden z rybaków odkrył tę tajemnicę i z licznym przyborem czekał na uśpienie Strukisa. Skoro tylko zbliżyła się północ, jezioro zawrzało od mnóstwa ryb; rybacy spieszenie zarzucili niewód, sieci rwały się od niezmiernego połowu; ponapełniali nim czółna; lecz gdy nie mogąc chciwości swej powściągnąć jeszcze o jednej toni pomyśleli, minęła godzina. Strukis się obudził, wpadł w wściekłość, olbrzymimi skrzelami wyrzucił łódzie, zatopił łakomych rybaków i uwolnił złapane ryby. Po tym zwycięstwie, aby się od podobnych uchronić napaści, zmienił czas swojego spoczynku i odtąd godzina snu Strukisa stała się zagadką.

33. Krynica Parascewy

O krynicy tej, oddalonej u ćwierć mili od Białogrodu (Akermanu) nad Limanem w skałach znajdującej się, gdzie najeżone bryły urwisko tworzą, takie jest podanie:

Paraska była rodem z Polski. Tatarzy w jednym ze swoich napadów na Podole porwawszy ją, dla piękności ofiarowali baszy akermańskiemu. Świeżemu i krasnemu dziecięciu było zaledwie lat szesnaście, ale dusza w niej nad lata i pobożność wielka. Na próżno zakochany Turek pieścił ją chcąc ułagodzić, w haremie swym trzymał, obsypywał podarkami i obietnicami. Ona była chmurna, ona milczała uporczywie i rozweselić się, i rozchmurzyć nie dawała. Turek na próżno chciał ją skłonić ku sobie, i prosił, i upokarzał się, ona się opierała i modliła. Raz wreszcie rozjątrzony oporem wszedł nocą do haremu do mieszkania Paraski i porwał się do niej. Anioł stanął w obronie pobożnej. Przerażony mużłman cofnął się, a Paraska korzystając z otwartych drzwi i chwili przerażenia skoczyła w nie; minęła strażę, pobiegła nad Liman wzdłuż brzegu szukając łódki, co by ją przewiozła i ułatwiła ucieczkę. Pogoń, przez opamiętałego a gniewnego baszę wysłana, napadła Paraskę w skałach, gdzie się kryła upatrując łódki na wodach Limanu. Tuż ją mieli porwać, gdy się w czyste rozplynęła źródło: krynica ta zowie się krynica Paraski Świętej lub Świętą Krynica. Przypisują jej moc cudownie uzdrawiającą i chorzy przyjeżdżają tu do kąpieli.

34. Lasy użwarskie

W lasach użwarskich na Żmudzi, gdzie są nieprzebyte bagna i topiele, mają czarownice i laumy swoje siedlisko. W środku tych trzęsawisk mieszka królowa użwarska; nikt tam żywy nic mógł zbliżyć się bezkarnie; a jeżeli kto ciekawością znęcony odważył się zakazaną przestąpić granicę i ujrzał cudną twarz królowej, ten się na zawsze pożegnał z nadzieją na ten

świat powrotu, bo wiecznie musiał błądzić po lesie, słysząc ze wszech stron złośliwe uśmiechy i naigravanje bogiń.

35. Dziwo w jeziorze krakowskim

W wigilię Nowego Roku za czasów Bolesława Wstydlwego widziano widowisko straszne w krakowskim powiecie. Jezioro albowiem jedno szerokie czartowska moc opanowawszy, łowienia w nim ryb i używania wszelkiego ludziom usilnie broniła. Do którego, skoro zamarzyło, zeszedli byli obywatele dla ryb łowienia, kapłanów z sobą, chorągwi, krzyżów i światłości rozlicznych nabrawszy, aby orężem świętym moc szatańska mogła być odgromiona. Gdzie, gdy niewód zapuszczono, pierwszym wprawdzie zamiotem trzy rybeczki wyciągnęli rybitwi: wtórym zaś nic, krom sieci pogmatwanej. Aż gdy trzeci raz zapuszczają, dopiero szkaradnego, strasznego i wielkiego Dziwa na brzeg wywłóczą z rogami i ze łbem kozim, z którego łba oczy, jak dwa węgle rozpalone ze źrenic gorejących pały. Co widząc, gdy nagle wszyscy przestraszeni, różno się rozskoczą, brzydkie ono larwisko pod lód znowu porywa: gdzie po wszystkim jeziorze trzebiąc, grzmot okropny uczyni, ryk ogromny wypuszcza, a zaraz niektóre ludzkie parą smrodliwą zaraziwszy, sprośnych wrzodów nabawia.

36. Dżuga

O pół mili przy drodze idącej z Telsz na Olsiudy przedstawia się oku wyniosła góra ręką ludzką sypana. Lud tameczny nazywa ten usyp górą Dżuga, niejakiegoś w dawnych czasach żmudzkiego rycerza, który za życia jeszcze własnymi rękami usypał ten kurhan i na grób sobie przeznaczył. Ciało Dżuga przez długi czas było strzeżone od diabłów, z którymi żył niegdyś w wielkiej przyjaźni. Za ich pomocą cudów waleczności dokazywał Dżuga. Sam jeden krocie Krzyżaków swoją żelazną maczugą zabijał, odwieczne dęby łamał jak trzciny i niebotyczne wywracał góry. On to Telszewskie wykopał jezioro i przy nim osadę założył.

37. Szatryja

Szatryja jest to wyniosła góra, podobno najwyższa ze wszystkich gór Żmudzi. Lud powiada, że z wierzchołka Szatryi tak rozległy odkrywa się widok, iż dwanaście kościołów ujrzeć można. Tutaj ma być grób Jauterity, żony olbrzyma Aleisa; tutaj w wigilię świętego Jana z całego kraju zlatują się czarownice na ucztę.

Pewien śmiały parobczak, chcący wiedzieć, co się na tej górze dzieje, udał się w nocy przed św. Janem na ucztę czarownic. Znalazł tam wielkie zebranie kobiet i mężczyzn ubieranych w stroje niemieckie, mających kapelusze na głowie, z których sterczały ogromne rogi. Grała cudowna muzyka, rozmaitego rodzaju napoje lały się strumieniami i całe zgromadzenie do upadłego tańcowało. Parobczak został bardzo dobrze przyjęty. Posadzono go na diamentowym tronie, ugoszczono wybornym winem ze złotego kielicha, dano kilka garści pieniędzy, które natychmiast schował, i proszono jak na j usilniej, aby pił i był wesół. Ta biesiada trwała przez kilka godzin. Wtem kur zapiał i wszystko znikło. Parobczak został sam jeden na górze, a kiedy się począł wszystkiemu przypatrywać, postrzegł, iż ów tron diamentowy, na którym go Niemczyki posadzili, był tylko pniem spróchniałym; ów złoty kielich zgniłą czaszką trupa. Sięgnął do kieszeni i zamiast pieniędzy znalazł traski!

38. *Kiszporg*

Na miejscu, gdzie teraz stoi miasteczko Kiszporg (Christburg), mieli dawni Prusacy zamek. Długo Krzyżacy nadaremnie zamek ten oblegali. Na koniec go dobyli i wszystkich tam co do nogi wycięli; a że to w wigilię Bożego Narodzenia się stało, dlatego Krzyżacy ten zamek po niemiecku Christburg nazwali. Przez dwieście lat Krzyżacy ten mocny i ważny zamek posiadali, aż go lata Pańskiego 1410 z ziemią zrównano. Był tam naówczas komturem Olbracht Szwareburg; albo, jak inni chcą, Otton z Sangerwic; ten zawsze Krzyżakom nie radził rozpoczynać wojny z Jagiełłą, która tak nieszczęśliwie dla Zakonu skończyła się. Ale starszyzna krzyżacka chciała koniecznie wojny. Gdy więc komtur wyciągnął w pole i szedł na bitwę pod Tannenbergiem, a starszy go zapytał: komu by zamek powierzył? — odpowiedział zniecierpliwiony: tobie i tym złym duchom, coście wojnę uradzili. Te słowa tak starszego przerażyły, iż wpadł w gorączkę i na drugi dzień umarł. Zaraz dusza jego poczęła się błąkać po zamku; odtąd, jak który ze starszyny krzyżackiej umarł, co na wojnę z Jagiełłą namawiał, dusza jego szła do zamku Kiszporskiego na pokutę; zarazem tyle się tu duchów zebrało, iż żaden żyjący człowiek w tym zamku wytrzymać nie mógł. Toteż tu niesłychane i straszne działy się rzeczy. Nieraz parobcy, chcąc iść do stajni, zachodzili do lochu i tam — bywało — popili, iż żaden o świecie nie wiedział. Raz kucharz i pomywacze poszli do kościoła, patrzą: a tu konie stoją; z kościoła zrobiła się stajnia. Idzie piwniczny do lochu, a tam woda płynie. Jeśli Krzyżacy — bywało — jeść w zamku się zabierają, a tu miski krwią się napełniły. Ale najgorzej zdarzyło się komturowi, który przybył z Frauenburga; raz bowiem znaleziono go w studni zawieszono za brodę, iż z wielką biedą do siebie przyszedł; a drugi raz na najwyższym dachu się znalazł. Raz znowu poczęła mu broda się palić; woda nie pomogła, aż póki nie uciekł z zamku.

Wszyscy więc zamek opuścili, który się w gruzy rozsypał. Ten zamek dotąd jeszcze stoi, dotąd jeszcze mieszkają tam dusze Krzyżaków, którzy wojnę z Polską radzili.

We dwa lata po bitwie pod Tannenbergiem i Grunwaldem kowal z Kiszporgu wrócił z pielgrzymki do Rzymu; ten chcąc czegoś o duchach zamkowych dowiedzieć się, poszedł raz w południe do zamku i tam zastał brata komtura stojącego na moście, który także na tej bitwie zginął. Kowal, któremu ten Krzyżak niegdyś synka do chrztu trzymał, poznał go

od razu, a rozumiejąc, że mówi do żyjącego człowieka, rzekł mu: O, panie kumie, cieszy mię, że was w dobrym i czerstwym zdrowiu oglądam; co też tam się dzieje w tym zamku, o którym takie dziwy opowiadają? — Na co mu duch odrzekł: Chodź ze mną, to zobaczysz, jakie to gospodarstwo prowadzimy. Poszedł więc za nim kowal krętymi wschodami. Przyszedszy do pierwszej komnaty znaleźli wiele bardzo ludu grającego w kostki i karty, jedni śmiali się, niektórzy klęli. W drugiej komnacie wszyscy jedli i pili. Stamtąd przyszli na wielką salę, gdzie znaleźli mężczyzn wiele, niewiast, panienek i chłopców; tam tylko na gitarze grano i śpiewano; nic, tylko taniec i rozpusta. Poszli potem do kościoła, tam stał ksiądz, jakby miał mszę odprawiać, a kanonicy siedzieli w stallach i spali. Potem wyszli z zamku; wtem usłyszano stamtąd żałosny płacz i wycie, że kowal zaczął się strachać i myślał sobie, że już i w piekle gorzej być nie może. — Idź i powiedz nowemu wielkiemu mistrzowi, coś tu widział i słyszał; tak bowiem żyliśmy, jakieś to tam widział; a z tego poszła nędzka i płacz, któryś słyszał. To rzekłszy zniknął.

Przestraszył się bardzo kowal, jednakże chciał dany sobie rozkaz wypełnić; poszedł do wielkiego mistrza i opowiedział wszystko, jak się stało. Ale ten rozgniewał się strasznie, mówiąc, iż tę bajkę zmyślono, aby Zakon krzyżacki osławić; kazał więc kowala w worek zaszyć i utopić.

39. Orły Herburtów

W bliskości Dobromila na wyniosłej górze widne po dziś dzień rozwalmy dawnego zamku Herburtów. Jest tam podanie gminne opowiadające przyczynę wygaśnięcia tej sławnej i możnej rodziny. Każdy umierający Herburt, jak powiada lud tamtejszy, przemieniał się w siwego orła i obierał na skałach zamkowi przyległych mieszkanie, gdzie gnieźdząc się, młode wywodził swe pisklęta. Dopóki orły się gnieździły i dopóki je szanowano, dopóty sprzyjało szczęście Herburtom. Lecz naraz zniszczył wszystką pomyślność jeden niebaczny potomek tego rodu, który niepomny na oddawaną cześć tym orłom, ośmielił się ubić jednego z rusznicy. Powróciwszy z polowania do domu dowiedział się, iż właśnie w chwili zabicia orła skonał jego mały synek, którego całkiem zdrowego jeszcze w domu był zostawił.

Od tego czasu orły przestały się gnieździć w skale; uciekło szczęście i dostatek od Herburtów, a ich rodzina z powodu zabicia orła wygasła na owym osieroconym ojcu.

40. Pileckie

Córki przemożnego domu Pileckich, a do tego pierworodne, jeżeli zmarły przed zamążpójściem, zamieniały się w gołębie; za mężne zaś w ćmy nocne i ukąszeniem przepowiadały zgon każdemu z członków tej rodziny.

41. Skała Kmity

We wsi Zabieżów, o milę od Krakowa, w dolinie przetrniętej pięknym strumieniem Rudawy, sterczy na przepaścistym wzgórzu Skała Kmity. Do niej się wiąże smutne podanie o nieszczęśliwym Kmicie, który ze szczytu skały rzucił się w strumień z rozpacz, że mu rodzice odmówili rękę kochanki. Stary napis w połowie zatarty maluje nam usposobienie młodzieńca:

Kthory z was przyjdzie thu,
Mając męstwo w owym dniu,
To i radość może mieć;

Zasię kthory przyjdzie thu,
Ma strapienie w onym dniu,
Tho i spokój może mieć.

42. Kamienna figura w kolegiacie w Wiślicy

Na facjacie kolegiaty wiślickiej po prawej stronie znajduje się wykuta z kamienia naga postać wiszącego człowieka przepasanego fartuchem. Podanie o tym jest takie: Król Łokietek na podziękowanie Bogu za swoje zwycięstwa postanowił ufundować piękny kościół w Wiślicy; tym końcem kazał zrobić abrys, który mu się bardzo podobał. Otóż podług tego abrysu zgodził się z majstrem, aby kościół wystawił. Cóż się dzieje? Po pewnym czasie, gdy już były mury wyprowadzone, zjeżdża król Łokietek oglądać budowę i ze zgrozą widzi, jako kościół jest mniejszy od podanego w abrysie. Nie posiadając się w gniewie, natychmiast każe kościół rozwalić, a majstra budowniczego obwiesić. Ze zaś mimo tej omyłki majster ów rzadkim był w swej sztuce i drugiego niełatwo by znaleziono, przeto nie bardzo nastawano na jego życie, z czego i on korzystał, bo natychmiast porwał dłuto i kawał głazu i wykuł zeń swój wizerunek i powiesić go dał na facjacie. Gdy tedy Łokietek pytał, czy majster on wisi? — Odpowiedzieli dworscy, że wisi. W parę dni jednakże żal się zrobiło królowi, że tak popędliwy dał wyrok i raz wyrzekł: szkoda go, któż mi teraz kościół postawi?! — Aż tu dworzanie widzą króla markotnym, wyjaśnili rzecz całą; czemu był rad wielce, raz że człeka nie zgubił, drugie, że mimo tej chyby piękna stała się świątynia.

43. Żaby, drzwi i grobla w Wiślicy

Był sobie jeden ksiądz w Wiślicy bardzo pobożny i uczony. Wskutek zapewne łaski, jaką sobie zasłużył u Pana Boga, mógł rozkazywać złym duchom i zaklinać głupie twarze,

to jest zwierzęta. Wiadomo, iż Wiślica stoi, jakby na jakim ostrówku, pośród niezmiernych błot rzeki Nidy; owoż w tych błotach gnieździła się moc niezmierna różnych gadów, a mianowicie żab, które grzechotaniem swoim naprzykrzały się ludziom. Zdarzyło się, iż podczas solennej mszy, którą ów ksiądz odprawiał, żabska tak przeraźliwie skrzecząc zaczęły, że ani on siebie nie słyszał, ani jego nie słyszano. Uniesiony więc żarliwością chwały boskiej zaklął żaby i ropuchy i odtąd nigdy ich głos nie był słyszany w Wiślicy.

Pewnego razu tenże sam ksiądz, zwyczajem swoim przechadzał się wieczór po nadworcach plebanii, odmawiając wieczorne pacierze. Na dzwonnicy kościelnej usiadło właśnie kilka kruków, które zaczęły między sobą rozmowę. Ksiądz, że był człowiek uczony, rozumiał również i głos ptaszy; przeto zebrała go chęć podsłuchać, co też ci ptacy prawią. Z pierwszych wyrazów domyślił się, jakie to ptaszki, więc tym ciekawiej słuchał. Opowiadali oni sobie różne ze świata nowiny; i tak, jeden się chwalił, że chłopca pijanego zaprowadził w błota; drugi, że staremu sknerze kark skręcił, a pieniądze zakopał; ale trzeci, który najdłużej milczał, odezwał się na koniec: — Starec to rzeczy prawicie, panowie bracia! Jąc to wiem fortel jednego naszego kolegi, który wszystko zakasuje, co kiedykolwiek bies splątał na świecie. — Cóż takiego? Cóż takiego? — pytały rozciekawione kruki. — Oto tak — mówił ów trzeci diabeł (bo to wszystko były diabły) — nasz brat, którego tu brakuje właśnie, jest w Rzymie. Dziś rano, kiedy papież mszę odprawiał, on mu się pokazał w kościele w postaci prześlicznej panny; musiał dobrze oczarować papieża, kiedy jej kazał na wieczór być u siebie.

— Czy to prawda? — zawołały kruki odchodząc od siebie z podziwu.

— Nic prawdziwszego na świecie — mówił dalej opowiadający — w tej chwili ona tam jest u papieża i siedzi na łóżku obok niego. Ksiądz usłyszawszy to bluźnierstwo struchlał, ale się zaraz po-miarkował, a znając wszystkie egzorcyzmy, zaklął kruki tak, że jak przykute nie mogły ruszyć się z miejsca, gdzie siedziały. Diabły widząc, z jakim nieprzyjacielem mają do czynienia, dalej w prośby, ale na próżno! Ksiądz, który tylko myśli, jakby ratować duszę ojca świętego, coraz okropniejszymi formułami smaga onych biesów, na koniec temu, co ową historię opowiadał, każe się zanieść do Rzymu. Diabeł wszakże szukając sposobu jakby się wykręcić, zagadł: A na czymże cię zaniosę, mości księżu? Na moim grzbiecie będzie ci za twardo? — Na tych drzwiach od kościoła! — odrzekł ksiądz. Posłuszny diabeł wyrwał drzwi z zawiasami, ksiądz siadł i w mgnieniu stanęli w Rzymie. Przyjechawszy przed pałac ksiądz prosto walił do sypialni papieża, a diabeł czekał na dworze ze drzwiami na plecach. Na nieszczęście, co szatan wyprorokował, było prawdą: papież leżał na łożu, a obok niego siedziała prześliczna panna. Nasz proboszcz nie mówiąc ani /słówka sunął śmiało ku onej pokusie i zaraz od lewicy palnął ją po twarzy; a że był to szatan, więc natychmiast rozlał się smołą. Dopieroż wsiadł na ojca świętego, karcąc go ostrymi słowami, czym tak zmiękczył papieża, iż ukląkł i kazał mu się wyspowiadać. Po dopełnieniu chrześcijańskiego obowiązku, ksiądz spiesz się do domu, bo już mało czasu zostaje. Wychodzi na podwórze, diabeł czeka ze drzwiami, ale złośliwy bies nie mógł się obejść, żeby figla nie splątał, bo miasto drzwi onych z Wiślicy, wyjął inne, ogromne, i na tych zataszczył księdza. Dotąd stoją one bez użytku w kościele wiślickim.

Gdy zalecieli na miejsce, a proboszcz postrzegł, że ma jeszcze czas diabłem się posłużyć, kazał mu budować groblę na błotach Nidy. Stanął kontrakt między stronami, w którym diabeł zastrzegł sobie, że co pierwszego przejdzie przez groblę, będzie jego własnością z duszą i ciałem. Proboszcz bojąc się, aby która z jego owieczek nie padła pastwą szatańskiej złości, zakazał, aby nikt nie przechodził przez groblę. Cóż się tedy stało? Diabli wysypawszy, co się nazywa, dokładną groblę, zrobili rogatkę czyhając na one du-

szyczkę; aż tu coś bieży — oni w skok się rzuca, chcąc porwać co swoje, gdy przypatrzywszy się bliżej poznali, że to była świnia! Diabeł widząc się oszukanym, w największej furii porwał ją za ogon, zakręcił i z całej mocy cisnął w środek grobli, tak, że wybił jamę, której dotąd nikt załatać nie może.

44. Zamek ojcowski

Świetny był zamek ojcowski, póki Polska była swobodną, póki żyła pani Starościna. Było się tam czego napatrzeć: bogate obicia, ogromne zwierciadła, marmurowe posadzki i kolumny; Starościna też strzegła go jak oka w głowie, sama proszki i pyłki zbierała po pokojach. Lecz kiedy Kościuszko zginął pod Maciejowicami, wtenczas i pani Starościna rozchorzała, niebożatko! Powlekli ją tam gdzieś do wód węgierskich, umarła w drodze, leży na Kalwarii. Odtąd się tu wszystko zmieniło. Zamek zajęli Niemcy; obicia, lustra, marmury, posadzki poniszczyli i wtenczas to poczęło coś straszyć. Co nocy zamek o samej północy gorzał od światła, jak niegdyś za życia nieboszczki, a ona sama, wyniosła i poważna, cała w bieli przechadzała się po pokojach. Widziano na żywe oczy, jak nieboszczka poza okna przesuwiała się strasząc Niemców; ale oni nie wierzyli i ustąpić nie chcieli... Było tego przez długi czas: aż jednego razu pani Starościna, nie mogąc się tych nieproszonych gości pozbyć, sprowadza burzę, piorunem dach zapala, w ogniu staje zamek cały! Wtenczas już obcy wynieśli się z zamku i duch przestał się pokazywać.

45. Głowa w izbie senatorskiej w Krakowie

W obszernej izbie senatorskiej na zamku krakowskim jest pułap z belek, które misternie są złożone i malowane, między nimi zaś wyrabiane sztuką snycerską ozdoby, zwykle w czworoboki; otóż w tej sali było sto takich czworoboków, a z ich środka wychylało się sto głów męskich i niewieścich w kolorach naturalnych i właściwych ubiorach. Pewnego razu, gdy któryś sędzia niesprawiedliwy wyrok dla strony pokrzywdzonej ogłaszał, jedna z tych głów cudownym sposobem przemówiła i wyrok zmienionym został.

46. Stół marmurowy w Olesku.

W czasie przyjścia Jana III na świat, który się urodził dnia wtórego czerwca 1624 r., w wigilię Przenajświętszej Trójcy, zdarzyła się dziwna przygoda zrzędzeniem niepojętej w swych cudach Opatrzności. Skoro bowiem odebrano niemowlę, a po obmyciu położono na stole marmurowym*, który w tej chwili jak gdyby zrysowany piorunem, na dwoje

przepękl się. Rzecz dziwna przytomnych zasepiła, a wielebny ojciec Siemaszko z monastyrku bazylińskiego, znajdujący się przy tym milczeniu, rozerwał je tymi słowy: „Snadź, że niemowlę to z poręki wszechmocności chwałę odebrało, która w całym chrześcijaństwie walor mieć będzie; świetna ta jednak chwała w czasie dalszym przepęknie się i polskiemu narodowi szkodliwą się stanie.”

* Stół ten jest czarny; długości najmniej trzech łokci; wzdłuż idzie rysa; później nie wiadomo dlaczego, kazano go przeciąć na dwoje i teraz tworzy dwa mniejsze stoły znajdujące się w Podhorcach.

47. Król Sobek

Za panowania króla Sobka tyle w Koronie Polskiej namnożyło się luda, iż była obawa, aby głód nie nastał, a z głodu pomorek. Jednego razu, kiedy o tym król Sobek rozprawiał z swoją żoną, królową, radząc się, co by na to robić, rzekła, pomyślawszy, królowa: — Najlepszy sposób: wyprzedajmy lud Tatarom, a wtedy i zboża będzie obfitość, kiedy się połowa gąb ujmie.

Król zrazu kiwał głową, ale w końcu usłuchał rady niewieściej; napisał list do krymskiego chana i Tatarzy trzema szlakami wpadli na ziemie polskie. Pograsowawszy, popaliwszy, kiedy tysiące tysiącami pobrali mężczyzn i kobiet, chan się uradował ujrawszy taką ómę chrześcijańskich jeńców. Dano znać królowi Sobkowi, aby porachowawszy głowy odebrał zapłatę. Król na oznaczone miejsce, gdzie stał kosz tatarski, zjechał ze swoimi paną; było to gdzieś na stepach podolskich, nad brzegiem wielkiego jeziora. Kiedy swego króla ujrzeli jeńce, ucieszyli się myśląc, że ich od Tatar wykupi. On zaś słysząc ich jęki i wołanie, żal mu się zrobiło, że usłuchał żony i już zaczął się z chanem targować i wykupno jeńców dając w dwunasób tyle, ile stało w umowie. Ale chan ani rusz, wyliczył tylko za głowę po czerwieńcu i Tatarzy pognali lud w jasyr. Wówczas to taki powstał płacz i zawodzenie między ludem, że król Sobek nie mógł wytrzymać i z rozpaczyskooczył, jak stał na koniu, w bliskie jezioro i utonął. Za to co nocy, zwłaszcza kiedy księżyc świeci, wyjeżdża na koniu z toni jeziora, hasa po okolicznych błoniach, a kiedy kur zapieje, wraca na dno odbywać długą pokutę.

48. Wąsy Króla Jana

Żak jakiś zwiedzając groby królów polskich uskubnął był kilka włosów z wąsów tego bohatera; ale gdy spać kilka nocy nie mógł bo o każdej północy widmo zmarłego króla upominało się groźnie o swoją własność, musiał do grobu odnieść tę pamiątkę, którą chciał sobie zachować.

49. Pan Przyjemski w Koźminie

W kościele farnym w Koźminie, w kaplicy tak zwanej fundatorskiej leży pan Aleksander Przyjemski zmarły w roku 1694. Zwłoki jego nie podległy żadnemu zepsuciu, a oblicze wygląda jakby żywe. Opowiadają, iż gdy jakiś niemiecki feldmarszałek kupił dobra koźmińskie, odwiedził grób ś.p. Aleksandra Przyjemskiego, kazał sobie otworzyć trumnę, a postrzegłszy nienaruszone ciało złapał za wąsy, chcąc doświadczyć, czy mocno siedzą w skórze. Tymczasem gdy pociągnął, otworzyły się oba oczy leżącego ciała, czym tak został przerażony, że najspieszniej wybiegł ze sklepu kościoła, a nawet we własnym pałacu nie mając spokoju, bo ciągle widział groźny wzrok pana Przyjemskiego, wyjechał za granicę i już nigdy do dóbr swoich nie wrócił.

50. Wieża czarnej księżniczki w Szamotulach

W zamku szamotulskim stoi na dziedzińcu baszta, zwana wieżą czarnej księżniczki. Dwa są o niej podania.

Jedni mówią, że ta księżniczka była córką dziedzica okolicznych włości, a skłoniwszy serce do młodzieńca ubogiego stanu, uszła z rodzicielskiego domu. Opuszczona od wszystkich, w nie- dostatku i nędzy długo się w pobliskich wsiach tułała, aż na koniec pojmana, za karę występnej w oczach ojca miłości, w czarnej maszce w tej baszcie zamknięta została. Miejsce to od długiego jej tułania Samotuła, czyli Szamotuły nazwanym zostało.

Drudzy twierdzą, iż możny niegdyś dziedzic Szamotuł miał córkę, która z czarnym na twarzy kolorem, niby Murzynka, na świat przyszła. Ojciec, wstydząc się pokazać światu upośledzonej od natury córki, na całe życie zamknął ją w tej wieży.*

Jest jeszcze figurka wypukłej roboty w wielkim ołtarzu w kościele umieszczona; w mniemaniu gminu jest ona obrazem czarnej księżniczki.

*Współczesny Świętosław Orzelski powiada, że w Szamotułach długo była więziona Halszka, córka księcia Ostrogi. Szamotuły były wówczas własnością Łukasza Górki.

51. Zaklęty zamek w Lubaszu

Na wysokich wzgórzach Lubasza stał niegdyś zamek, ale gniew nieba za jakąś zbrodnię dziedzica zagrzebał zamek w przepaści, która się rozstała pod nim; na tym miejscu został się tylko ko- piec, a z niego wyrósł dąb ogromny, który ponurym cieniem osłania tę pamiątkę. Razem z zamkiem zapadł się i należący do niego ogród, a z nim i szpaler, którego kierunek wskazuje dziś kanał głęboki. Ponura cichość panuje w tej części zaklętego zamczyska; lecz po drugiej stronie, na drodze, która się wije między wzgórkami, dostrzegają częstokroć mieszkańcy okropne widma i słyszą niezrozumiałe głosy.

Tegoż losu, co zamek, doznał i kościół w bliskości stojący; zapadł się on wraz z wieżą i dzwonami, których ponure głosy częstokroć z śród ziemi się dobywają i pewną są wróżbą jakiegoś nieszczęścia.

Przy pograżonym w ziemi kościele, i zaklęty równie jak kościół, mieszka pustelnik, który w nocnych godzinach często się w tym miejscu pokazuje i w zakonnym stroju, z kapturem na oczy spuszczone, całą okolicę spiesznym przebiega krokiem; lecz gdy północ uderzy, nikt nie widzi, widać tylko migające się światełka, bądź to ogniki jakie na błotach się pokazują, bądź świece grobowe palące się nad ciałem zaklętego właściciela. Wtenczas podziemne przytłumione głosy chorałem odśpiewują jutrznię.

52. Widmo w zamku rydzyskim

W zamku rydzyskim jest kaplica, przed kaplicą pokój, a w tym pokoju obraz kobiety wyższego stanu; kto jest ta kobieta, kto ją malował, zawiesił, skąd się wzięła w tym zamku? Nikt tego nigdy nie wiedział, nikt wiedzieć nie będzie. Obraz ten nie ma nic uderzającego w sobie oprócz surowego nieco spojrzenia i ręki jednej nienaturalnie jakoś położonej. Palce tej ręki zdają się jakby przesilone, skośnięte po jakimś czynie gwałtownym, może zbrodniczym. O nic łatwiej wprowadzić jak o domysł podobny, w którym zapewne i cienia prawdy nie ma. Tu przecież prędzej wypatrzeć by go można; stara bowiem i głucha wieść krążyła tu kiedyś, jakoby przed niepamiętnymi czasami w miejscu tym jakaś zbrodnia spełniona być miała. Mówiono nawet i o dwóch sierotach, ale z taką niepewnością i ciemnotą rzeczy, że nikt prawie wiary temu nie dawał. Rzadko więc i bardzo rzadko o tym mówili ludzie, byliby nawet wiecznie zamknięci, gdyby widmo ukazującej się niekiedy w zamku kobiety nie wywoływało czasami z pamięci tej bolesnej powiastki.

Widmo to nie kłóci tak nielitościwie spokojności, jak się to gdzie indziej dzieje. Spotykają je tylko niekiedy klęczące na korytarzu i zatopione w modłach; gościom nawet nocującym w przykaplicznym pokoju, cichym tylko o północy przypomina się stąpaniem. Niewiast jednakże i drobnych dziatek snu nigdy nie przerywa, jakby na wrodzoną ich lekliwość względne.

Jest przecież w każdym roku jedna noc straszliwa, okropna, której nikt w zamku prześpać nie może; tych nawet, co nic nie widzą, nie słyszą, o niczym nie wiedzą, porywa ją jakiś gorączka niespokojności. Zdaje się, że coś nadzwyczajnego przeczuwają w naturze. Przez całą tę noc, choć niebo wkoło jest jasne, pogodne, zawsze się waży nad zamkiem jakiś obłok czarny, a poblizsze drzewa ogrodu, choć żadnym nie wzruszone wiatrem, dziwnie szeleszczą. Już od jedenastej godziny słychać jakiś szum i łoskot w kaplicy, jakieś wyraźne chodzenie i ustawianie sprzętów. Kryje się służba zamkowa, śmielsi tylko bliżej przystępują, słuchają, zaglądną; twarze ich przecież bledną, wznoszą się włosy, całe powietrze zda się jakąś nasiąkłe okropnością.

Uderza północ. Roztwierają się same przez się drzwi kaplicy, zapalają się świece na ołtarzu, lecz jakimeś dziwnym, bladym, błękitnym światłem; widmo kobiety w białej i długiej szacie, z rozpuszczonymi włosy, wywiędłym boleścią obliczem klęczy przed ołtarzem. Nagle zimno grobowe uderza wkoło; ukazuje się kapłan w ornacie ze mszą świętą idący. Okropny widok!... Kapłan ten jest kościotrupem... głowa jego trupa, ręce kielich niosące kośćmi tylko; poprzedzają go dwa małe szkielety w komżach. Jeden z nich niesie ampulki, drugi mszał ogromny. Zaczyna się msza święta, kapłan składa i rozkłada ręce, obraca się, przykłęka, czyta w mszale, gorąco się modli; dwa małe szkielety zdają się modłom jego odpowiadać, żaden przecież głos, żadne westchnie nie dosłyszec się nie daje. W chwili tylko podniesienia ciała i krwi Pańskiej głuchy odgłos kościanego dzwonka głębokie przerywa milczenie. Kończy się obrzęd; kapłan zasiada w krześle — widmo przystępuje do spowiedzi. O, jakże gorąco modli się wprzód; jakież to ciężar piersi jego rozpiera! Spowiada się, kapłan słucha i długo, długo słucha. Ileż to łez i westchnień przerywa tę spowiedź! Wielki Boże! Jakżeż straszliwym musi być wyznanie tego widma, jaka zbrodnia jego. Patrz! patrz, po trupiej czaszce kapłana zimny pot zlewa się strumieniem, w wydrążonych oczach błyska promień oburzenia, wiszący obraz kobiety cały czernieje, jakiś głuchy grzmot daje się słyszeć nad zamkiem! Drobne dwa szkielety, klęcząc i modląc się, zdają się błagać za winną. Wyznała już wszystko i schyla głowę, i bije się w piersi na znak żalu i skruchy. Biję silnie — płacze i czeka. Czeką chwil kilka, wreszcie podnosi na kapłana wzrok błagalny i mówi: — Przebaczenia! A kapłan jej grobowym odpowiada głosem: — Nie w tym roku jeszcze! — I kiedyż, kiedyż! — odzywa się widmo. Kapłan milczy. Wskazuje jej na dwa klęczące szkielety, znika, gasną świece, zamykają się drzwi kaplicy, jęk tylko długi słychać za nimi i naraz wszystko cicho i ani śladu tego, co przed chwilą było.

53. Skarbiec w Zbąszyniu

W Zbąszyniu po dziś dzień stoi zamek, niegdyś warowny, nad wielkim jeziorem. Jeden z panów tego zamku prowadziwszy w młodości życie rozwiązłe, przepędzał na pokucie i rozmyślaniu późniejsze swoje lata. Obracał starzec znaczne swe dochody na miłosierne

uczynki, a powiernikiem jego w rozdawaniu jałmużn był doświadczony długoletni sługa. Obaj częstokroć do podziemnego schodzili skarbcu, gdzie po kilka godzin sam na sam przebywali. Skromny sposób życia właściciela Zbąszynia nie podobał się synowi jego. Młodzieniec ten zepsutych obyczajów obłudą nazywał postępowanie ojcowskie, słudze zaś zemstą swoją na przyszłość odgrażał. Wtem nagła niemoc naprzód mowę, a wkrótce potem i życie starcowi odjęła, a gdy zwłoki jego do grobu zniesione zostały, wezwał nowy dziedzic starego sługę i do skarbcu zaprowadzić się kazał. Czy tu składał mój ojciec pieniądze swoje? — rzekł, widząc wielką skrzynię w żalazo okutą, którą skwapliwie otworzył, lecz w której księgi pobożne tylko i włosienicę ujrzał.

— Gdzie są skarby mego ojca? — rzekł dziko młodzieniec — a kiedy ich nie ma, gdzie są kwity, z roztrwonionych jego dochodów?

— Rozdawał pan mój dochody swoje między nieszczęśliwych, a kwitów od nich me żądał — odrzekł sługa.

— Ty więc je przystaw, niecnoto. Nie wyjdiesz stąd, dopóki ich mieć nie będę. — To powiedziawszy, nowy pan zatrzasnął za sobą żelazne podwoje i starego sługę samego w piwnicy zostawił. Dzikie śmiechy towarzyszków rozpusty młodego pana rozlegały się po zamku. Dwa dni przepędził w więzieniu nieszczęśliwy sługa bez pokarmu i napoju, cały ten czas swawolna rzesza na rozpuście strawiła. Trzeciego dnia na wieczerzy jeden z gości, mocno podchmielony, z urąganiem spełnił zdrowie więźnia mówiąc: — Niech go pasie stary, niech go uwolni, jeśli potrafi. — W tejże chwili otworzyły się nagle ciężkie okowane drzwi prowadzące do podziemnego skarbcu. Wchodzi umarły ojciec w śnieżną przybrany suknię i wiernego sługę za rękę prowadzi. — Tak jest — rzek- nie — nakarmiłem go, wywiodłem z więzienia, teraz niewinność jego zaświadczeni.

Starzec zniknął, a syn upadł bez zmysłów. Następne życie jego dowiodło, że napomnienie ojca pożądany odniosło skutek.

54. Krzywoprzysiężna pani

W stronie północnej za Tarnopolem na Podolu jest gaj nazywany Szlachcinieckim; w nim schodzą się granice kilku włości przyległych; w gęstwinie tego lasu, gdzie się granice rozchodzą, znajduje się wysoki kopiec, a na nim figura z ciosanego kamienia w kształcie czworokątnego ostrosłupa. Od strony zwróconej ku miastu wykuta jest niby kapliczka, od zachodniej półtrzecia krzyża, czyli herb Pilawa, pod herbem zatarte ślady napisu; na wschodniej zaś stronie wykuty jest trzewik białogłowski.

Podanie o tym pomniku takie krąży między gminem: Bardzo dawno temu, jak między mieszczanami tarnopolskimi a włościanami Szlachciniec był spór o grunta. Proces miał się rozstrzygnąć na miejscu, więc sama dziedziczka Szlachciniec wyjechała, mówiąc, że i ona, i mieszczanie muszą przysięgać; choć dobrze wiedziała, że to nie jej były grunta. Jakoż nabrawszy z swoich gruntów ziemi w trzewiki, stanęła na roli, o którą spór się toczył i wyrzekła: przysięgam Panu Bogu wszechmogącemu etc., iż ta ziemia, na której stoję, jest moją własną! Ale zaledwo wykonała krzywoprzysięstwo, w tym samym miejscu padła i nałożyła **hołowkoju** (umarła). Po pogrzebie tej pani długo bardzo jakaś mara błąkała się

po lesie; w czahary zapraszała przechodzących wieczorem, zbłąkawszy ich z drogi; roz-
pędzała pasące się tam bydło i dusiła owce, a nawet kilkoletnie dzieci pasące trzodę.

55. Zamek w Wyszynie

Wieś Wyszyna, położona o milę od Warty, ma zamek leżący wśród lasów. Jest podanie, że król Batory polował w tych borach; pokazują bowiem kamień, zwany grobowiskiem misia (niedźwiedzia) przez króla ubitego. W czasie tych wspaniałych łowów, córka Melchiora z Górowa, ówczesnego dziedzica Wyszyna, wystrzałem, przez nieostrożność polujących, życie postradała. Cień jej błąka się po rozwalinach ojczystego zamku i otaczających go zaroślach. Cień smętny, ale nieszkodliwy, bo jak mówią włościanie: nie zwodzi, nie topi, nie przeszkadza, tylko żalonym jękiem przeszłość wzywa i wspomina.

56. Lubrański

Lubrański, dziedzic Gosławic, był za życia swego człowiekiem bardzo okrutnym; dzieci końmi po drogach rozjeżdżał, palił domy, kiedy mu widok zasłaniały, a sługi Boże prześladował zapamiętale. Za to też po śmierci pokutuje w Gosławicach; widywano go otoczonego orszakiem złych duchów, które prowadząc ognistego rumaka, kazały nań wsiadać Lubrańskiemu, co on też z wielkim płaczem i narzekaniem czynił, mówiąc, że te męki czyścicowe przeszło od lat sto cierpi, a to za wydarce pewnych funduszów kościelnych.

57. Zamek jazłowiecki

Rozwaliny spaniałego niegdyś grodu Jazłowieckich na Podolu świadczą o karze niebios, jaka dotknęła ród Jazłowieckich za to, iż jeden z nich nielitościwie wypędził osiadłych tamże Ormian; z ustąpieniem tych pracowitych i przemyślnych ludzi wszystkie nieszczęścia zwały się i na miasto, i na onego dziedziców. Rodzina Jazłowieckich zgasła, a gród przeszedł na własność Konięcpolskich. I tej rodziny nie lepszy był koniec. Gdy bowiem raz pewnego z chłopięciem jednym, tego imienia dziedzicem, piastunka przyszła igrać na brzeg studni zamkowej, nastraszona przez kogoś upuściła dziecko, z którego śmiercią miała się zacząć kole] nieszczęść Polski.

Dzisiaj okoliczni wieśniacy, w chwilach gdy słońce zachodzi, widują, jak promień jego tworzy niekiedy w obłokach złotą przepaskę, potem złotowłose dziecko na głowie mające

wianek, w prawej ręce krzyż, a w lewej kwiaty. Zjawisko to dopóty ma się pojawiać, póki świetniejsze losy dla kraju nie wrócą.

58. Skrzynno, jezioro pod Mosiną

Za Mosiną między wzgórkami, które to miasteczko otaczają, znajduje się jezioro Skrzynką, czyli Skrzynną zwane, bardzo głębokie, w którym niezmiernie skarby leżą.

Podanie jest, że w czasie szwedzkiej wojny, właścicielka pobliskich włości namiętną miłość wzbudziła w oficerze szwedzkim na załodze w miasteczku stojącym; gdy mu jednak wzajemną nie była i bezpieczeństwa dla siebie w domu nie upatrywała, postanowiła oddalić się z tej okolicy i zabrać z sobą klejnoty swoje, droższe sprzęty i srebra stołowe. Wyśledzili ją niebawmie Szwedzi, w pogoń za nią poszli i już ją dopędzili, gdy ona kazała zwrócić sanie swoje na jezioro, które dopiero co było stanęło. Pospieszył za nią ów szwedzki oficer, lecz gdy się do niej zbliżał, łódź się pod nimi załamała i oboje utonęli w jeziorze. Przez wiele lat widywano cień kobiety unoszący się nad wodą, widywano oraz mężczyznę, który się za nią uganiał. Nigdy jej przecież doścignąć nie mógł; postać niewieścia zniknęła w przezroczu właśnie w tym miejscu, gdzie leżeć małą wspomniane skarby.

59. Myśliwy pan

W Czerwonej Wsi mieszkał dziedzic tej włości, człowiek bezbożny i okrutny, który myślistwo tak dalece lubił, że nie uważał na największe święta i najczęściej w czasie wielkiego nabożeństwa uganiał po kniejach ze zgrają psów i obławników zmuszonych gwałtem do tej posługi. Zwyczajem jego było za powrotem z polowania rzucać ze wzgórka, na którym stał zamek, chleb psom i ludziom, którzy z nim byli polowali. Ale i tu okazywała się dzikość tego człowieka, kazał albowiem bić ludzi, jeżeli się dali psom do chleba uprzedzić; kazał bić psy, jeżeli ludzie przed nimi chleb schwyтали. Próżne były napomnienia miejscowego plebana, aby tak niehumanitarnej zaniechał zabawy. Po raz ostatni ostrzegł go pasterz i rychłą zagroził śmiercią, gdyby się nie poprawił. Lecz słowa jego były daremne. Zagorzały myśliwy w następną zaraz polował niedzielę; ale wróciwszy z łowów, ciężko na zdrowie zapadł i w kilka dni umarł. Wkrótce potem upadł zamek tameczny, znikły ślady dawnej wspaniałości właściciela, lecz pozostała dotąd pamiątka jego kary.

Dziś jeszcze bowiem po błotach okolicznych słychać tętent koni, krzyki obławników, wycie psów i huk wystrzałów; lecz gdy kur zapieje, nikną mary, a bór przyległy grobową przybiera posepność. Na górze tylko, tam, gdzie stał zamek, pokazuje się jakby wielka łuna pożaru, która mieszkańców trwogą napędza. Dotąd wśród gęstego boru należącego do Czerwonej Wsi pokazuje się otwarty grób okrutnego owego pana, jako pamiątkę jego przewinienia i kary.

60. Pająk w Pajęcznie

Pajęczno leży w ziemi wieluńskiej. Jest tam podanie o niezmiernie wielkim pająku, którego całe miasto żywić musiało z niemałym ciężarem dla mieszkańców. Długo cierpiano tę potworę, aż znalazł się jeden z odważniej szych mieszczan, który ją zabił. Skórą tego pająka miały być obite drzwi dawnego parafialnego kościoła i od niego to miasto przybrało nazwę Pajęczna.

61. Kościół Bożogrobców w Gnieźnie

Gmin gnieźnieński pokazuje na zewnętrznych murach tego kościoła maleńkie wydrążenia, które w znacznej liczbie upatrzeć można; twierdzi on, że to są ślady dusz pokutujących, które raz w rok z grobów wstają i usiłują wejść do kościoła; znajdując zaś drzwi zawarte, starają dobyć się przez mur i suchymi palcami kościotrupów wiercą ściany; lecz pracy tej dokonać nie mogą, bo kur zapieje i znowu wracają na rok ciężkiej w grobie pokuty. Widują ludzie z miasta krzątające się duchy na górze około kościoła; wszyscy wiedzą o ich ciężkiej pokucie i w modłach nieraz westchną za nimi.

62. Skarb w Luboni

W starym zamku, z którego dziś pokazują tylko kopiec, znajdowały się ogromne skarby; każdy nowy dziedzic Luboni mógł je widzieć we śnie pierwszej nocy swego pobytu w zamku. Skarby te przecież tylko niewinnymi rękami i bez pomocy żelaza dobyte być mogły. Zabierał się niejedyn do wykopania ich, lecz wstręt jakiś niepojęty przeszkadzał każdemu do wykonania tego zamiaru. I tak wciąż i wciąż było, aż nową ugodą Lubonia przeszła w ręce pani Zborowskiej dziedziczki ośmdziesięciu wsi okolicznych.

Po nabyciu Luboni wprowadziła się do zamku nowa dziedziczka i zaraz pierwszej nocy widziała we śnie owe skarby. Co więcej, widziała je noc po nocy ciągle przez cały rok i przez ten czas równie jak jej poprzednicy wstrętem przejęta, nie odważyła się ich poszukiwać. Przemogła wreszcie chciwość i po upłynionym roku postanowiła pani Zborowska przywieść swój zamiar do skutku. W tym celu powołała dzieci włościan swoich nie więcej od trzech lat mające i rozkazała im rękami rozrzucić ogromny kopiec. Ziemia w Luboni urodzajna, lecz twarda, niesłychane trudności stawiała słabym pracownikom. Groźbą więc zmuszono dziatki, a nawet karano, gdy upadające na siłach pracować nie mogły. Tym sposobem spiesznie szła robota skraplana krwią niewinnych dzieci. Po długim kopaniu już rozumieją wszyscy, że skarby są blisko, pokazują się albowiem w ziemi obrabiane głazy, dalej ciągły mur, dalej sklepienie, na koniec drzwi żelazem okute. Niełatwo było je odbić. Odbito przecież, ale za tymi drzwiami pokazują się drugie, za drugimi i

trzecie, a coraz cięższe i coraz mocniejszym żelazem okute. Wszystkie jednak wywalono; a za odbiciem ostatnich pani Zborowska postrzeżga kupy złota tak gęste jedne przy drugich, tak wysokie, jak kupy plew lub zgonin w spichlerzu. Łakomie rzuca się na złoto pani Zborowska, gdy niespodzianie okropny jakiś ryk daje się słyszeć ze dworu; wybiegają wszyscy i na pagórku blisko wsi leżącym, a zwanym łysą górą, spostrzegają jeźdźca na koniu, koń był maści szarej; tegoż koloru był i jeździec, i ubiór jego. — Szatan mi na imię — ryknął ów jeździec — i skarby te są moje. Biada temu, kto się ich dotknie, ogniem karać będę zuchwalca. — Rzekł i zniknął. Wszyscy srodze się przelękli. Pani Zborowska jedna się nie zlekła, bo zaraz wraca do sklepu, ręce ku skarbowi wyciąga i garść złota bierze. W tejsze chwili dochodzą ją głosy domowników: — Gore! Gore w Pawłowicach! — Odbiegają wszyscy swej pani i biega na ratunek wsi, lecz na próżno! Cała się doszczętnie spaliła.

Nazajutrz pani Zborowska głucha na prośby i zakłęcia swych dworskich, sama jedna powraca do okropnego sklepu i rękę ku skarbowi wyciąga i garść złota bierze i w tejsze chwili dolatują ją strwożone głosy ze dworu: — Gore! Gore w Zdzitowiecku! — Odbiegają swej pani i spieszą na ratunek rzeczzonej wsi, lecz na próżno, bo i ta całkiem spłonęła. I tym sposobem dwanaście wsi spaliło się, a pani Zborowska nieugięta i niepołamowana w łakomstwie garnęła do siebie złoto, własność szatana.

Spełniła się przecież miarka jej występnej obojętności na nieszczęście bliźnich. Poddał jej, zbuntowawszy się, zamordowali ją i ziemią zarzucili zakłete skarby.

63. Stare zamczysko w Kórniku

O pół mili od miasteczka Kórnika, wśród gęstych zarośli widać gruzy zamku. W zwaliskach jego ukryte są wielkie skarby, które czyszczą się, to jest palą, tyle razy, ile było złych uczynków popełnionych przy nabywaniu ich i tyleż razy cierpieć ma dusza dawnego ich właściciela okropne czyścicowe męki. I tak w onym zamczysku pilnuje ich diabeł w postaci czarnego koguta z jednej, a jakaś panna z drugiej strony i nieraz było słyszeć, gdy panna chciała te pieniądze w jezioro wrzucić, jak od strony jeziora siedzący czarny kogut natychmiast je łopatą z brzękiem i hałasem na powrót odgarniał. Przed laty wchodzono z szatanem w układy o te pieniądze i doprowadzano już rzecz do tego, iż skłaniał się do wydania skarbu, atoli pod następnym warunkiem. Proboszcz kórnicki miał przyjść w uroczystej procesji, gdyby najmniejszego narzędzia do procesji potrzebnego do trzeciego razu zapomniano, układ stawał się nieważnym. Po trzykroć więc wychodziła w tym celu procesja; ale cóż po tym! Kiedy za każdą razą psotny szatan sprawił, iż zapomniano zabrać to kociołka ze święconą wodą, to szczypców do świec, to chorągwi lub tym podobnych rzeczy. Po spełzłej na niczym trzeciej procesji skarby z wielkim trzaskiem tak głęboko w ziemię się zapadły, iż gmin kórnicki stracił już wszelką nadzieję wydobywania ich kiedykolwiek.

64. Gnieźninek

W pobliżu Gniezna są dwa szańce, czyli okopy; jeden z nich zowie się Gnieźninkiem i takie krąży o nim podanie:

Pasali na tym okopie wiejskie pastuchy swoje bydło; jeden z nich, sierota, upuścił raz czapkę aż w samą głębię rozpadliny znajdującej się na Gnieźninku. Postradawszy czapkę, zaczął niezmiernie płakać, tak że skruszył samego biesa, co w tej rozpadlinie zazwyczaj przesiadywał, aby móc jakie psoty ludziom wyrządzać. Bies, uniósłszy się hojnością, napełnił czapkę chłopca tynfami i wyrzucił mu ją na wierzch. Nuż sierota opowiadać o dobroci biesa; nuż pastuchy zbiegać się i rzucać czapki swoje, tak iż by prawie byli całą zarzucili jamę. Ale bies rozgniewany zaczął im wyrzucać czapki jedne po drugiej napełnione kamyczkami, suchym liściem lub czym gorszym jeszcze.

65. Wieś Ruda

Za dawnych czasów przez wieś Rudę, leżącą w Kaliskiem, przechodził św. Wojciech, wędrując do Prus, gdzie miał pogan nawracać. Zdarzyło się, iż święty on mąż szedł sobie gościńcem i modlił się na brewiarzu; aż tu leci jakby umyślnie nad nim sroka i trznie mu na brewiarz. Rozgniewał się mąż pobożny za tę zniewagę i wygnał sroki tak, iż nigdy niczyje oko nie widziało tego ptaka we wsi Rudzie.

66. Milczący dzwonek

W kościele w miasteczku Turku jest dzwonek, który acz nie ma najmniejszej skazy ani znaku uszkodzenia, przecież żadnego nie wydaje głosu. Powiadają, iż przed laty przewodniczył z tym dzwonkiem księdzu, idącemu z Panem Bogiem do chorego, chłopiec jakiś bardzo rozpustny i zepsuty. On to spostrzegłszy na ulicy psa leżącego, który pomimo zbliżenia się księdza z miejsca nie powstał, trącił go dzwonkiem, który w tejsze chwili przestał dzwonić i już nigdy głosu nie wydaje.

67. Piwo grodziskie

Dnia jednego błogosławiony ks. Bernard z klasztoru benedyktyńskiego w Lubiniu udał się do Grodziska i ujrzał tamecznych mieszczan mocno strapionych z powodu, że studnia, z której oni wodę do miejskiego browaru czerpali, wyschła była zupełnie, browar zaś ten jedynym był źródłem dochodu miasta i szpitalu. Użalił się nad nieszczęśliwymi zakonnikami i głęboko do Boga westchnawszy pobłogosławił studnię. Aż w tej chwili trysnęło źródło podziemne i napełniło cembrzyny. Piwowarzy biorą się niebawem do roboty; jakież ich podziwienie i radość, gdy skosztowawszy zrobionego piwa znaleźli smak jego lepszym nierównie, niż był kiedykolwiek. Na tę pamiątkę mieszkańcy Grodziska co rok w procesji do Lubinia chodzili i tam na grobie błogosławionego Bernarda klasztorowi beczkę piwa w darze składali.

68. Brzoza gryżyńska

W bliskości rzeki Obry leży wieś Gryżyna; o kilka staj za nią stoi kościół Św. Marcina zupełnie zrujnowany, a przy nim wznosi się niezmiernie wielkości brzoza.

Przed wielu laty zmarło tu dziecię i pochowano je na cmentarzu pod kościołem, aż pewnego dnia grabarz, co grób kopał, przybiegł do plebana dając mu znać, że to dziecię, co przed tygodniem zmarło, wciąż rączkę białą wysuwa spod mogiłki. Pleban wziął natychmiast krzyż i stulę i pobiegł zażegnać to dziwo, ale co ziemi przyrzucił, co się namodlił, nic nie pomogło, zawsze na wierzch wychodziła rączka. Nie wiedząc innej rady, kazał w dzwony uderzyć, aby się gromada zbiegła; a gdy go otoczyła kołem, odezwał się do matki zmarłego dziecięcia, aby wyjawiała tajemnicę, bo musi być tajemnica, dla której to niebożątka nie ma spokoju w grobie. Na to wezwanie matka zanosząc się od płaczu zeznała, iż jedyne synaczka psuła swymi pieścotami, za co jej źle odplacił, bo raz w gniewie odważył się ją uderzyć.

— Bierz więc tę różgę — rzekł pleban — i bij rękę syna, która domaga się spełnienia ziemskiej kary.

Posłuszna rozkazowi uderzyła różdżką po rączce i oto natychmiast schowała się pod ziemię. Na tę pamiątkę ksiądz pleban zatknął ową różdżkę na grobie i wyrosła z niej ogromna brzoza, którą pokazują na przestrożę niedobrej dziatwie.

69. Wiąz św. Stanisława

We wsi Dojazdowie, w bliskości Krakowa, rośnie wiąz w ogrodzie mający przeszło jedenaście łokci obwodu przy podstawie. Podanie ludu utrzymuje, iż św. Stanisław Szczepanowski, biskup krakowski, będąc tej wsi dziedzicem i szczególnym miłośnikiem drzew, miał ten wiąz zasadzić, i to korzeniami do góry.

70. Obraz na księżycu

Pewien chłop miał dwóch synów, tym ze śmiercią swą zostawiał niewielkie gospodarstwo, które nie dzielone mogło się jakkolwiek utrzymać, lecz po rozdzieleniu znikłoby w małości. Bracia postanowili razem gospodarzyć i szło im dobrze; lecz młodszy zawsze myślał w duchu, że gdyby starszego brata nie było, on by sam mógł posiadać cały majątek, przy tym się ożenić i być zamożnym. Myśl ta w nim się wzmogła i na koniec jedną razą postanowił zabić swego brata. Zamiar ten wykonał w polu, gdy oba przyjechali po snopy, uderzył więc widłami brata starszego i zabił go. Bóg wnet zniszczył całe zbrodnia-rza gospodarstwo, a samego wtrącił żywcem do piekła. Aby zaś ludziom widok tej wielkiej zbrodni ciągle się przypominał i odwoził ich od podobnej, sam swoją ręką na księżycu obraz pomieniony nakreślił.

71. Chleb kamienny w Oliwie

Jest klasztor nad morzem od Gdańska o milę zakonu cysterskiego Oliwa rzeczony; w tym to kościele między wielu ozdobami znajduje się na stronie prawej za szkłem bułka chleba w kamień obrócona, a to z tej przyczyny:

Roku pańskiego 1217, gdy około Gdańska wielki głód ludzi trapił, pobożny opat oliwski kazał ustawicznie piec chleb i zgłodniałym ludziom rozdawać. Trafiło się, że jeden z ubogich wziął bułkę chleba i wyszedłszy z klasztoru, wrócił się potem i skłamałszy, że dopiero pierwszy raz przyszedł, dostał drugą.

Aż gdy powraca do Gdańska, zaszła mu poważna bardzo matrona piastująca na rękę śliczne dzieciątko, która go prosiła, aby jej na posiłek użyczył chleba.

Rzekł ów: — Ja sam nie mam chleba.

Rzecz mu owa matrona: — A to masz za pazuchą bułkę.

On na to: — To kamień, nie chleb — a to mówiąc, palcem go tykał.

Więc ona rzekła: — Niechże będzie kamień. I natychmiast zniknęła.

Postąpiwszy ów kłamca i nieużyty człowiek o staj kilka, wyjął ową bułkę, aż obaczy, że kamień, a w nim znak palca jego, zaczem struchlały i skruszony, a oświecony od Boga, co to była za matrona, wrócił się do klasztoru oliwskiego, winę kłamstwa swego wyznał i rzecz całą opowiedział, na której pamiątkę chleb ten chowają.

72. Sosna brata Piotra

Świątobliwy brat Piotr Chytkowicz ś. o. Franciszka w reformie naszej polskiej, gdy mieszkał w klasztorze zakliczyńskim, zasadził małą sosenkę, a spytany: na co? Odpowiedział: — Tak długo ściślejsza nasza obserwacja trwać będzie, jak długo to drzewo kwitnąć i trwać będzie. Gdy zaś zacznie usychać, będzie to znakiem upadającej obserwacji. I dziwna to jest rzecz, że choć ta sosna więcej niż od sta lat zasadzona, jednak ani do zbytnej wysokości wyrosła, ani dotąd nie usycha, choć w tymże ogrodzie przez srogie mrozy już nieraz wszystkie inne drzewa poschły. Dla czego ta sosna zawsze kwitnąca zowie się sosną brata Piotra.

73. Wizerunek Zbawiciela w trybunale lubelskim

W sali sądowej w Lublinie stał krzyż kamienny z wizerunkiem Zbawiciela, a nad nim był napis wielkimi złotymi literami: „Justitias vestras judicabo”. Osobliwość tego wizerunku ta była, iż Chrystus Pan miał twarz odwróconą i rysów jej nie można było widzieć; jednakże snycerz nie był go tak wystawił, ale pewien wypadek stał się przyczyną tej zmiany:

Była wdowa szczupłego miana uciśniona procederem przez jakiegoś magnata. Jej sprawa była jak bursztyn czysta, ale magnat zobowiązawszy wszystkich członków trybunału zyskał dekret wbrew prawu i sumieniu. Gdy go ogłoszono, nieszczęśliwa wdowa wyrzekła na cały głos w izbie: — Żeby mię sądzili diabli, sprawiedliwszy byłby dekret. A że sumienie kłuło nieco deputatów, na roki jej nie pozwano i wszyscy udali, jakoby jej nie słyszeli, z czym się odezwała; i że to było pod koniec sesji, porozjeżdżali się marszałek i deputaci, tak duchowni, jako i świeccy; została się tylko kancelaria i pisarze trybunalscy. Aż tu zajeżdża przed trybunał mnóstwo karet, wysiadają jacyś panowie, jedni w kontuszach, drudzy w rokietach, z rogami na głowie i ogonami, które się spod sukien dobywały. I zaczynają iść po schodach, a przyszedłszy do sali trybunalskiej zajmują krzesła, jeden marszałka, drugi prezydenta, inni deputatów. Pomiarkowali się pisarze i kancelaria, że to byli diabli, i w wielkim strachu przy stołach swoich siedząc czekali, co z tego będzie. Wtem diabeł, co marszałkował, kazał wprowadzić sprawę tejże wdowy. Przystąpiło do krzeseł dwóch diabłów jurystów: jeden pro, drugi contra stawał, ale z dziwnym dowcipem i z wielką praw naszych znajomością. Po krótkim ustępie diabeł marszałek przy-

sarza województwa wołyńskiego (bo ten interes był z Wołynia), ale prawdziwego pisarza, nie diabła, i kazał mu siąść za stołem i wziąć pióro. Zbliżył się pisarz wpół umarły z bojaźni i przymrużając oczy zaczął dekret pisać, jaki mu dyktowano. Dekret był zupełnie na stronę uciśnionej wdowy, a Pan Jezus na taką zgrozę, że diabli byli sprawiedliwsi niż trybunał przenajświętszą krwią Jego wykupiony i w którym tyłu kapłanów zasiadało, zasmuconą twarz odwrócił i oblicza swego nie pokaże (jako miał o tym objawienie świętobliwy jeden bazylian lubelski), aż naród się pozbędzie zaprzędajności w sądach, łakomstwa w księżach i pijaństwa w szlachcie. Ów dekret diabli podpisali, a zamiast podpisów były wypalone łapki różnego kształtu i położywszy go na kobiercu, który pokrył stół trybunalski, zniknęli. Następnej sesji trybunał znalazł diabelski dekret, gdzie był położony; bo rozumie się, że nikt z kancelarii ruszyć go nie śmiał. Złożono go na wieczną pamięć w archiwach.

74. Św. Bronisława

Św. Bronisława, panna zakonna w klasztorze Św. Norberta, zwierzynieckim, na modlitwie będąca widziała od kościoła Św. Trójcy, w którym leżało ciało św. Jacka Odrowąża, brata jej rodzonego, drogę jasno świetną ku niebu, po której Najświętsza Pan na w poczęcie wielu innych świętych wzięwszy św. Jacka za rękę prowadziła do nieba, śpiewając owe słowa z pisma: „Pójdę na górę Mirry i na wzgórkę Libanu.” O czym, gdy św. Bronisława opowiadała siostram zakonnym i wskazywała im palcem na niebo, wszystkie uwierzyły i poupadały na kolana, jedna tylko z sióstr znalazła się, co ze szyderstwem rzekła: — Nic nie widzę, siostrzo Bronisławo, wam się pomieszało w głowie! Ledwie te słowa wyrzekła, sama wpadła w wielkie pomieszanie zmysłów; i odtąd, jak chce mieć podanie, zawsze jedna z sióstr norbertanek dotknięta jest tym nieszczęściem.

75. Założenie Kijowa

Był pan jeden na Rusi, który niezmiernie uciskał swoich poddanych; nie tylko bowiem musieli nań pracować, ale jeszcze wydzierał im wszelki dobytek tak, że nic nie było w chacie od krówki do jaja, co by mogli nazwać swoją własnością. Długo cierpiał biedny lud to znęcanie się i łakomstwo swego pana, iż też nie mogąc dłużej wytrzymać, starsi uradzili zrobić czerniawę. Pan ze swojej strony, widząc na co się zanosi, zebrał dużo wojsko. Aż tu lud mnogi powstał ze wszystkich włości; starce, baby, dzieci nawet, wyszli z czym kto miał; z łopatami, cepami, kijami. Ćma biednego ludu była niezmierna. Pan się bronił zajadle, a oni wciąż go pędzili przez góry i rzeki wszędzie zabijając i nie dając odpoczynku, dopiero gdy przyszli na miejsce, gdzie dziś Kijów stoi, a postrzegli, że ani jednego wroga nie zostało przy życiu, zrzucili swoje kije na jedną kupę, która tak była wielka, że aż miasto zaczęto budować, które ze z kijów zbudowane, Kijowem nazwane.

76. *Przepowiednie znachora Wernyhory*

Wernyhor, wojak mężny i śpiewak nad śpiewaków, którego pamięć tak żywo utrzymuje się w gminie ukraińskim, zostawił po sobie przepowiednie, których objawienie miało nastąpić w ten sposób: Wernyhor był zamarł, a ubiegła z ciała jego dusza trzy dni błądziła w krainach wieczności, gdzie miała widzieć całą przyszłość świata; w końcu trzeciego dnia przybył do niej anioł i dawszy jej niektóre rozkazy, a mianowicie zaleciwszy milczenie w wielu rzeczach, przyprowadził ją nad okropną przepaść, z której wychodził nieznośny smród trupa; anioł pokazawszy jej, iż to jest jej doczesna cząstka, to jest: ciało, potrafił ją w tę przepaść i wtem Wernyhor odzyskał życie. W tej chwili zerwała się ogromna burza; wiatr wył po stepach straszliwie i ziemia się zatrzęsała. Przelękniony naród szukał uchrony w polu przyległym mogile Soroki, gdy wtem z jej wierchołka dał się słyszeć głos przeraźliwy jak oddźwięk szumiącego wiatru i chrzypiący jak krakanie kruk, zaczynający się od słów: *Posłuchajcie lude szczo Wernyhor skaże...* i tak dalej opowiedział swoje zmartwychwstanie i pocieszył lud wróżbami:*

Że Pan Bóg ma w szczególnej swej opiece Ukrainę, chociaż za niechowanie przykazań Jego lud dotknięty został niewolą panów, głodem, morem i wojną; lecz że to wkrótce przeminie i Ukraina będzie szczęśliwą.

Że nadejście tej dobrej chwili dla Ukrainy uprzedzi krwawa bitwa mająca się stoczyć między jej obrońcami i nieprzyjaciółmi na polach przyległych mogile Soroce.**

Że w znacznej części świata nabożeństwo weźmie inną formę. Królestwa dawne zniszczą, a nowe powstaną. Lecz dalej, co ma być i nastanie, mówić mi się nie godzi, bo by Dniepr wystąpił z koryta.

* Te przytoczone tu wróżby krążą w podaniu ustnym u gminu; daleko obszerniejsze znajdują się przechowane w rękopismach polskich.

** Do tego prorocstwa odnosi się i ta pieśń gminna:

*Preczystaja Diwo Maty,
Pomoż wrahiw prohnaty.
Wid dołyny Hanczarychy,
Za mohyły Perepiat y perepiatychy.*

77. *Wąż*

Niektóry człowiek, religii katolickiej prawdziwy wyznawca, u jednego z węzochwalców na Litwie kupił kilka ulów miodu, a potem, za długim zaprzyjaźnieniem się i samego na wiarę chrystusową, acz z wielką pracą i staraniem, nawrócił i namówił, aby obrzydli-

wego węża, którego za boga chwalił, zabił. To gdy ten gospodarz uczynił, po małym czasie przyszedł do ogrodu pasiekę swoją przeglądać, wtem ujrzał w ulu jednym próżnym siedzącą osobę, jakąś czarną, na podobieństwo człowieka, z gębą aż po uszy szkaradnie rozdartą, z oczyma krzywo wywróconymi, zgoła jakieś piekielne straszidło tam było. Zapomni się od strachu gospodarz; potem nieco do siebie przyszedłszy, kto by był i co by tam robił? — spyta. Poczwarą odpowiedziała: — Jam jest ten, który tak długo tu będę, aż się tęgo nad tobą zemszczę, żeś boga swego domowego zabił i jeszcze większe prześladowanie będziesz miał, jeżeli się do ofiar jemu należących nie wrócisz. Gospodarz nie dbał o to i jako chrześcijanin krzyżem świętym przepędził poczwarę, że natychmiast znikła i nie wiedzieć, gdzie się podziała. Kiedy jednak na to miejsce przychodził, przez czas długi szum jakiś i ksykanie na kształt wężów w ogrodzie słychać było.

78. Dzwon wornieński w jeziorze Łukście

Na Żmudzi w czasie przewozu nowo odlanych dzwonów do Worn zimową porą, z przyczyny słabego lodu jeden większy utonął w jeziorze Łukście. Stąd więc, gdy teraz drugim dzwonią, tamten żałośnie co wieczór się odzywa: brołau! brołau! (bracie! bracie!). W ogóle gmin przyznaje wiele mocy nadprzyrodzonej dzwonom: nim jest poświęcony i nie ma imienia, żadnym sposobem z miejsca ruszyć się nie daje. Dzwony zakłete można równie jak dusze pokutujące lub chrztu żądające modlitwą lub krzyżem świętym odkupić.

79. Krzysztofory w Krakowie .

W środku rynku starożytnego grodu stoi staroświecka kamienica Krzysztofory, należąca niegdyś do Krzysztofora, zwolennika magii, a w ostatnich czasach do starosty klučzewskiego. Pod mą rozciągać się mają obszerne piwnice wzdłuż całego rynku, aż do kościoła Panny Marii. Nie wiadomo, w jakim czasie to się działo; dosyć, że młoda kucharka miała zarznąć koguta, ale ten jej uciekł do pomienionych piwnic. Dziewczyna, chcąc go koniecznie doścignąć, zapędzała się za nim coraz dalej nie zważając, że przebiegła kilkanaście coraz głębszych piwnic. W końcu nie znalazłszy zguby chce powracać, gdy wtem zastępuje jej drogę cieniuchny Niemczyk w trójgraniastym kapeluszu, na kurzych stopach: był to przemieniony kogut w diabła, który uspokaja przelekką kucharkę, a pokazując beczki napelnione złotem każe jej nadstawić fartuszkę. Dziewczyna napelnia złotem swój fartuch i odbiera napomnienie, żeby się nie obejrzała poza siebie, bo wszystko straci. Ale kucharka mając ostatni stopień przestąpić, z ciekawości zwraca oczy poza siebie: drzwi się z łoskotem zatrzasnęły i choć skarby zatrzymała, utraciła piętę.

Zaraz znalazła wielu zalotników, poszła za męż, a na pamiątkę swego zdarzenia miała ufundować kaplicę przy kościele Panny Marii, gdzie przed niewielką laty miano pokazywać obraz wypadek ten przedstawiający.

80. Kamień w Podkamieniu

Przed samym kościołem księży Dominikanów w Podkamieniu, miasteczku obwodu złoczowskiego, stoi na pochyłości góry ogromny głaz. Podanie miejscowe niesie, iż gdy ten kościół zbudowano, diabeł gniewny, że w nim się będzie odprawiać nabożeństwo z wielką chwałą Boską, porwał ze szczytu Karpat ogromny kawał skały i leciał z nią pewnej nocy w zamiarze rzucenia na szczyt kościoła; lecz szczęściem kur wtedy zapiał i głaz runął w to miejsce, gdzie dzisiaj leży.

81. Zaklęta dziewczyna pod Strzelnem

Niedaleko klasztoru Norbertanek w Strzelnic (pod Inowrocławiem), we wsi zwanej Młyny, znajduje się głaz ogromny wyobrażający w oddaleniu dość dobrze postać człowieka niosącego wodę w wiadrach. Jest podanie, że w głaz ten przemieniła się przed laty pewna służebna dziewczyna. Miała ona być niezmiernie leniwą i gdziekolwiek ją gospodyni wysłała, lubiła się długo zabawić. Jednego razu poszła z wiadrami do pobliskiego źródła czerpać wodę i zwyczajem swoim nie wracała długo do domu. Gospodyni zniecierpliwiona rzekła w uniesieniu: — Bodaj taka dziewczyna skamieniała! Po czym upływa jedna i druga godzina, a dziewczyna nie wraca. Nareszcie gospodyni wychodzi z domu szukać jej, z obawy, czy w wodę nie wpadła. Lecz jakież było zdziwienie gospodyni i przestach, gdy nad źródłem zastaje dziewczynę wskutek jej przeklonu, wraz z wiadrami, w kamień przemienioną!

82. Droga Sierpiahy*

W jednym państwie, w dalekiej krainie, król miał bardzo ładną królową a wielką czarownicę, z którą nie mógł sobie dać rady; robiła mu tysiąc przykrości: oczarowywała jego radnych, wojsko i cały naród. Nieszczęśliwy król poszedł do jednej wróżki pytać, co by trzeba robić, aby jego córka nie była taka zła, taka wymyślna? Wróżka mu odpowiedziała, że potrzeba ją wydać za męża, a choć i wtenczas będzie jednakową, mniej wszakże dokuczy narodowi i ojcu; bo mąż za nich będzie odbywał pokutę. Król wrócił z tą odpowiedzią do domu i znalazłszy porę, przełożył córce potrzebę pójścia za męża. Na usilne nalegania ojcowskie odpowiedziała, że pójdzie wreszcie za męża, lecz tylko za takiego rycerza, który przyjechałby do niej na koniu nie większym jak na dwa łokcie od ziemi, a podniósł sierp, który ona, królowa, dla swego narzeczonego umyślnie każe zrobić. Jakoż i rzeczywiście kazała zebrać wszystko w kraju żelazo i ukuła z niego taki sierp, że aby go dźwignąć, potrzeba było stu ludzi, a dwa razy tyle siły, aby nim żąć można. Zapłakał stary król i wysłał swoich posłów w rozmaite świata strony, szukać dla córki męża, jakiego ona mieć chciała.

Posłowie chodzili długo po świecie daremnie. Na koniec zachodzą do pewnej karczmy, gdzie zastali kilku ludzi; tam, napiwszy się i podjadłszy, wzięli kwartę wódki i zaczęli przytomnych częstować, rozpytując, czy nie widzieli, czy nie słyszeli gdzie takiego siłacza, co by podniósł i żał sierpem, którego stu ludzi załedwie dźwignie. Jeden z obecnych, człowiek bez ręki, powiada: — Oj jest, ja znam jednego chłopca, co ma syna; już teraz rośły Kozak, bo już to temu ze dwadzieścia lat jak on, jeszcze łażąc na czworakach po ziemi, gdy już ja byłem spory wyrostek i chciałem mu jakieś wziąć cacko, złapał mnie za rękę i jakby muchę zdusił, tak mi ją oderwał; potem gdy on wyrastał, to dziwem dziwne rzeczy wyrabiał: pomyślcie no tylko sobie, co to za siła; raz wszedł do karczmy i kazał sobie dać wódki. Żyd zapytał go, czy ma pieniądze. A gdy siłacz na to nie odpowiedział i Żyd wódki nie dał, on wziął jedną kufę wódki pod lewą rękę, drugą pod prawą i wychodził z karczmy, a gdy go arendarz zatrzymał, jednym zamachem nogi tak trącił Żyda, że ten uderzywszy się o karczmę zawałił ją i umarł.

Usłyszawszy o tym posłowie nie oszczędzili już żadnych wydatków. Kupowali wódkę, piwo, miód, rybę i wszystko, co było w karczmie, aby się dowiedzieć, gdzie mieszka ów siłacz. Zrazu ów chłop bez ręki drożył się ze swoją tajemnicą, a potem powiedział, że ojciec siłacza mieszka w Kaniowie, a sam siłacz „na kaniowskim rynku, hrajetsia w swynku”. Posłowie natychmiast udali się do Kaniowa; poszli wprzód do chłopca, a złożonywszy mu bogate dary prosili go, aby im dał syna swego za męża ich królownej. Ojciec się na to zgadzał. Posłano więc za siłaczem, który wręcz powiedział, że tej królowej znać nie chce. Zaczęto go więc prosić, a najbardziej ojciec, na którego nalegania prośbą i groźbą siłacz dał posłom swoją konewkę powiadając, żeby jechali do domu, a za trzy dni on się wybierze w drogę; lecz gdyby go długo nie było, to niech podniosą w górę daną im konewkę, wtenczas jeśli się ukaże siwy obłoczek na niebie, znaczyć to będzie, że on już jedzie; a gdy pokaże się czarna chmura, znaczyć to będzie, że jeszcze z domu się nie wybrał i niech przysła dowiedzieć się o przyczynie. Odjechali posłowie. Minęło trzy dni, siłacz nie myślał wyjeżdżać mimo nalegania ojca. Za drugie trzy dni przybyli znów posłowie; siłacz im odpowiedział, że nie wprzód do nich pojedzie, aż mu przywiozą portret królowej; gdy i to przywieźli, siłacz znów nie pojechał, a przybyłym posłom powiedział, że nie wie, jaki ciężar jest sierpa, więc aby mu go na pokaz przywieźli. Gdy i to spełnili, wówczas siłacz kazał, aby sierp ten wlekli z Kaniowa do domu po ziemi, co by mu zrobiło drogę w jego podróży. Posłowie i na to się zgodzili; i odtąd zrobiła się na Ukrainie Sierpiahowa droga (*Sierpiażyn szlach*), tak nazwana od tego, że ją zrobił Sierpiaha, to jest; ogromny sierp.

Siłacz po tym wszystkim musiał się wybrać w drogę, chodziło tylko o konia; najsilniejszy z tych nie mógł go udźwignąć. Przypędzono więc cały tabun do wyboru, siłacz wybrał w nim jednego najmniejszego i najbrzydszego, bo nie był roślejszy nad dwa łokcie od ziemi; i na nim puścił się w drogę. Po powrocie posłów podniesiono konewkę do góry i już nie czarna chmura, lecz płowy pokazał się obłoczek. Radość w całym królestwie była największa, zaczęto przygotowywać się do wesela. Przybył wreszcie i siłacz na swym koniu; a wzięwszy ów sierp, zżał nim łan żyta, lecz w końcu powiedział, że nie chce ani królestwa, ani królowej. Próżno go prosili król i naród; daremnie królowa robiła, co mogła, aby go sobie zjednać; on jej nie chciał i nie chciał. Wówczas król rozgniewany kazał mu uciąć głowę, a ciało odesłać do Kaniowa na większy żał ojcu, co miał syna, który nie chciał królowej za żonę i królestwa w posagu.

* Droga ta około Kaniowa uważana jest od ludu za złowieszczą i służy za przekleństwo: *A szczobyś popaw na Sierpiażyn szlach* (Bodajeś poszedł drogą Sierpiahy). Pan Izopolski mniema, że ta droga nosi nazwę od Sierpiahy, hetmana kozackiego zwanego Podkową. Koniec tego podania zgadza się z okolicznościami śmierci tego hetmana; ścięty on był we Lwowie jako przeniewierczy gospodar wołoski, nie jako hetman kozacki. Ciało jego odprowadzili Kozacy do Kaniowa.

83. Ludzie obrócenii w kamień

I

Niedaleko Brześcia Kujawskiego nad jeziorem pokazują wieśniacy kamień duży, mający podobieństwo do dziewczyny z grabiami. Powiadają, że będąc nieposłuszną matce, gdy siano grabiła w dzień świąteczny, przez nią w kamień zaklętą została.

II

W bliskości wsi Koronat na Podlasiu są dwa głazy, o których podanie niesie, iż pewien gospodarz, orząc w niedzielę, został przeklęty od pobożnego człowieka i skamieniał.

III

O ćwierć mili od wsi Zabokruki na Podolu jest przy drodze kamień jak słup jaki, grubości do czterech łokci, a wysokości może do 10 mający. Jest podanie, jakoby przed wiekami matka z córką pracowały na tej łące i kiedy matka najpilniej robi, córka często sobie folgując napomnienia matki nie słuchała, matka rozgniewana przeklina ją, ażeby się w kamień obróciła; i oto taż sama nieposłuszna córka w kamień się zaraz obróciła i stoi przy drodze.

IV

Między Jeziorzanami a Buczaczem jest kamień mający postać człowieka z podniesioną ręką. Rzecz się tak miała: Pracującej matce w polu przyniosła córka jedzenie, lecz gdy ją matka łajała, że się i zbyt spóźniła, i jadło lada co przyniosła, niegodna córka podniosła rękę, chcąc ją w twarz uderzyć. Nie dopuściło nie- bo tak szkaradnego czynu, bo zaraz obróciła się w kamień z podniesionym ramieniem. Obok tego głazu pokazują stojący na ziemi mniejszy głaz mający podobieństwo do bliźniaków, w których zwykle wieśniacy strawę noszą pracującym w polu.

84. Dusza towarzysza chorągwi Radziwiłłowskiej

Albrecht Radziwiłł, mąż cielce pobożny, wysłał był swoją chorągiew do obozu przeciw nieprzyjaciołom ojczyzny; ta, mężnie się ucierając, w pień była wycięta. Nie wiedział jeszcze o tym książę Albrecht, aż gdy się modli niedaleko kominka, stawa przy nim jeden z pobitych towarzyszy, a nie śmiejąc mu przeszkadzać do modlitwy, drewka tylko na ogień przykładając. Obejrzy się książę i poznawszy go pyta, co by tu robił? Odpowiedział on: — Żeśmy wszyscy na placu legli, to nasze szczęście, że wszyscy do nieba należymy; atoli jeszcze sprawiedliwości boskiej wypłacić się musimy; ty, byłeś chciał, możesz nam dać pomoc: będziesz zaś miał ten znak pewny, że potrzebujemy jeszcze twego ratunku, gdy zapuściwszy się w staw poblizszy pałacowi, tak lgnąć będzie, że aż z trudnością wyciągną — i znikną.

Wylał się zatem na dobre uczynki Albrecht za ich dusze, osobliwie na msze i jałmużny, i gdy w staw zapuścić kazał niewód, a więznął; znowu i po drugi raz czynił za nich dobrze; dopiero za trzecią razą, gdy sieć wolno przeszła, zrozumiał, że i oni przeszli na wolność synów boskich.

85. Brzezicki

W rocie pana Skuminowej służył, jakiś Brzezicki z Lublina, był on straszny hulaka, pił gorzałkę z każdym, z kim się spotkał. Nigdy się nie wychmielił, nie wiedział, kiedy noc, kiedy dzień, nie zmieniał nawet bielizny i w jednej tylko opończy hulał po ulicy chodząc.

Razu jednego przyszli do niego diabli. Spał on jak zwyczajnie w sali; tamże był jakiś Rzepnicki jego krewny, który służył w chorągwi na swoim koniu, i sługa. Ostatni jako młody chłop czyk spał tego i nie wszystko słyszał, tylko koniec, a Rzepnicki z uwagi nic nie stracił i zgodnie z Brzezickim opowiadał rzecz następną:

O samej północy słyszą oni obadwa, jakoby wóz jechał na ulicy, podjeżdża pod dom. Wchodzi ktoś po wschodach prosto do sali i zatrzymuje się przy łóżku Brzezickiego. W wozie były cztery konie, ktoś z niego złazi i mówi do naszego hulaki:

— Przysłany jestem po ciebie, siadaj.

— Nie, diable — odpowiada przebiegły Brzezicki, nie tracąc męstwa — ja nie jeżdżę czwórka.

— Otóż masz i sześć koni. Patrzaj! Aż tu istotnie w wozie sześć koni przedziwnych. Chcąc z biedy się wypłatać, Brzezicki znów odpowiada:

— Powóz brzydki, nie masz azjatyckich dywanów. I wszystko było za machnięciem chustki od diabła. Tu już nie miał czym się wymówić. Diabeł nalega koniecznie, a on nie

chce. Tymczasem przywiązuje do nóg łóżka postronek i ciągnie je razem z Brzezickim. Przestraszony go opanował, krzyczy z całej mocy: — Chłopcze! Chłopcze! A w głowie chłopca ktoś stoi w bieli, nie puszcza go i mówi:

— Rzuć tego człowieka, on do piekła jedzie.

— Jakie ty życie prowadzisz? — mówił diabeł do Brzezickiego — patrzaj, oto są wszystkie twoje grzechy od samego urodzenia; oto wszystkie twoje ulubione zabawy. Teraz na służbę swego wołasz, a wczoraj czyż nie za toś go bił, że poszedł na nieszpory?

Tak przypomniawszy mu wszystkie jego nieprawości, bierze z powozu wędzonego karpia i dając Brzezickiemu mówi: — Jedz z swymi pułkownikami (to jest: z Poniatowskim, Umichowskim i Kresą). Ci ichmościowie, Bóg wie, jakiej wiary byli, każdy swoją miał. Tymczasem kur zapiał i wszystko zniknęło. Nasz junak ni żywy, ni martwy dnia się doczekał i jak tylko rozedniało, poszedł do księży bernardynów i nie wychodził z klasztoru dwa tygodnie: spowiadał się, przyjął komunię — i wszystko było próżno. Dokąd się uda, zawsze mu diabeł przed oczyma w rozmaitych postaciach, to psem się przerzuci, to kotem. Nigdzie nie miał pokoju. Egzorcyzmy czytali nad nim kapłani i zarzekał się pić wódkę, nic nie pomagało; na koniec zaledwie upamiętał się w pół roku.

86. *Duchy familijne*

Kiedy Rej był posłem do Szwecji, zachorował mu stangret jego kochany, którego zachorzałego zostawił u pewnego szlachcica, mając go odebrać powracając nazad do Polski. Chory ten leżał w jednej izbie pustej, a kiedy go gorączka ominęła, usłyszał muzykę jakąś pięknie grającą; rozumiejąc, że to tam w innych pokojach grają, leży, aż tu z myszej jamy wyskoczy jeden chłopiec maleńki po niemiecku ubrany, a za nim drugi i trzeci, a potem i damulki; muzykę też coraz to lepiej słyhać i poczną tańczyć po izbie. Ów stangret w okrutnym był strachu. Po czym zaczął parami wychodzić za drzwi; wyszła także muzyka, wyprowadzono i pannę, zwyczajnie tak, jak do ślubu ubraną; nareszcie wyszli wszyscy z izby, jemu żadnego nie czyniąc gwałtu. Biedny stangret ledwie od strachu nie umarł. Wychodząc zostawili jednego malca, który mu rzekł: — Nie turbuj się tym, co widzisz, bo tu tobie i włos z głowy nie spadnie. My jesteśmy panowie duchowie; mamy też tu wesele swoje, żeni się nasz brat, idziemy do ślubu i nazad tędy powracać będziemy, a ciebie także aktu weselnego uczestnikiem uczynimy.

Ów, nie życząc sobie więcej patrzeć na owo widowisko, wstał i założył drzwi na haczyk, żeby oni tamtędy nazad powrócić nie mogli. Skoro tam już po onym ślubie powracają; aż tu drzwi zamknięte, muzykę znowu słyhać; tymczasem ruszą drzwiami — zamknięte. Włazł jeden maleńki szparą pode drzwiami, a uczyniwszy się w oczach jego dużym mężczyzną, pogroził mu tylko palcem i zdjawszy haczyk otworzył drzwi; i tym się znowu, co pierwiej, prowadzili traktem, a potem w ową myszą jamę powłazili. W godzinę lub też więcej, wyszedł znowu jeden z owej dziury i przyniósł mu na talerzu kołacza suto konfiturami i rodzynkami przeplatane, mówiąc ten maleńki oddawca: — Weź i skosztuj tych weselných wetów. — Odebrał stangret te wety z wielkim strachem; a podziękowawszy postawił wedle siebie. Przyszli potem do niego ci, co go doglądali w jego chorobie, i ten lekarz, co koło jego zdrowia chodził. Pytają: — Któż to dał? Opowiedział im całą

awanturę. Pytają: — Czemuż nie jesz? Odpowiada: — Bo się tego jeść boję. Owi mówią mu: — Nie bądź prostakiem nie bój się, jedz, dobre to rzeczy. Nasi to są domownicy, nasi przyjaciele; jedz. On po staremu nie chce. Wziąwszy owi kołacz, przed oczami jego zjedli i nic im nie szkodził.

Zażywają oni tych malców do roboty i do różnych posług.*

* Powiastka ta aczkolwiek przeniesiona do Szwecji przecie* krąży między nami; wziąłem ją dla trafnego opowiadania z *Pamiętników* Paska.

87. Pielgrzym

Szedł ubogi pielgrzym i zaszedł między takie skały, że z nich wyjścia nie było. Przesiedział lato, nadeszła zima; a zima tak sroga, że ptastwo zmarzłe ze złotym pierzem upadało z powietrza. Przeziębnięty pielgrzym czekał pewnej śmierci, gdy ujrzał sobola, jak szparą w ogromnej skale przebiegał. Spojrzy i zobaczył uradowany, że tędy jest droga: — Tu więc droga! — zawołał; ale słowa jego zamarzły, a on sam z wielkiego mrozu w kamień się obrócił.

Nadszedł w to samo miejsce drugi pielgrzym i równie jak pierwszy nie mógł znaleźć wyjścia spośród skał wysokich. Już począł rozpaczać i płakać rzewliwie, kiedy wiosenne skwarem dopiekając słońce zmarznięte słowa pierwszego pielgrzyma odtajało. Spojrzy — widzi, że leżą słowa, które lód ze śniegiem czarnym zatrzymał, a teraz się świeżą murawką okryły. Przyszedł bliżej i przeczytał: — Tu więc droga! — Poszedł więc za tym przewodnikiem, znalazł nieświadome przejście i już prosto stamtąd do grobu Jezusa zaszedł.

88. Upiór i dżuma

Okropna dżuma panowała na Ukrainie; tysiące ludzi wymierało, a tysiące rozbiegło się po lasach, szukając schronienia przed tą klęską. W jednej wsi pozostał wszakże jakiś książ moskiewski (było to przed pierwszym zaborem kraju), który się mocno obwarował od tego powietrza. Miał on przy sobie dworzana, szlachcica polskiego, ten pewnego razu wyjechał konno do pobliskiego miasteczka; droga wypadła przez las, a gdy się właśnie ściemniło, w największym boru koń nagle mu stanął, zaczął parskać i kopytami bić w ziemię. Szlachcic zdziwiony, a nie widząc, skąd by powód narowu, zeskoczył z siodła, wziął za cugle, a idąc przodem ciągnął za sobą stępaka. Zrobiwszy kilka kroków zobaczył tylko wielką spróchniałą kłodę leżącą w poprzek drogi i już miał ją ominąć, gdy nagle z wielkim swoim przestachem ujrzał, jak z tej kłody wylazł człowiek. Pomimo tego mrozu był on lekko ubrany i coś wyglądał na włóczącego się Niemczyka. Postać ta zbliżywszy się doń powitała go grzecznie i rzekła: — Jestem upiór; moja siostra upioryca

mimo moich zabiegów przyniosła do was dżumę, a z nią głód i nędzę. Lecz muszę ją stąd wypędzić; chciej mi tylko dopomóc, a nic ci się złego nie stanie; bo nawet wśród największej dżumy, kiedy wszyscy będą umierać, ty nie umrzesz. Słuchaj tylko, jaki ci podam sposób: oto jutro o tej samej porze, co i dziś, przyjedź tu znowu i przyprowadź całego białego konia, który ani włoska nie ma na sobie innej maści; potem przyniesiesz mi 12 worów, na które przez 24 godzin mają być uprzedzone nici i wyrobione płótno; dalej przywieziesz mi 12 zielonych, baranich, całkiem nowych czapek, które także w tych 24 godzinach nowo uszyte być mają; a za tymi czapkami mają być zatkanie dopiero ukute noże, trzonkami do góry a ostrzem w futro, jak pióra; to wszystko przywieziesz i oddasz mi, a ręczę, że ci włos z głowy nie spadnie.

To rzekłszy poszedł znowu do swojej kłody; a szlachcic dosiadłszy konia kopnął się do domu i opowiedział wszystko kniaziowi, który przerażony tym wypadkiem natychmiast zwołuje tkaczy, kuśnierzy, kowali i każe pomienione rzeczy w 24 godzinach wygotować. Gdy noc nadeszła, kniaź i szlachcic dosiadłszy koni i zabrawszy one rzeczy ruszyli w wiadome miejsce. Ledwie się zbliżyli do kłody, gdy wyszedł na ich spotkanie upiór, a zabrawszy czapki i wory, wskoczył na białego konia i pędem poleciał nie rzekłszy ani słowa. Powróciwszy do siebie wszyscy byli weseli, a mianowicie kniaź, że się dżumie wykupił; lecz nazajutrz cały dom wymarł oprócz tego szlachcica, któremu upiór życie ocalić obiecał.

89. Rozmowa bydła.

Wedle mniemania ludu ruskiego zwierzęta domowe, jako to; konie, woły i krowy, w niektóre nocy następujące po pewnych dniach świątecznych prowadzą ze sobą rozmowę ludzkim językiem; rozmów tych podsłuchiwać się nie godzi pod utratą życia, co potwierdza niniejsze podanie:

Pewien bogaty gospodarz wyszedł tajemnie na swą oborę w nocy przed Nowym Rokiem, aby podsłuchać rozmowy swego dobytku; po pewnej chwili oczekiwania para najładniejszych siwych wołów naprzód się położyła, inne woły pytały ich: — Dlaczego tak wcześniej się kładą i czemu by były smutne? — pytane odpowiedziały: — Jak nam się nie smucić, jak nam nie odpoczywać, kiedy jutro, nim się dzień skończy, będziemy wprężone do najcięższej roboty. — A to jakiej? — pytały inne woły. — Ach! — odpowiedziały pierwsze — nasz gospodarz dobry i łaskawy miał, Bóg wie, jak długo żyć; a tymczasem wyszedł naszej podsłuchiwać rozmowy i za to tej jeszcze umrze nocy, a my będziemy go wieźli jutro do grobu.

Nazajutrz odbył się pogrzeb gospodarza i para siwych, najładniejszych wołów odwiozły go na smętarz.

90. Niedźwiedź

Kiedy jeszcze Chrystus ze św. Piotrem po ziemi chodzili, jeden młynarz chcąc się przekonać, czy Chrystus był prawdziwym Bogiem, ukrywszy się pod mostem na przechodzących wyskoczył, w chęci nastraszenia. Chrystus rzekł wtedy: „Ty, co chcesz straszyć, bądź straszylem dla ludzi” — i zamienił go w niedźwiedzia. Taki więc jest początek tego dzikiego zwierza, który raz pierwszy pokazał się na ziemi, zachowując w łapach przednich kształt ręki człowieka.

91. Król węzów

Opowiadają wiele o jego nadzwyczajnej piękności, o mieniących się barwach i o grzebnyku diamentowym na głowie. Napastowany wydaje gwizd donośny i wnet ze wszystkich stron zlatują mu tłumy węzów na pomoc.

Zdarzyło się, iż pewien pastuszek, widując czasami tego króla węzów i dziwując się diamentowej jego koronie, umyślił zdobyć takową. Jakiegoż więc używa fortelu? Oto ukreślił sobie potężny bicz, osadził na gibkim biczysku i wysmarował smołą; tak przygotowany czatuje na króla węzów. Niedługo widzi, jak ku niemu sunie. Kitka diamentowa trzęsie się do słońca, pastuch poskoczył, zaciął biczem i zerwał kite, która przylepiła się do smoły. Ale tu jakież strach go ogarnął! Król węzów gwizdnął, aż się liście zatrzęsły i oto zewsząd zlatują się gromady węzów. Nie było innego sposobu, jak wziąć nogi za pas i zmykać; pastuszek tak też i zrobił. Uciekał, uciekał, a węże wciąż za nim; i pewnie byłyby go na mak rozniosły, gdyby nie był dopadł klasztoru panien na Zwierzyńcu pod Krakowem i bramy za sobą nie zatrząsł.

92. Zazula

Za dawnych czasów żyła wielka i bogata kniahini, która koniecznie chciała wydać swoją córkę młodą za starego pana. Młoda kniahinka opierała się długo rozkazom matki, lecz gdy ją ani przekonać, ani ubłagać żadnym sposobem nie mogła, zezwoliła na wszystko i dzień ślubu naznaczony został. Zaledwie słońko zajaśniało, przygotowania się rozpoczęły na wielkim dworze i młodą kniahinkę przystrojono do ślubu; lecz jeszcze wianka nie miała, jeszcze drużny nie zanuciły pieśni kładąc go na głowę dziewczycy.

Już wszyscy w cerkwi czekają, a nie widać panny młodej; posyłają, nie masz jej w komnatach starego dworca. Biega sama po ogrodach księżna i przy zmroku wieczora szuka, woła, prosi, błaga nadaremnie; głos tylko jakiś śmiejący rozlega się wokół. — Kryj się więc na wieki! — zawołała rozgniewana matka — i na wieki się odzywaj!

Niezdługo usłyszano dziwne chichotanie, a wkrótce kuku, głos nowo utworzonego ptaka. Tak kniahinka przemieniła się w kukułkę. Pamiętna wszelako na ród, z którego pochodziła, zbyt dumna, aby miała sama robić gniazdo, a tym więcej nudzić się dni kilkanaście na jajach: łapie przeto małego ptaka i na jajach siedzieć mu każe. Sama doziera, aby starannie dopełniał włożonego nań obowiązku; a jeżeli w nim dostrzeże zuchwałą chęć ucieczki, przywiązuje go włosiem za nogę do gniazda.

I, z tak wysokiego rodu pochodząc, kukulka nie tylko w wysiadywaniu jaj i usłaniu gniazda cudzą wyręcza się pracą, w podróży nawet ma przy sobie małego ptaszka, który jak wierny giermek żywność swej pani niesie.

93. Kania

Kania jest to dziewczica nadzwyczajnie pięknej i ujmującej postaci. Przybywa ona otoczona obłokiem od wsi do wsi pod wieczór i tam samotnie spotkane dzieci różnymi sposobami i łakotkami stara się do siebie przywabić tak, iż lgną do niej jak do matki. Ujawszy je zaś, odziewa się gęstym obłokiem i uniesiona na nim ulatuje na dzikie lasy i stopy, skąd porwane dzieci nigdy już nie wracają.

Lud gminny z tej powieści tłumaczy sobie to przysłowie, które dzieciom na przestroagę używa: Dzieci! Kania leci!

94. Wił

Gmin wystawia sobie to straszidło wysokie, kształtem podobne do piły. Głowę atoli ma zupełnie ludzką; twarz — starca zgrzybiałego z długą, żółtą brodą. Stawa pospolicie przed człowiekiem zasypiać mającym, w kierunku, w którym patrzy. Okropnością postaci swojej przeraża tak, iż snu pozbawia. Zresztą nic szkodliwego nie czyni. Na próżno odwraca się człowiek zbiedzony; gdziekolwiek okiem rzuci, wił mu naprzeciwko stawa. Były doświadczenia, iż uniesieni gniewem niektórzy, których to widmo co noc odwiedzało, rwali się do szabli, chcąc je porąbać lub od siebie odpędzić. Wił przecież w mgnieniu oka usuwa się na każdy zamach i zawsze zostaje w jednej odległości od człowieka i zawsze w kierunku, gdzie patrzy. We dnie widzi go także ten, którego przychodzi dręczyć, rozciągniętego za belką, skąd żadne sposoby wypędzić go nie mogą. Wiadome mu są wszystkie domowe tajemnice.

95. *Bazyliszek*

Ma kształt koguta, białe plamy jak koronę noszący lub też podobny do jedyka. Ogon ma węża, zakręcony do góry, na dwóch chodzi nogach, pod skrzydłami żółty. Mniemają, że się rodzi z jaja koguciego, które kogut dziewięć lat mając zniesie i ze wstydu w koński gnój zakopuje.

Takie są o bazyliaszku dwa podania:

Za Zygmunta Augusta w Warszawie na pogorzelsku, gdzie kamienica na trzynaście lat przedtem zgorzała, była głęboka, jak jaskinia jaka, piwnica, w tej miał jamę bazyliszek, o czym nikt nie wiedział. Do tej piwnicy dziewczynka mała z chłopczykiem tak- że małym, na swywołę czy igraszkę weszli oboje tak, że nikt nie wiedział, gdzie się podzieli. Kiedy ich długo nie widać, szuka matka córki, posyła wszędzie, nigdzie znaleźć nie może; domyśli się na ostatek, kiedy ich wieczorem do wieczerzy nie widać, szukać ich w owej piwnicy. Kazano tam wejść dziewczce, weszła. Aż znajduje oboje dzieci bez duszy; ledwie krzyknęła, wkrótce i sama padła i umarła. Kiedy długo dziewczki nie widać, poszedłszy ku drzwiom pani woła po imieniu dziewczki i dziecięcia; gdy się nikt nie odzywa, złąka się, krzyczeć i lamentować poczęła, aż się sąsiedzi Rozbiegali. Doszło to wprędce do urzędu; więc spostrzegłszy z daleka, że ci pomarli, powyciągać osękami długimi trupy kazano. Strach było widzieć, jak się strasznie jak bębny powydymały, posiniały z gruntu i oczy na wierzch były wysadzone. Na tak straszne widowisko całe miasto się zbiegło; przyszedł też i wojewoda jeden i architekt z nim bardzo stary. Ten tedy architekt zaraz powiedział, że tam musi być koniecznie bazyliszek, którego inaczej zgubić niepodobna, tylko trzeba jakiegoś odważnego człowieka w same zewsząd zwierciadła ubrać; twierdząc, że tenże bazyliszek, jak sam siebie obaczy w zwierciadle, zaraz zdechnie. A że wtenczas dwóch złoczyńców na gardło skazanych w więzieniu siedziało, jeden Polak, drugi Szlązak, Jan Taurer, tym kazano jedno z dwojga obierać: albo ginąć od miecza według dekretu, albo który by się z nich odważył iść na zgubienie bazyliaszka, tego deklarowano życiem go darować. Odważył się Szlązak. Więc gdy wszystkiego z gruntu zwierciadłami okryto i oczy nawet szkłem zasłoniono, poszedł do owej piwnicy, gdzie kiedy przez całą godzinę różnie szukał, nie mogąc znaleźć, już mu i świecy nie stało; więc prosił o inszą świecę, żeby mógł w ciemnych między rumem lochach obaczyć. Jakoż znalazł straszną bestyję już nieżywą, bo się sam wzrokiem swoim ów bazyliszek zabił. Więc zawołał, że już nie żyje. Kazał tedy ów architekt królewski wynieść owego bazyliaszka na górę, dopiero go każdy oglądał. Bestyja była tak wielka jak kura, z głową i szyją indyczą, oczy miała żabie.

W Wilnie także za Zygmunta Augusta w pustej także piwnicy ulągł się bazyliszek, który wyglądając oknem zawalonym, wiele ludzi przechodzących wzrokiem swoim zabijał. Tego chcąc zgubić, taki wynaleziono sposób: Cztery snopy ruty po jednym w piwnicę wpuszczono i znowu, ale nie zaraz, wyciągano. Pierwszy snopek zbieleł i usechł, drugi i trzeci już nie tak był zwiądł; czwarty już zdrowy i świeży wyciągnięto; po tym zrozumiano, że już musiał zdechnąć; więc tam spuszczonego jednego człeka, który go znalazł nieżywego.

* Dołączam tu ciekawy szczegół do wiary średniowiekowej o bazyliškach wzięty z dzieła *Theophili presbyteri et monachi libri III seu diyersarum artium schedula*, które to dzieło odnosi do X lub XI wieku. Powiada on, że poganie w ten sposób tworzą sobie bazylišków: mają oni piwnicę w ziemi wyłożoną całkiem płytami kamiennymi i dwa tylko małeńkie zostawione są okienka. W taki loch sadzają dwa koguty dwunastoletnie, karmiąc je, aż się utuczą; wtenczas te koguty przez gorąco pochodzące z tłustości parzą się między sobą i znoszą jaja. Po czym zabierają koguty, a jaja dają wysiadać ropuchom, z których po czasie wyłazą małe kogutki; po dniach dziesięciu wyrastają im węzowe ogony i gdyby owa piwnica nie była całkiem kamienną, natenczas niechybnie zaryłyby się w ziemię. W podaniach ludu smoki także się z takich jaj kogucich tworzą.

96. Żaba

Nad Prutem mieszkała niewiasta, na którą czarownica z gór nasłała żabę. Żaba ta skakała w jej ślady, skrzecząc ustawicznie. Niewiasta prześladowana, w ciemność nie bita i znająca się na tym, wiedziała, że zabijając żabę, śmierć na siebie, poprzedzoną długą chorobą, sprowadzi. Pochwyciła więc żabę, uwiązała w weretę, co piec zatykają, i zawiesiła w kominie, podkurzając skrzeczącą wiórami ubieranymi z dziewięciu podwórzy, z siedmiu grobów i dróg rozstajnych. Zaledwie nanieciła dymny ogień po północy, przyszła czarownica, prosząc, by ją wpuściła do izby pod pozorem, że chce pożyczyć garczek kapusty, ale odpędzona, razem z żabą usychała i wkrótce po swoim nasłańcu umarła.

97. Lipa

Głupi jeden parobek przywiązał krowę do lipy, a sam poszedł do karczmy; gdy powrócił, nie zastał już krowy; on zaś nie pytając, czy mu ją kto ukradł, czy się sama urwała, ciągle się tylko upominał u lipy, wołając: oddaj mi krowę. Na całą odpowiedź lipa zaczęła skrzypieć: *lypa skryp, lypa skryp*; on zaś głos lipy tłumacząc sobie inaczej, rzekł: *Oho widdasz moji horoszi na Fylyp* (oddasz mi pieniądze na święty Filip) i poszedł sobie. Pamiętając to, przyszedł na święty Filip do owej lipy, a nie widząc pieniędzy ściał ją, aż wtem ze ściętego pnia posypały się pieniądze.

98. Czajka

Był sobie Kozak Jasiuk i miał matkę czarownicę; a był u niej jeden tylko syn Jasiuk, jak każdy jedynak bardzo wielki zabijaka i pijanica, nie trzymał się domu, chodził po wieczornicach, przeto w całej okolicy skarżono się na niego. Matka tylko jedna widziała w nim wszystko dobre; aby jednak wyrwać go złośliwym mowom, zamyśliła syna swego ożenić; powiedziała mu to. On ku wielkiej radości matki zgadzał się ożenić, ale tylko z wybraną przez siebie najpiękniejszą w okolicy dziewczyną. Posłano swaty, lecz dziewczyna odpowiedziała, że nie pierwej wyjdzie za Jasiuka, aż pójdzie na wojnę z Tatarami i przyniesie jej z wojny siedm głów tatarskich i siedmiu żywych przyprowadzi Tatarów. Jasiuk skoro o tym posłyszał, bardzo się rozradował; a chociaż matka płakała wyprawiając jedynaka syna na wojnę, Jasiuk jednak nie zważał na to, zebrał sobie drużynę i poszedł w Krym po dary dla swej lubej. Z początku dobrze poszło Jasiukowi, już siedmiu żywych Tatarów posłał do usług swej panny, już sześć głów miał w sakwach, gdy król tatarski posłyszawszy o rycerzu Jasiuku, który z ogniem i mieczem w kraju jego gości, wyjechał ze swym wojskiem przeciw niemu. Król, obaczywszy małą garstkę Kozaków, posłał tylko jedną część swojego wojska, aby złapać Jasiuka, lecz oddział ten już nie wrócił. Posłał drugi i ten nie wrócił; poszedł na koniec sam z wojskiem i Jasiuka złapał. Kazał go potem związać w worek i w morze wrzucić. Gdy się matka Jasiuka o tym dowiedziała, zmieniła kochankę swego syna w czajkę i kazała jej latać ponad morzem i krzyczeć **kyhyk**, aby tym sposobem za siebie i za matkę opłakała śmierć dzielnego Kozaka Jasiuka.

99. Jaskinia pod Czerczą

Niedaleko Smotrycza jest miasteczko Czerczą; pod Czerczą jar skalisty, w głębi jaru w połowie skały jaskinia. Wchód do niej z kapliczki w skale wykutej, ale tak niski, tak ciasny, że na rękach i nogach trzeba się do jaskini wczołgać. Jaskinia niewielka, niewysoka, jednak osób dwadzieścia stojących w niej pomieścić się może; w kilku miejscach po ścianach otwory do nowych jaskiń prowadzą: wszystkie do siebie podobne, wszystkie kościami ludzkimi wysłane! A lud okoliczny takie o nich zachował podanie:

Tatarzy byli niedaleko; zwiastowała ich złowieszcza łuna pożarów; mieszkańcy uciekali z wiosek, kryli się, gdzie komu łatwiej przyszło. Jedna gromada cała schroniła się do tej jaskini, aby kilka dni trwogi przeczekać, póki nie przejdą Tatarzy. Byli tam starce i dzieci, młodzi i kobiety, było ludzi dwoje... młodzieniec i dziewczyna... Kochali się czule; już po dziewosłębach było; kapłan miał ręce ich stułą powiązać, gdy Tatarzy nadeszli i wszystkich za życia jeden grób pożarł.

„O mój Hryciu — powtarzała czuła Hanka — czemu nas ziemia nie połknęła przed ślubem; dlaczego nie weszłam do tego grobu z nazwiskiem mołodycy i twojej żony! Zła myśl serce mi gryzie; już nie będziesz moim mężem! Może w innej zakochasz się dziewczynie!” I Hanka rzewnymi łzami płakała i targała ciemne warkocze włosów splecione taśmą czerwoną.

A Hryćko smutną narzeczoną pocieszał i lży jej gorącym pocałunkiem osuszał. „Nie płacz, Hanko, nie płacz, czarnobrewa; nadto dobrze przebiłaś mię czarnymi oczkami, nadto dobrze związałaś mię czarnymi warkoczami, abym mógł o tobie zapomnieć, czarownico, a zalecać się do innej. Ale mnie także serce źle szepce; może nie tak prędko z tego grobu wyjdziemy. Słuchaj, Hanko, w nocy, kiedy część młodźców za żywnością wychodzi, pójdę z nimi i księdza Cyryła przyprowadzę. Wiem, gdzie jego kryjówka, on wszystko dla mnie zrobi, i jutro Hanka moją młodycą będzie.”

I tak się stało, jak obiecał Hryćko; przed rankiem kapłan był w jaskini. Ale Hanka jeszcze smutna siedzi; daremnie wybrane družki wesoło krzątają się koło niej i chcą jej ciemne warkocze rozplatać. Hanka je odpycha. „Jakimże wiankiem pokryjecie rozpuszczone włosy młodycy? Gdzie mój barwinek weselny?” Zmieszały się družki i nie wiedzą, co począć. Daremnie ją Hryćko pociesza, daremnie do ślubu wzywa; Hanka nie pójdzie do ślubu bez wieńca z barwinka. I nikogo nie słucha, i wymyka się spomiędzy tłumu, i ciałnym otworem, jak jaszczurka, już wysliznęła się z jaskini. Pędem leci ze wschodów kamiennych i po jarze ponad rzeczulką biegnie; i schyliła się nagle i zerwała duży pęk barwinku, i co tchu pobiegła nazad i na wschody, i tam dopiero obejrzała się lękliwie, czy jej kto nie widział... Tuż na dole Tatarzyn smagławy jedną ręką kiwał na nią, aby do niego zeszła, w drugiej trzymał łuk napięty z strzałą na cięciwie. Biedna dziewczyna krzyknęła z rozpacz; strzała świsnęła tuż koło niej i gdzieś w szczelinie skał utknęła. Hanka rzuciła się do kaplicy i wpełzła do jaskini, i wbiegła z barwinkiem w rękę pośród družek i bez przytomności na ziemię upadła.

W przeciągu dwóch godzin cały hufiec tatarski stanął w jarze i drapał się po wschodach kamiennych i kapliczkę napełniał. Przez otwór po jaskini słychać było gwar wielki; czasem dochodziły dźwięki wyraźne, płacz i narzekanie. A Tatarzyn ten sam, którego strzała biedną Hanke chybiła, kazał przynieść słomy i napchał całą kapliczkę, i zapalił.

I śmiech głośny, śmiech szatański rozlegał się po jarze, a z jaskini odpowiadał jeden wielki okrzyk rozpacz. Dym zjadliwy napełniał jaskinię; Hanka jeszcze bez przytomności leżała, a Hryćko uwieńczył jej głowę uplecionym z barwinku wieńcem. Wtem po raz ostatni otworzyła oczy i po raz ostatni uściskała kochanka... i jęki ustawały powoli, i umilkły zupełnie. Dotąd ich kości w czerczeńskiej jaskini bieleją.

100. Pieczary pod Straczem

W obwodzie lwowskim we wsi Stracz, w połowie góry lasem sosnowym okrytej jest ciasne wnijście do pieczary, o której lud głosi, że ma związek z pieczarami kijowskimi. Powiadają także, że gdy *Preświata Diwa* (Najświętsza] Panna) uciekała przed Tatarami, ziemia sama się jej rozstąpiwszy tę jaskinię utworzyła.

Jest także podanie o dziewczce, która wszedłszy do jednej z tych pieczar po wielkanocnej komunii, błąkała się w niej aż do drugiej bez żadnego pożywienia; a gdy na drugą Wielkanoc wyszła, skoro ją tylko ksiądz pobłogosławił, w proch się rozsypała.

101. *Pieczary w Czarnej Górze*

W bliskości pieczar Czarnej Góry, gdy słońce zajdzie, pokazują się przy miesiącu widma rozbójników, którzy tu mieli swoje niegdyś siedzibę. W milczącym i poważnym orszaku wychodzi dwanaście postaci w bieli, które niosą na barkach otwartą trumnę; a wyszedłszy z nią na szczyt góry, znikają. Są to duchy tych samych zbójców, którzy długi czas rozbijali podróżnych i łupili cerkwie. Niezmierne skarby przechowali oni w tych pieczarach, gdzie są do dziś ukryte; albowiem rzadko kto może namacać drzwi do nich prowadzące, chociaż się często zawarty wchód pokazuje; a widma w postaci pustelników wchodzą do pieczar.

Razu pewnego widział biedny wieśniak, ukryty za złomem skały, jak z wolna przez las przechodził pustelnik, a potem zniknął w ścianie opoki. Wieśniak, który go śledził, dostrzegł, jak się zatrzymał przy małych drzwiczkach, jak zakołatał z cicha i wyrzekł: — Otwórzcie się, drzwiczki!, a drzwi się rozwarły. Na drugi rozkaz: — Zamknijcie się, drzwiczki! — znowu się zamknęły. Drżał góral ze strachu, lecz wchód naznaczył gałęzmi.

Od tego czasu nie miał spokoju, tak pragnął wiedzieć, co się w tych pieczarach znajduje. Pościł więc w sobotę, a w niedzielę poszedł z krzyżem w rękę do naznaczonego miejsca. Stanąwszy przed drzwiczkami, długo trzął się ze strachu i długo przysłuchiwał się; aż wreszcie odwaga przyszła i zakołatał mocno, mówiąc: — Otwórzcie się, drzwiczki! Na to zakłęcie otwarła się pieczara. Wszedł głębiej i zobaczył obszerną jasną izbę. — Zamknijcie się, drzwiczki! — rzekł mimowolnie i drzwi się zamknęły.

Wokoło niego leżała w skrzyniach i w beczkach niezmierna moc złota i srebra, drogich pereł i kamieni. Żegnał się z podziwienią wieśniak, jednak nie mógł się wstrzymać, aby cokolwiek nie wziął, wspomniawszy na żonę i dzieci.

Kiedy tak ładował kieszenie i zabierał się do wyjścia, odezwał się głos gruby z głębi pieczary: — Przyjdź znowu! — Zakręciło mu się w głowie i ledwie miał siłę powiedzieć: — Otwórzcie się, drzwiczki! Otwarły się i wybiegł na dwór uradowany. W domu nic nie powiedział o swojej przygodzie, tylko poszedł do cerkwi i dał część z tych pieniędzy na kościół i ubogich. Za resztę nakupił różnych ubiorów dla dzieci i żony.

Następnej niedzieli poszedł znowu do pieczary, ale śmielszym krokiem. Zrobił to samo, co pierwszej, a głos gruby zawołał: — Przyjdź znowu! — I wieśniak przyszedł na trzecią niedzielę iabrał pieniędzy.

Teraz już sobie był bogatym gospodarzem; lecz cóż miał robić z tak wielkim bogactwem? Już był oddał na cerkiew dwie dziesięciny z tego, co posiadał; a co zostało, chciał zachować w ziemi, aby na każdy przypadek mógł się zapomóc w gospodarstwie. Jednakże przed zakopaniem pieniędzy umyślił je wprzód przemierzyć, poszedł więc pożyczyć ćwierci od sąsiada, wielkiego bogacza, a razem lichwiarza, który robotników krzywdził, sługom nie płacił, a pieniądze na lichwę pożyczał. W onej ćwierci były wielkie szpary, otóż zaroniło się w nie przy mierzeniu kilka małych pieniędzy, których wieśniak nie wytrzął, a które nie utaiły się przed okiem łakomcy. Szukał więc kmięcia w lesie; a gdy go znalazł, zapytał, co by ćwiercią pożyczoną mierzył? — Leśne nasienie i mysiarki (orzeczy) — odpowiedział z zająknieniem. Wstrząsając głową, pokazał mu lichwiarz srebrne pieniądze, to znowu wszystko obiecywał i tak powoli wyłudził tajemnicę o skarbach.

Cały tydzień przemyślał skąpiec nad tym, jakby cały skarb wyprowadzić z pieczary i jak zostać wielkim panem. Pierwszemu wieśniakowi nie było po myśli, że się zawistny jego sąsiad dowiedział o pieczarach, ale już nie było rady, bo groźbami zniewolony dał się namówić, aby z nim do drzwi pieczar poszedł, gdzie miał odbierać wory, które lichwiarz skarbami napelni. Skąpiec obiecywał podzielić się z nim na połowę i także dać na kościół dziesięcinę, lecz w duchu zamierzał poczciwego wieśniaka zgładzić ze świata.

Następnej więc niedzieli wybrali się przed wschodem słońca do pieczar w Czarnej Górze. Dźwigał skąpiec na plecach łopatę, siekierę i mnóstwo worów. Wieśniak napominał go, aby poprzestał tej chciwości; ale on nie dał sobie nic mówić. Już doszli do pieczar, a lichwiarz krzyknął grubym głosem: — Otwórzcie się, drzwiczki! — Drzwi się otwały. — Zamknijcie się, drzwi! — i drzwi się za nim zamknęły. Zaledwie wszedł, a ujrzał beczki i skrzynie z pieniędzmi, zaczął je łakomie i skwapliwie przesypywać w wory. Wtem wyszedł z głębi pieczary wielki chart czarny z błyszczącymi oczyma i położył się na skarbach. Wystraszonemu lichwiarzowi wypadły z rąk worki, a czarny chart pokazał mu zęby i zawył.

— Po coś tu przyszedł, lichwiarzu?

Trwogą śmiertelną przejęty padł na ziemię i rakiem pełzał ku drzwiom, lecz w strachu zapomniał wymówić: — Otwórzcie się, drzwiczki! — i tylko raz w raz powtarzał: — Zawrzyjcie się, drzwiczki! — I drzwi były zamknięte.

Drugi wieśniak, co stał na dworze, czekał nań długo pełen nie- spokojności; wreszcie przystąpił bliżej ku drzwiom. Tu usłyszał głuchy krzyk i jęk pomieszany z wyciem psa; aż wkrótce wszystko ucichło. Właśnie zaczęto dzwonić na służbę Bożą do cerkwi, zmówił *Ojcze nasz* i z lekka zapukał do drzwi, przemówiwszy zwykłe wyrazy, a drzwi się otwały. Jakaż tam okropność! Złego sąsiada ciało leżało krwią zbroczone, a beczki i skrzynie ze złotem i srebrem zapadały się powoli w ziemię przed jego oczyma.

102. Pieczara w Bruśniku

O mil trzy na wschód od Luśławic leży wieś Bruśnik; na jej gruntach znajduje się znacznej długości pieczara. Słynie ona jako skład niezmiernych skarbów, których szatani pilnują. Taka jest z tego powodu powieść o pewnym ślusarzu. Śmiały ten człowiek, a bardzo ubogi, doszedł, że w pewne święta diabli się rozchodzą i zostawiają pieczarę bez żadnej straży. Korzystał więc z pory i udał się do strasznego miejsca; nie zastał w samej rzeczy nikogo z duchów, nabrał więc pieniędzy, ile mu się spodobało, i wrócił szczęśliwie do domu. Pierwsza ta wyprawa zachęciła go do podobnych częstszych i zawsze pomyślnych. Pewnego razu zdarzyło się, iż zabawił na rabunku dłużej, niż wypadało; diabli nadchodzą, łapią go na gorącym uczynku. Nieborak znalazł przynajmniej dość czasu wymknąć się rozgniewanym złym duchom; ale uciekając, tak pospiesznie drzwi za sobą zatrzasnął, że mu piętę ucięły i z tej przyczyny chromał aż do śmierci.

103. Jamy zbójckie

W dolinie Skoruszyny jest skała zwana Czarną Turnią, z dziurą, w której dwunastu zbójników mają zostawione zupełne ubranie; jest tam i świńskie koryto pełne pieniędzy; ale wszystko teraz zażegnane, zakłete i ci ludzie nawet teraz dziury znaleźć nie mogą, którzy widywali, jak zbójnicy po rzemiennej drabinie do niej włązili. Toż samo opowiadają o innej jamie w dolinie Kościeliskiej. Zbójnicy do niej się spuszczały zawsze; mieli tam wszelkie sprzęty i w niej podczas zimy mieszkali; teraz jeszcze są tam zupełne mundury na dwunastu ludzi i niezmiernie skarby, które można wziąć, kto owe jamę wynajdzie, ale do munduru niech się nikt nie zbliża, gdyż na środku leży broń nabita i za dotknięciem sukien zabije.

104. Zbójckie pieniądze

W dolinie Kościeliskiej, najpiękniejszej i upoetyzowanej podaniami, zaraz na wstępie przy piecu wapiennym napotkało dwóch zbójców chłopa: każdy niósł po pół centa (cetnara) pieniędzy i mówili do niego: Bóg ci poszczęścił (i oddawali mu swe pieniądze), uszczęśliwisz siebie, a nas zbawisz. Chłop jednakże bał się przyjmować skarbu, mówiąc: Boję się, bo byście mię wydali — i odszedł. Zbójnicy poszli na górę, pieniądze wzięli i diabłu je oddali i ten ich wartuje. Chłop jednakże pilnie patrzył, gdzie się podzieli zbójnicy. A gdy odeszli, poszedł za nimi w miejsce, gdzie się skryli do góry, jednakże ani jamy, ani skarbów nie znalazł.

105. Jama nad Morskim Okiem

W skale nad Morskim Okiem pod gęstymi zaroślami kosodrzewia jest pieczara, do której jeśli kto ma odwagę wejść, wielkie może znaleźć skarby. Prowadzą tam kręte i ciasne chodniki; na każdym zakręcie trzeba palić światełko, aż się przyjdzie do obszernego miejsca. Tam ukazą się światełka bardzo błyszczące, lecz ich dotknąć nie można, i da się słyszeć głos, który zabrania ruszać skarbów leżących naokoło; aż dopiero dalej, na środku klęczą trzej mnisi, każdemu z nich należy pokłonić się z osobna, a potem brać ze skarbów tyle, co na raz urąbie siekiera; kto by w czym przekroczył, zginie natychmiast.

106. Księgi czarnoksiężskie

Jest między góralami wiara w księgi czarnoksiężskie, mające się znajdować gdzieś na dolinach, za pomocą których można skarby odkrywać. Powiadają, że Janoszczyk, sławny rozbójnik, zostawił takie księgi. W górach pokazuje skałę, z której na przeczytane zaklęcie z księgi wychodzi smok, daje się kulbaczyć i jeździć na sobie. Jakiemuś Niemcowi udało się jeździć na tym smoku, ale go zabił jeden baca, czyli gospodarz.

107. Czechy wędrownie

Wyżej Pięciu Stawów, w górach tatrzańskich leży jezioro zwane Żabiniec, mało dostępne dla skał nadzwyczajnie przykrych i niebezpiecznej po nich drogi. Górale powiadają, że co rok przychodzi do Żabińca siedmiu Czechów, im tylko wiadomymi ścieżkami, że tam dobywają z gór złote rudy i narobiwszy złota wracają do siebie. Nieraz dają się znajdować w tym miejscu pozostałe po nich piecyki i żużle z wytopionego kruszcu.

108. Morskie Oko

Jezioro to podług podania górali tatrzańskich ma być nie do zgłębienia i łączyć się z Morzem Adriatyckim.

Pan jakiś płynąc morzem rozbił się w czasie okropnej burzy; życie jednak uratował, straciwszy wszystkie swoje kosztowności. Długo w smutku pogrążony szukał ponad morskim brzegiem swojej szkatułki, pełnej drogich kamieni, ale nadaremnie. Podróżując po świecie odwiedzał także Tatry i głośnie po wszystkich karpackich krajach Morskie Oko. Płynąc pelcią (tratwą) po tym tajemniczym jeziorze postrzega nagle ową szkatułkę i kawały drzewa okrętowego. Wydobywają to juhasy; była zamknięta, nie naruszona, jak przy rozbiciu, i kosztowności wszystkie zawierała.

109. Skarbnik

Sandomierscy górnicy mówią, iż Skarbnik jest opiekunem Wszystkich kruszców w ziemi polskiej. Nieraz w górniczej kurcie przychodzi on do szybu, ażeby znużonych robotników wyręczyć: wtedy najbliższej stojący podaje mu świecę zapaloną na kilofie; trzeba

bowiem wiedzieć, że górnik bez światła, to niby żeglarz bez gwiazd. Skarbnik dobrze przyjęty łupie za trzech i za trzech szlepuje, odkrywa najobfitsze żyły i najprostszą drogę z szybu do szybu wycina; w przeciwnym razie mści się na winowajcy. Raz go jakiś górnik nie przyjął na nocleg do szałasu; za to go Skarbnik nazajutrz w szybie obłąkał; a wodząc po wszystkich górach polskich najszczerze pokazywał mu kruszce; tam karń srebra leżała obłazgiem, a tam czyste złoto strumieniem się lało. Górnik na samym oglądaniu tych skarbów strawił lat 50, ale mu ten długi czas minął jak jeden dzień. Powrócił wreszcie na ziemię i cuda o tej wędrowce podziemnej opowiadał; chciał nawet przewodników naprowadzić na owe kruszce, nikogo jednakże z dawnych znajomych nie znalazł; wszyscy już byli wymarli; żyjący zaś nie chcieli mu wierzyć, więc dostał pomieszania zmysłów. Ówże Skarbnik zalał Olkusz za karę, że górnicy olkuszczy chcieli Jasną Górę podkopać. Najmilszym mieszkaniem Skarbnika są góry jakieś na Szląsku.

110. Zbójcy

Bardzo już dawno temu zbójcy byli napadli na dwór szlachecki, bojąc się zaś, żeby nie doznali oporu, wzięli rękę trupa, nasmarowali tłuszczem i zapalili cztery palce, także nachuchali w cztery szklanki i przewrócili dnem do góry. Te czary sprawiły, iż czterech szlachty usnęło snem twardym; piąty palec, co nie gorzał, nie dał spać żonie gospodarza. Widziała więc, jak zbójcy weszli, zabierali sprzęty, a żadnego dobudzić się nie mogła. Kiedy wymordowali wszystkich, biednej tej niewieście, ubroczywszy ją we krwi męża i braci, siekiere morderczą w rękę zostawili: a tak schwytna z narzędziem zbrodni, niewinnie śmierć od kata poniosła.

111. Janoszczyk

Najgłośniejszym ze zbójceckich dzieł w Tatrach jest Janoszczyk. Tysiące krąży o nim podań. Jego siła, jego zręczność, jego władza nad istotami nadprzyrodzonymi i ciągły stosunek z nimi przechodzi wszystko, co o jakimkolwiek innym zbójcu opowiadają. Obok tego miał być nadzwyczajnie nabożnym. Podanie niesie, iż spotkał pewnego razu jakiegoś studenta z Podoleńca i zaprosił go do swego szałas. Student ów, w znowie ze zwierzchnością, podjął się go zabić. Wybrał do tego porę o wschodzie słońca, kiedy zwykle Janoszczyk klęczał i modlił się; zaszedł więc z tyłu klęczącemu i strzelił do niego, ale kula cudownym sposobem w bok poszła. Janoszczyk, jakby nie uważał, nie przestawał się modlić. Student poprawił i chybił jak pierwszą rażą; Janoszczyk ciągle się modlił; dopiero kiedy zdrajca po trzecim strzale począł uciekać, Janoszczyk, który właśnie co skończył modlitwę, doznał go i zabił.

Siekiera Janoszczyka cudowne miała przymioty. Ciśniona silną prawicą wracała na powrót do niego na jedno gwizdnienie. Kochanka Janoszczyka zdradzając go, a wiedząc o osobliwych przymiotach jego siekiery, zamknęła ją w dziewięciu skrzyniach dziewięcią

zatkami. Kiedy pojmano Janoszczyka, gwizdnął na siekierkę i zaczęła się wyrąbywać; już zrąbała ośm skrzyń i ośm zamków, ale dziewiątej skrzyni i dziewiątego zamku nie mogła przerąbać, gdyż dziewięć jest liczbą tajemniczą.

112. Kowal z Harklowej

Raz w nocy zajechał przed kowala z Harklowej jakiś powóz sześcią dzikimi końmi zaprzężony, w którym pan ubrany po niemiecku sam się powoził. Widziano, jak ten powóz wyjechał z Dunajca. Ten pan, zawoławszy tedy na kowala, kazał jednemu z koni przybić podkowę, która była ze złota; za co mu darował strzelbę, a sam popędził gościńcem. Odtąd z tego kowala stał się zawołany strzelec, bo nie tylko każdego zwierza zabije, ale nadto strzela zwierzęta i ptaki, jakich nawet i w kraju nie ma.

113. Parobek z Łopuszny

Żył w Łopuszny parobek bardzo przystojny, ale o ile przystojny, o tyle zimny dla dziewcząt. Idąc raz do Harklowej na mszę, ujrzał w potoku łososia; schylił się więc po niego, a schylając się przebił się nożem, który miał za pasem. Rana była tak głęboka, że z niej umarł. Pochowano go, a nóż wrzucono w potok łopuszański. W tym tedy miejscu, gdzie nóż wrzucono, duch parobka ciągle się pokazywał. Obrały się śmiało jakieś dziewczęta, dotrzymały mu placu i dowiedziały się z własnych ust jego, że wtedy uwolniony będzie od pokuty straszenia ludzi, kiedy dziewczęta mszę za jego duszę kupią. Na świadectwo przed innymi ludźmi dał im rutę od własnego kapelusza. Dziewczęta mszę kupiły, a duch nie pokazywał się więcej.

114. Mnich

Na polanie zwanej Centyrz (cmentarz, podobno z czasów wielkiej jakiej wojny lub powietrza) jest pniak wielkiej grubości, spod którego różnymi czasy wychodził mnich, zrazu maleńki, ale zaledwie stanął, wzrostem przeniósł najroślejszego chłopca. Ukazywał się w różnych postaciach, najczęściej w bieli lub kapturze mnisim. Jeżeli o nim mówiono, wnet go i obaczyć można było. Ginał we wodzie; wszedłszy w nią rozpostarł kaptur i płaszcz mniszy nad falą i powoli małał, aż zniknął z oczu.

Był to jakiś pokutujący mnich, który uciekłszy z klasztoru, przez zbójców zabity został. Widywano go przebranego za kobietę w szlacheckim stroju, nic nie mówił, nic złego nikomu nie wyrządził. Ostatni człowiek, który go widział, krzyknął przelękniony: —

Wszelki duch chwali Pana Boga! Na co mnich odpowiedział: — I ja chwałę. To wymówiwszy zniknął i odtąd nie widziano go więcej. Kiedy się jeszcze pokazywał, gdy go kto o co zapytał, nie odpowiadał, tylko kiwnął głową lub ręką.

115. Głowa błakająca się

Na polanie zwanej Kamieniska Jaworzyna zabił watażka zbójców jednego ze swoich podwładnych, a to przez zazdrość za jego zręczność w skakaniu, strzelaniu, szybkości, urodzie i obciął mu głowę; od tego czasu głowa ta z niezmiernie długimi włosami ukazuje się na tej polanie i chociaż ją wezmą i rzuca gdzie daleko w parowy, zawsze na powrót wraca.

116. Diabeł cechujący jawory

W bukowinie łopuszańskiej pod Kluczkami widziano w dzień św. Piotra i Pawła, jak się pokazał diabeł ubrany po niemiecku, jak przeszedł pomiędzy statek i rąbał jawor; później ktokolwiek chciał to drzewo zrąbać, niezawodnie okaleczył się i musiał pracę zaniechać. Niejeden tak napiętnowany jawor znajduje się w górach, dlatego górale bardzo się strzegą, zwłaszcza pierwszych dni po św. Piotrze i Pawle, rąbać takie drzewa.

117. Diabeł we wicherze

Pewien wieśniak widząc, jak nań nachodzi diabli taniec, czyli kręcący się wicher, cisnął weń nowym poświęconym nożem; ujrzał, jak diabeł stał w pokornej postawie, przybity do ziemi nożem, co mu przeszył stopę, i zapytał łagodnie — czego chce od mego? Chłopiek zażądał baryłkę wódki, kilka półciów słoniny i ćwierć talarów.

— Dam ci wszystko, ale wyjmij nóż z nogi.

— Nie — krzyknął gniewny wieśniak — dopóki nie dasz, co chce.

— Idź do domu — odrzekł diabeł — a znajdziesz wszystko. Chłop zajrzał do chaty; patrzy, stoi baryłka wódki, wiszą na całej ścianie półcie słoniny, a talarami w ćwierci bawią się dzieci. Wrócił i uwolnił diabła przybitego do ziemi. Nie na dobre mu to wyszło, bo gdy umierał, stary chrzestny widział w głowach stojącego tegoż diabła, co czatował na duszę wieśniaka, aby ją porwać.

119. Czerwony chłopczyk

Utrzymuje się podanie na Litwie, iż pieniądze w postaci różnego koloru osób chodzą po świecie. I tak: pieniądze złote mają postać człowieka koloru czerwonego; srebrne — białego; miedziane — brunatnego. Ci ludzie, jeśli kogo na drodze spotkają, proszą i usilnie nalegają, aby ich uderzyć w policzek. Lecz nikt nie jest tak śmiałym, by się odważył ich życzeniu dogodzić. Szczęśliwy ten, który nabrawszy męstwa przystąpił do pieniężnego chłopczyka i dotknął się, choć lekko, jego twarzy: gdyż najmniejsza uderzenie czyni ten skutek, iż natychmiast zwierchnia powłoka postaci pęka i pieniądze się rozsypują. Z tego to powstało i przysłowie „czerwony chłopczyk”, co znaczy bogatego.

120. Dar ogniewi

W jednym obejściu mieszkało dwóch gospodarzy. Żona jednego ściśle przestrzegła oddawania ogniewi podarku, to jest: stawienia na noc w piecu małego garnuszka z wodą; gdy druga, zaniedbując to czynić, z przesądu pierwszej naśmiewała się. Jedną razą żona pierwszego wyszła na podwórze i podsłuchiwała takiej rozmowy dwóch ogniewi:

Pierwszy — No, bracie! Ostatnią noc z sobą jesteście; na tamtą bowiem ja swoje obejście zniszczę i gdzie indziej pójdę gospodarzyć; gdyż tu dłużej nie mogę wytrzymać, zeschłem na szczyptę, nigdy ani kropli wody.

Drugi — Jak sobie zechcesz! Tylko mego obejścia nie zaczepiaj, bo ja mam dobrą gospodynię.

Tu nastąpiło krótkie milczenie; przerwał je ogień drugi: — Ale, ale tam na górze twojego obejścia jest złótko (naczynie drewniane do odparzania bielizny) mojej gospodyni, żebyś mi go nie spalił.

I znowu nastąpiło milczenie niczym nie przerwane; a na drugą noc, gdy przestrzegana gospodyni rozgniewanego ognia podarku mu nie postawiła, wszczął się pożar, który całe jej obejście zniszczył; zostało tylko na zgliszczu złótko zupełnie nietknięte, do pierwszej gospodyni należące.

121. Wiatr

Gospodarz na połoninie pokrywał kolibę. A co pokryje, to silny wiatr powieje i łat zerwie. Trwała ta mitrega jakiś czas; aż pobudzony do gniewu gospodarz cisnął nóż przeciw wiatru, zlorzecząc mu; niebawem też wiatr ucichł i gospodarz mógł zacząć pracę dokończyć. Zbywszy się roboty, rozniecił dobry ogień i zaczął wicherzyć warzyć; właśnie było

po zachodzie słońca, kiedy wziął się do jada, aż tu idzie człowiek jakiś niezmiernie pokaleczony, że mu ani oczu, ani twarzy nie widać, i rzecze do gospodarza: — Dobry wieczór. Gospodarz odrzekł: — Daj Boże zdrowie! Siadajcie, jeśli łaska do wieczerzy. Nieznajomy zaś odpowiedział: — Wieczerzaj zdrów — a po niejakiem milczeniu popatrzysz na gospodarza dodał: — Masz szczęście, gdybyś mię był ucziwie nie przyjął, byłbym cię nauczył, jak nożem przeciw wiatru ciskać; widzisz, jakieś mię pokaleczył; na drugi raz strzeż się rzucać nóż przeciw wiatru. To rzekłszy, przepadł.

122. Grad

Gospodarz znachor (czarownik) ze swoją czeladzią gromadził siano. Była pogoda, w południe zaczęły się chmury zbierać; wiatr pociągnął gwałtowny, grzmiało i łyskało się straszliwie. Gospodarz znachor woła czeladź, aby się zwawo zwijała i sam już składa w stogi; a tu chmury się zbiły i ciągle nad nimi grzmi i szumi, krzyżują się błyskawice, a deszczu ani krzty nie pada. Wtem nadjeżdża jakiś pan na białym koniu i prosto jedzie do gospodarza znachora, a kiedy już był blisko, nie podnosząc oczu rzecze doń: — Puszczaj ludzi, bo mi się pomordowali. Gospodarz znachor odpowiedział: — Czemuś nie przyszedł do mnie w goście na kupałę? Ot i za tym słowem znachor odszedł w leszczynę, a za nim pojechał ów pan. Oba coś ze sobą pogadali, lecz nie można było słyszeć. Po niejakiem czasie znachor wrócił z gałązką leszczyny w ręku. Wkrótce silniejszy wichr zawył, chmury lunęły rześistym gradem; a kiedy po chwilce powróciła pogoda, sąsiednia łąka (nieprzyjaciela znachora) była usłana na dwa palce gradem, gdy tymczasem sianożęć znachora pokropił tylko drobny deszczyk.

123. Latawiec

I

Parobek mając latawca, ożenił się i młodą pojął żonę. Żona kochała go, nie będąc kochaną nawzajem; bolała na to, lecz smutek swój sama w sobie kryła. Pewnego razu poszła ze zbożem do młyna, ale we młynie było zawożno, musiała czekać długo; na koniec młynarz ujęty grzecznymi słowy hożej mołodycy pospieszył z mlewem i mołodyca, choć późno w noc, wróciła do domu. Wchodzi do izby, a mąż na łóżku, a przy nim latawiec cudnej urody; oboje całują i pieszczą się, chociaż mąż spał widocznie. Żona nic nie mówiąc, po cichu zdjęła prześcieradło i nakryła oboje, a sama legła na przypiecku. Wtem się schwyli latawiec i rzecze: — Gospodaruj już sama, ja nie będę już ci więcej męża bałamucić. Pocałowawszy kochanka odeszła i nie wróciła nigdy więcej.

II

Jechał sobie po sprawunki wdowiec jakiś w góry, aż pod jedną wsią spotkał góralkę, co się podkasała wyżej kolan; ucieszony podróżny rzecze: — Czy nie poszłabyś do mnie na służbę? Dziewka odpowiedziała: — Ja tam przyjdę do was. Woźnica zaciął konia, a podróżny na śmierć zapomniał o przyrzeczeniu góralki. Porobiwszy swoje sprawunki, późno w noc wraca do domu; wchodzi do izby; każe zapalić świecę i widzi góralkę na pościeli leżącą obok jego parobka; rozgniewany więc, krzyknął: — Ty bezwstydniku! Co obok ciebie robi dziewczka? Parobek na to: — Co się wam dzieje? Przy mnie nie ma nikogo. Pan idzie do świetlicy, dziewczka za nim; kładzie się na łóżku, ona koło niego; żegna się, modli — widziadło nie znika i ściagało go ciągle tak dalece, że w dzień nikogo nie widział, za to wieczór, gdzie tylko się ruszył, ona za nim. W takim ciężkim razie zasięgnął rady bab, kadzono go różnymi ziołami, myto, smarowano, dopiero kiedy się okadził świńskim gnojem, widziadło znikło na zawsze.

124. Łeleki

Jeden bogaty Żyd puścił się w podróż daleką po różne towary. W drodze zajechał w bardzo gęsty bór; a że kłoda na kłodzie leżała i zawałała drogę, poszedł sam naprzód, a za nim jego bryka. Idzie i uszedł jakiś kawał, patrzy, aż tu pod korzeniskami wywróconego świerku coś sieje, a przy tym szmer i śmiechy słychać. Podchodzi bliżej i widzi złoto i srebro, które przesypują śpiewając *Didki-Łeleki*. Kiedy go ujrzeli, rzekł jeden spomiędzy nich: — Powiedz tam twemu słudze, niech sobie przyjdzie po pieniądze, bo się nam już uprzykrzyło jego oczekiwać.

Kupiec wkrótce powrócił do domu; woła swego sługę i powiada mu: — Ja ciebie wybrałem za zięcia i wydaję za ciebie swoje córkę jedynaczkę. — Nie godzi się żartować z ubogiego pachółka — odpowiedział sługa. Na to kupiec: — To, co mówię, szczerą jest prawdą; nie lubię żartować z bliźnich.

Jakoż niebawem odbyło się sute wesele, uczta; a po uczcie woła kupiec swego zięcia i rzecze:

— Zbieraj się, pójdziem za twoimi pieniędzmi. Zięć wpatrzył się zdziwiony w kupca.

— Tylko prędko! Tylko prędko! — naglił kupiec. Jada, jada — zajechali w gęsty bór. Powysiadawszy z wozu, zaszli do korzeniska wywróconego świerku; i *Didki-Łeleki* wieli złoto i srebro jak pierwej. A kiedy obu ujrzeli, jeden spomiędzy nich rzekł: — Tak długo musieliśmy na ciebie czekać! I *Didki-Łeleki* znikli; kupiec z swoim zięciem napakowali brykę pieniędzmi i jeszcze dwa kupili wozy pod cały ten skarb. Otóż tak ubogi Zydek został najbogatszym kupcem w mieście.

125. Dziwożony :

Są to kobiety nadprzyrodzone, złośliwe, mają włos bardzo długi, rozpuszczony i prosty; piersi ich są tak wielkie, że je zamiast pralników używają, piorąc swoją bieliznę. Na głowie dla stroju noszą czerwoną czapczkę, za pożywienie im służy ziele, tak zwane słodyczka. Najwięcej cierpią od nich położnice. Dziwożony” szpiegują takie kobiety, a upatrzwszy porę, kradną nowo narodzone dziecko, a swoje na miejscu skradzionego zostawiają, które są zwykle szpetne, garbate i koszlawe. Mają wszakże i one macierzyńskie uczucie, jak się to pokazuje ze sposobu odbierania im ukradzionych niemowląt. Podrzucone dziecię wynoszą zwykle na śmietnik, gdzie smagają je różgą, napawają wodą ze skorupki jaja i wołają: — Odbierz swoje, oddaj moje. — Dziwożona litując się nad cierpieniem swego dziecka oddaje ukradzione, a swoje zabiera. Porywają niekiedy i dorosłe dziewczęta. Następujące o tym krąży podanie:

Zniknęła w Łopusznej młoda i ładna dziewczyna, gdzie i jakim sposobem? — nikt nie wiedział. Długo o niej nic słyhać nie było. Pewnego razu góral, zaprowadzony jakąś potrzebą w głębie gór łopuszańskich, ujrzał w największej gęstwi dziewczynę piorącą. Zbliżył się do niej i poznał, że to była ta sama, o którą się cała wieś troszczyła. Ta poznała go wzajemnie i opowiedziała, że ją dziwożony porwały, zaklinając go, aby ją od nich uwolnił. Naradzono się względem sposobu i stanęło na tym, że w dzień umówiony, kiedy ona znowu prac przyjdzie, góral wyjedzie konno i porwie dziewczynę. Góral dotrzymał słowa; wyjechał, uchwycił dziewczę i, co koń wyskoczył, uwoził do domu. Postrzegły to dziwożony i puściły się takim pędem, że już go dognać miały, kiedy góral szczęściem wypadł na łąkę, gdzie obficie rosły kwiatki, dzwonekami zwane. Dziewczyna krzyknęła: — Trzymaj się dzwonek! Góral ciągle kierował konia pomiędzy dzwonekami, których dziwożony przez jakąś tajemniczą własność tych kwiatków przebywać nie mogły; a on tymczasem, gdy dziwożony kołowały, prostą drogą do wsi dostał się.

Jeszcze inna krąży o nich powiastka:

Góral złapał dziwożoną w swojej rzepie, ale ta mu uciekła, czapczkę tylko swoje w jego rękach zostawiwszy. Nieboga co wieczór przybiegała pod jego okno i śpiewała żalostnie:

Chłopczku, chłopczku, wróć moje czapczkę,
Nie będę ja chodzić na twoją rzepeczkę.

I poty narzekała, aż on zlitowawszy się oddał jej czerwoną czapczkę.

W jaskini leżącej nad rzeką łopuszańską pod Małą Górą jest główne siedlisko dziwożon.

126. Topielec

Macocha wypędziła z domu piękną i dobrą Marysię, ale sierotę Bóg nie opuścił, bo niebawem znalazła bardzo poczciwego i bogatego pana i poszła za niego. Nie pamiętając wyrządzonej sobie krzywdy, zaprosiła swoją macochę wraz z jej córką na chrzciny. Ale cóż się robi? Oto złośnice te, widząc, w jakim szczęściu Marysia i jak ją mąż kocha szalenie, z zazdrości utopiły ją w jeziorze; macocha zaś posiadając czarnoksięskie sztuki przemieniła własną swą córkę w żonę tego pana. Mąż jej nie poznał, ale poznało nowo narodzone dziecko i żadną miarą nie chciało przyjmować piersi. Trzeba więc było chodzić z nim ponad wodę i śpiewać:

Marysiu! rysiu!
Śliwon płacze,
Piersi chce.

Wtenczas wychodziła matka i łzami zalewając się karmi to dziecko. Dostrzeżono to i występłą matkę z córką wskazano na rozszarpanie bronami. — Pożałujecie tego! — zawołała czarownica prowadzona na męczarnie. Jakoż lubo sługa co dzień nad wodę przynosił dziecko, mimo wszelkie przyzywania i płacze, nie okazywała się matka; albowiem czarownica poniosła z sobą do grobu tajemnicę zaklęcia utopionej. Ojciec stroskany sam rzucił syna w wodę; a odtąd każdej nocy słyhać nad jeziorem płacz dziecinny i tklivy śpiew matki.

127. Dobrochoczy

Przemieszkuje na Białorusi bożek leśny zwany Dobrochoczy. Wzrost jego zależy od wysokości drzew, koło których przechodzi; widziano go bowiem zawsze równego z drzewem, przy którym stał. Nie za złego ducha, ale raczej za sprawiedliwego sędziego jest poczytywany. Opiekun poczciwych, surowo karze występnych. Na wykraczających zsyła najdotkliwsze choroby; wszakże go zawsze przebłagać można; dość na to chleba okrajca i szczypty soli w czystą szmatkę zawiniętej. Kto się tego podejmuje, idzie do lasu z osobą cierpiącą, odprawiwszy modły nad owym podarkiem zostawia to w borze wraz z chorobą i słaby — zdrowym powraca do domu.

Wiedzieć jeszcze należy, iż kto pierwszy wstąpi w ślad Dobrochoczego, zaraz się obłąka w lesie i wieczorem zaledwie powrócić może do domu.

128. Miawki

Boginki te przykrząc sobie w górnych przestworzach, zamieszkanymi przez dawnych bogów, każdorocznie zbiegają na ziemię, w porze kiedy zboża zaczynają wysypywać kłosy, a tym samym bezpieczne im zapewniają schronienie; są to dziewice zachwycającej urody, żywe, wesołe — mimo to okrutne. Na osoby młode, zabłąkane pośród łąnów kłosiszych, napadają, pochwyconą ofiarę przez różne sztuki wprowadzają w dobry humor, a potem łaskotaniem zmuszają do na j gwałtowniejszego śmiechu, póki życia nie skończy. Krwią takiej ofiary karmią się i różne złości czynią ludziom.

Podług podania miały one główne siedlisko na górze Ihrowiszczu; był tam staw przeczystej wody, w którym lubiły się kąpać, tyły i ogrody pełne pięknych kwiatów i owoców.

Zdarzyło się, iż na swej górze spotkały pasterza grającego sobie na skrzypcach; oskoczyły go, zawiodły korowód i nie chciały go więcej z swego koła wypuścić. Długo, bardzo długo szukał go brat stroskany, aż wreszcie ujrawszy stojącego w kole miawek, napiął łuk i strzałę na nie wypuścił. Tym sposobem uwolnił brata od zaklętego tańca, ale rozgniewane miawki przeniosły się na Czarną Górę w Turezczyźnie, a z nimi błogość i urodzaj gór ruskich.

129. Wodnice (Wandinini)

Gmin litewski utrzymuje, że gdy słońce zajdzie, przy blasku księżyca wodnice wypływają z topieli, wychodzą na brzegi, śpiewają i skaczą po łąkach, wtedy ich oczy błyszczą jak gwiazdy, a rozwiane po ramionach włosy brzęczą i dzwonią jakby daleka muzyka; tym szelestem wodnice usypiają ludzi, aby ich płasów i zabaw dostrzec nie mogli. Kto by jednakże wówczas miał przy sobie kwiat paproci, muzyka duchów nie wywarłaby na niego swojego skutku, a wodnice stałyby się jego niewolnicami i musiałyby łowić ryby, polować ptastwa wodne i w susze skraplać pola swojego pana.

Często także w postaci pięknych dziewczyn wodnice bawią nad krynicami i strumieniami i nieświadomych myśliwców zwabiwszy pięknym obliczem, porywają ze sobą w głucho lasy na dno jezior i stawów.

130. Dżuma

Kiedy dżuma grasuje, całe wsie stoją pustkami, koguty wszystkie ochryplą i żaden nie zapieje; psy nawet zaszczekać nie mogą; lecz czują z daleka zbliżające się widmo, wtedy warczą na nie, a dżuma drażnić je najbardziej lubi.

Spał parobek na wysokim brogu siana, a przy nim stała drabina. Noc była widna: nagle jakby niesiona wiatrem powstaje wrzawa, w której wyraźnie odróżnić można warczenie psów i skowyczenie.

Powstał parobek na nogi i widzi z przestachem, jak pędzi prosto wysoka niewieścia postać cała w bieli z rozczochranym włosiem, a psy za nią. Ale na jej drodze stał długi płot i wysoki; niewiasta jednym go skokiem przesadza, na drabinę wskakuje, a bezpieczna tym schronieniem ciągle psom nadstawia nogę, a drażniąc zajadłą gromadę ustawnie woła: — Na goga, noga! Na goga, noga! Parobek poznał od razu straszliwą dżumę; podchodzi z cicha i obala drabinę. Wysoka niewiasta spada, psy ją porywają. Pogroziła mu zemstą i znikła. Młody wieśniak nie umarł, ale przez całe życie nadstawiał nogę i nic innego przemówić nie mógł, jeno wyrazy niewiasty: — Na goga, noga! Na goga, noga!

131. Pomorek na bydło

Za dawnych czasów Żydzi byli przenajęli białogłowe chrześcijańską, aby im mleka chrześcijańskiego sprzedała, czego ona, gdy się mężowi swemu po długim namyśleniu zwierzyła, za poradą jego sprzedała im krowiego. To mleko wzięli Żydzi z radością, a chłopca sobie najawszy do szubienicy poszli i tam czary i zabobony swoje odprawiwszy, kazali to mleko złodziejowi wiszącemu w ucho lać, nachyliwszy ucha do ucha wisielca onego, a pytając go, co by słyszał? Gdy odpowiedział, że słyszy ryk bydła, zasmuciwszy się, odeszli do onej białogłowy łajac jej, iż ich oszukała. Otóż zatem nastąpił on mór gwałtowny bydła, dotychczas jeszcze po wszystkiej Polsce nie uspokojony, a ten na nas, Polaków, przypaść miał, gdyby była ona białogłowa swego mleka im sprzedała.

132. Morowa dziewczica

We wsi jednej na Litwie zjawiała się morowa dziewczica i według zwyczaju przez drzwi lub okno wsuwając rękę i powiewając czerwoną chustką rozwiewała śmierć po domach. Mieszkance zamykali sio warownie, ale głód i inne potrzeby wkrótce zmusiły do zaniedbania takowych środków ostrożności; wszyscy więc czekali śmierci.

Pewien szlachcic, lubo dostatecznie opatrzonej w żywność i mogący najdłużej wytrzymać to dziwne oblężenie, postanowił jednak poświęcić się dla dobra bliźnich: wziął szablę Zygmuntofską, na której było imię „Jezus”, imię „Maria”, i tak uzbrojony otworzył okno do domu. Szlachcic jednym zamachem uciął straszycę rękę i chustkę zdobył. Umarł wprawdzie i cała jego rodzina wymarła, ale odtąd nigdy we wsi nie znano morowego powietrza. Chustka owa miała być zachowaną w kościele jakiegoś miasteczka.

Powiadają także, że powietrze w postaci niewiasty w białej szaty przybranej na wysokim wozie o dwóch kołach objeżdżało wszystkie sioła. A gdy przed który dom przybyła, pokazując zapytywała. — Co robicie? Gdy odpowiadano: — Nic nie robimy, tylko Boga chwalimy — ponurym dodawała głosem — Chwalcież go na wieki — i w tym domu zaraza nie panowała. Gdy wieczorem gdzie przybyła, a na zapytanie: — Czy śpicie?, odpowiadano: — Śpimy. Wtedy rzekła: — Śpicież na wieki! — i całe wymierało domostwo.

133. Miłostaw zabezpieczony od morowego powietrza

Za dawnych czasów, kiedy morowe powietrze sprzątało w Wielkopolsce tysiącami ludzi i już ta plaga zbliżała się do Miłostawia, znalazł się jakiś pobożny starzec, który poradził oborać miasto i wieś przyległą, Kemblów, pługiem ciągnionym przez dwoje ciołków, które krowa na raz urodziła, a poganianym przez dwóch parobków, także bliźniąt. Skoro to się stało, morowe powietrze, choć naokoło sprzątało ludzi, do Miłostawia nie przyszło i nigdy go nie nawiedzi.

134. Zemsta czarownicy

Pewna gospodyni była czarownicą. Parobek służący u niej wiedząc o tym, a przy tym ciekawy, jakim sposobem czarownica leci na Łysą Górę, we czwartek położył się na ławie przy kominie, udając chorego. Czarownica sądząc, że parobek śpi, wysmarowawszy się maścią, dosiada na pomiotło i wylatuje kominem! Widział to, a chcąc doświadczyć prawdy, zostawioną maścią wysmarował żarna, które natychmiast wyleciały też samą drogą; nie przestając na tym, posmarował ciełę, lecz i to z wielkim zadziwieniem jego wyleciało za żarnami. Już teraz dostatecznie przekonany, wysmarował się cały i wsiadłszy na łopate, wyleciał kominem i stanął na szczycie Łysej Góry. Widział tam swoją panią przy hucznej biesiadzie, jak z innymi czarownicami i diabłami zajadała i piła, a po skończonej uczcie, jak w pierwszej parze hasała czartowskiego obertasa. Spozstrzegła go nawzajem czarownica, a rozgniewana zdradą i podejściem parobka, zaczarowała go, uspiła i palając żądzą zemsty, zaniósła do jednej piwnicy w Gdańsku, gdzie właśnie tejże nocy złodzieje wykradli bogaty skład wina. Wkrótce schwytano śpiącego parobka, a mniemając, że on był

sprawcą kradzieży, osądzono na szubienicę, pomimo zaklinania, że jest niewinny. Wyprowadzono go na plac kaźni i już stryczek na szyję mu założono, kiedy parobek przypomniał sobie, że ma jeszcze w kieszeni trochę maści czarownicy, posmarował się zatem, a w tejże chwili porwany pędem wiru powrócił do domu szczęśliwie i opowiedział swoje zdarzenie.

135. Kochanka sprowadzona czarami

Wiejski parobek rozkochał się w kowalczance, ale ta o innym myśląc, trapiła biednego chłopaka. Nadaremnie kupował jej pierścienie, wstążki i chustki. Paraska przyjmowała dary, lecz potem śmiała się z niego. Nie mogąc znieść już dłużej, Kiryłło (tak się zwał on parobek) udał się do czarownicy, mieszkającej o dwie mile; ta kazała mu wystarać się o kosmyk włosów i kawałek płótna z koszuli Paraski. Dopełnił zlecenia, a czarownica poleciła, ażeby o północy przyszedł. Stawił się w oznaczonym czasie parobek, noc była cicha i widna, bo miesiąc jasno przyświecał. Czarownica rozpalwszy ogień spory na kominie, zaczęła kadzić dokoła izbę jaki- miś ziołami, a potem wzięwszy otrzymany kosmyk włosów i kawałek płótna z koszuli Paraski, nad dymem z tych ziół trzymając i jakieś niezrozumiałe szepty odprawując, tak w ostatku zawołała:

— Przybądź, Parasko! Zaklinam cię w imię tego, co mocen jest mnie i każdego, i ciebie z ziemi do piekła zaraz przenieść na wietrze! Przybądź! — i okazał się, choćby w postaci konającej lub nagiej, jako cię matka na ten świat porodziła!

Na te obrzędy i wykrzyki drżał parobczak, odwrócił oczy od kolumna i zaczął się modlić w cichości, ale w tej chwili czarownica wykrzyknęła: — Już jest! — Kiryłło słysząc poprzednio świst wichru i wrzaski, jakby podziemne, spojrzął we drzwi, które z trzaskiem na ścieżaj rozwarły się, a Paraska wybladła, spocona, z oczami konającej i ściętymi usty tocząc białą pianę, w jednej koszuli stanęła na progu. Robiła silnie piersiami, jakby ze zmęczenia lub mocnych boleści. Czarownica porwawszy zioła, zaczęła nimi okurzać Paraskę, a potem siłą roztworzywszy ścięte zęby wlała jakiegoś napoju kilka kropel w usta, ucięła kosmyk włosów z warkocza i na nowo okurzając ziołem, zaczęła szepty odprawiać.

Wkrótce znikło widziadło, czarownica oddając mu włosy odcięte: — Bądź spokojny — rzekła — idź i nie mów nikomu, żeś tu był u mnie; Paraska kochać cię będzie.

Wsiadł na konia parobczak i wrócił do wsi nad samym świtem. Stało się podług wróżby czarownicy, bo kowalczanka zaraz oddała mu swoją rękę; lecz niedługo szczęśliwie żyli. Kiryłło porzucił ją we dwa lata, oskarżył czarownicę, wyznał wszystko pod przysięgą, a babę spalono przed dworem.

136. Bojaźliwy rycerz

W zamku na środku Wisły mieszkał rycerz zawołanego męstwa, co wiele bitew wygrał. Czarownica, chcąc się na nim za coś zemścić, wyjęła mu serce, a natomiast włożyła zajęcze. Pogany oblegli zamek, a rycerz, co zawsze szedł na czele swych znaków, schował się jak podły tchórz w najgłębszym lochu swego zamczyska. Dworzanie dziwili się wielce, co za powód był tej bojaźni. Po dwóch dniach trwogi, zawstydzony, drżący i potem oblany wsiadł na koń i zrobił wycieczkę na oblegających, lecz choć jego żołnierze pobili pogan, on pierwszy z pola uciekł. Dworzanie i rycerstwo szydziło z bojaźliwego pana, bo go odtąd najmniejszy hałas straszyl. Raz przez otwarte okno wpadła jaskółka i skrzydłami uderzyła go w czoło, a on upadł jakby kamieniem ugodzony i wkrótce umarł z przestachu. W kilka lat potem czarownicę, co mu wyjęła chobre serce, palono; na mękach wyznała wszystko, wtedy każdy żałował zmarłego pana, któremu serce zajęcze wstyd i hańbę przyniosło, a wrychle i zgon przyspieszyło.

137. Urocze oczy

W powiecie łosickim we wsi Świniarzew był wieśniak, zwany Hryć Gereńła. Miał on złe i urocze oczy; na co tylko spojrzal, zaraz się nie darzyło; ludziom i zwierzętom spojrzeniem swoim śmierć niósł i chorobę. Starzec sam w to wierzył, że urodził się z tak nieszczęśliwymi oczyma. Wieśniacy mieli wszelako skuteczne przeciw niemu lekarstwo. Skoro go bowiem który zobaczył, przemawiał następną formułę:

Sól, peczyna,*
Z lichymi oczyma.

I to od uroku broniło. I on starzec' uroczy zapewniał, że jak spojrzy w nieszczęśliwej godzinie na drzewo, to niechybnie uschnie: gdyby jednak zawsze pamiętał tę formułę i w chwili, na co się tylko zapatruje, odmawiał, nigdy by oczy jego szkodliwymi nie były.

* Peczyna — glina przepalana w piecu.

138. Charko Makohonik

Był na Zaporozżu młody Kozak, co się nazywał Charko, syn także Kozaka nazwiskiem Makohona. Charko znany był między swymi z odwagi, a po futorach zamieszkanych od kozaczych żon i rodzin — z urody, znajomości rozlicznych pieśni; i w futorach właśnie, gdzie były młode Kozaczki i dziewczęta, Charko był zawsze upragnionym gościem; lecz między nimi była jedna najurodziwsza czarnobrewa, którą kochał Charko i był także kochany całym sercem młodej ukraińskiej dziewczicy. A na Ukrainie, jak powiadają starzy ludzie, co to byli i w Krymie, i w Rzymie, i w babińskich karczmach, co się napatrzyli różnych rzeczy na białym świecie, nie tak kochają się młode dziewczęta, jak w Polsce albo w Moskwie; to, co tam udają za kochanie, to w Ukrainie nie byłoby małym przywiązaniem, i tak być musi, gdyż serca ukraińskich dziewczic nie kochają nikogo ani dla złota, ani dla niczego, tylko dla samej potrzeby kochać i być kochaną. Otóż tedy takim kochaniem Charko był lubiony, ale Charko był Kozak rejestrowy i nie zawsze mógł robić, co chciał. Rzadko więc bywał u swojej kochanki, lecz wtenczas kiedy bywał, był z radością przyjmowany od niej i jej matki; najbielsze kołaczki, najtłuściejsze knysze, pierogi i pieczone kury zastawiano przed niego, a on podjadłszy i podpiwszy śpiewał swej lubej rozmaite pieśni lub wycinał z nią różne hołubce. Tak było długo, gdy raz w późnej godzinie Charko przyjechał do swej miłej, przywiązał konia do płotu, a sam wszedł do izby; był czegoś niewesoły; darmo go po dawnemu przyjmowano, jadł i pił, lecz był niewesoły. Darma kochanka go przyjmowała wejrzeniem, darzyła go słodkim uśmiechem i białą dłoń zostawiała na długo w szorstkim jego ręku, on na to wszystko okazywał współczucie, lecz był jeszcze nieweselszy. Na koniec blisko północy powstał zza stołu i żegnając swą lubą powiedział: że nie prędko wróci, gdyż pójdzie w Kozakami na wojnę. Dziewczę wieść tę przyjęło z uśmiechem, nie bez wzruszenia jednak; prosiła go, aby jej z wojny poprzywoził dary i aby o niej nie zapomniął. Wszystkie te prośby kochanki przyrzekał Charko spełnić i powątpiewanie z jej strony rozpędził taką przysięgą: *Szczob ja sim lit wowkułakom stawisia, koły myszlu tobi zdradu*. Powiadają, że gdy to wymówił, ktoś się pod oknem chaty roześmiał; była to wiedma, czyli satana, i koń Charka od niej nastraszoney zarżał. W kilka dni potem Charko już był na wojnie.

Nadchodziła jesień; Zaporozcy wrócili z wyprawy, lecz Charko z nimi nie wrócił i gdzie się podział, nikt o nim nie wiedział. Zasmucona dziewczica daremnie rozpytywała powracających z wyprawy Kozaków. Płakała dnie i noce, lecz daremnie płakała. Oczy wypatrzyła po drożynach i ścieżkach wijących się po dolinie i pagórkach futorowi przyległych. Charka nie było, nie wracał. Przeszły jesień, zima, wiosna i lato, i znów jesień, zima, wiosna i lato, a o Charku ani wieści.

Wtem dziewczę dowiaduje się, że w sąsiednim futorze jest wróżka, od niej więc postanowiła dowiedzieć się o losie swego miłego. Jakoż pewnego razu o świcie, gdy matka jeszcze spała, pobiegła do wróżki, zaniósła podarek i powiedziała: — Powiedz mi, wróżko, czy Kozak Charko, brat mój, żyje jeszcze? A jeśli żyje, czemu nie wraca?

Wróżka rzuciła fasolę na sito, rozgarnęła na kupki, brała potem z każdej po jednej fasolce, potem znowu mieszała, znowu dzieliła, znowu zbierała i tak aż do trzech razy, potem rzekła: — Charko Kozak tobie ani brat, ani swat, a tylko twój kochanek. On żyje w dalekiej stąd krainie, przestań go kochać, bo on o tobie zapomniął przy białolicej Laszce. Dziewczyna, na te słowa ręce załamawszy, zawołała z płaczem: — Kochana wróżko, a nie można by go stamtąd sprowadzić? — Można — odrzekła wróżka — przyjdź jeno jutro

tak rano, jak dzisiaj do tej opuszczonej chaty, co tam za futorem stoi na pół rozwalona; a jeszcze jutro Charko będzie przy tobie.

Stało się, jak wróżka kazała. Wnet po północy dziewczyna już była na oznaczonym miejscu, lecz czarownica (taką bowiem była owa wróżka) nie dała się uprzedzić, już ją dziewczyna zastała siedzącą przy ognisku nad garnkiem wrzących ziół, szepczącą tajemnicze słowa. Gdy weszła dziewczyna, czarownica powiedziała:

— W sam czas, moja droga, przychodzisz, twój Charko już się wybiera w podróż, teraz już go nudzi, on tęskni, a za chwilę będzie w drodze. Jakże chcesz, czy mieć go żywcem, czy żeby choć cząstkę mieć jego na znak? Bo gdy żywcem, to go puszcę górą nad lasy i góry, a gdy o znak tylko chodzi, że nie żyje, to go puszcę niżej, aby się rozbił o lasy i góry.

— Niech żywy wróci — odrzekła dziewczyna.

Czarownica z pęku kwiatów wydobyła jakiś suchy badylek i kładąc go pionowo we wrzący garnek coś sobie szeptała; dziewczę blade i drżące siedziało na progu chaty; niebawem dało się słyszeć wołanie: Pić, pić, pić, ach wody! Gdy głos ten stał się wyraźnym tak, że z niego można było miarkować, iż jest wprost nad chatą, czarownica szeptać przestała; wyjęła z wolna z garnka badylek; ogień zgasła, a dziewczyna już uwiesiła się na ramionach Charka, lecz młodzieniec stał jak martwy zimny, blady, drżący, odpychał jednak swą kochankę wymawiając te słowa: — Precz, czarownico! Dziewczyna zrazu go przeproszała, ogrzewała mu ręce i lica całunkami, on zawsze mówił: — Puść mię, czarownico!

W rozpacz dziewczę przeklinało niewiernego, wyrzucało mu zdradę, jęczała, płakała; Charko z pogardą na wszystko odpowiadał: — Przeklęta czarownico! — Żal wreszcie przebrał miarę; dziewczyna prosi starej czarownicy, aby niewiernego zmienić w wilkołaka. Stara daje jej zaklęty sznurek. Wówczas dziewczyna raz jeszcze ponawia swe prośby i groźby, a gdy te nic nic pomagają, dany sobie sznurek zawiązuje na szyi Kozakowi i wnet znikł człowiek, a dziewczynę rozdzierało rozjuszony wilczysko. Stara czarownica zemknęła na kociubie kominem.

Mówiono potem w sąsiednich futorach, że tego dnia okropnie wył wilk około pustki, gdzie znaleziono rozdarte ciało dziewczyny, był to jej pogrzeb. Wycie to powtarzało się każdy wieczór i rano, a w całej okolicy zaczęto mówić o szkodliwym wilkołaku, który porywa i zabija, oprócz dobytku, dzieci i dziewczęta.

Jedną razą w siedm lat po tym zdarzeniu przyszedł do kosza zaporoskiego człowiek mianujący siebie Kozakiem Charkiem Makohonikiem; był obdarty, zmieniony, wynędzniały. Wtem koledzy go poznali i gdzie by był i co porabiał — pytali. On im opowiedział wszystko, jak było, i tym kończył, że wczoraj dopiero, kiedy wilkołakiem jeszcze przedzierał się przez tarniny, sznurek mu na szyi rozerwał się i on znowu został człowiekiem.

139. Zaklęte wesele

W województwie podlaskim, we wsi Chłopkowie niedaleko Łosic, w czasie obrzędu weselnego przyszła rozniewana czarownica w chęci zemśczenia się i przemienienia nowożeńców w wilkołaki. Jakoż pas, którym się w stanie przewiązywała, skręciwszy, pod próg domu podłożyła i nadto kręciła łyka z lipiny i warzyła, i tą wodą ludzi podlała. Skoro nowożeńcy z drużyną weselną przeszli próg domowy, pan młody z kniahinią i sześciami drużbami przemienieni w wilkołaki uciekli z chaty i trzy lata wilkami byli. Przez cały ten czas podbiegali pod mieszkanie czarownicy wyjąć przeraźliwie.

Gdy nadszedł dzień mający być końcem ich ciężkiej pokuty, zgromadzeni przed progiem złej baby wyli żałośnie; czarownica wyszła z izby z kozuchem wełną na wierzch obróconym i każdego nim z osobna okrywając, przy wymawianiu zaklęć tajemnych, przywracała nazad do postaci człowieczej. Lecz że panu młodemu nie okryła kozuchem ogona, chociaż wrócił do ludzkiej postaci, ogon mu wilczy pozostał; aż w dni kilka czarownica tymże sposobem uwolniła go od tej zbytecznej ozdoby.

140. Porwana dziewczyna

W uroczystości dożynek grała muzyka nad brzegiem Wisły, a parobcy i dziewczki skoczny zawiedli taniec. Wtem krzyk przeraźliwy zagłuszył muzykę i śpiewy; poskoczono w stronę, skąd krzyki powstały i ujrzano, jak wilkołak unosił w paszczy najpiękniejszą dziewczkę. Rzucili się za nim parobcy, ale potwór, złożywszy porwaną, zuchwale stanął do obrony. Przestraszeni i bezbronni, nie wiedzieli, co czynić, i stali jak wryci, a tymczasem wilkołak porwał swą zdobycz i w największym pędzie uciekł do lasu.

Lat pięćdziesiąt upłynęło od tej przygody, gdy na tymże miejscu bawiąc się młodzież spostrzegła siwizną okrytego starca. Zaproszony do zabawy usiadł w milczeniu i wychylił kubek wódki, który mu podano. Równy mu wiekiem jeden z gospodarzy powitał nieznanomego i wszedł z nim w rozmowę, a po krótkiej chwili wpatrując się w niego zawołał: — Tyżeś to, mój bracie! — poznał w nim bowiem starszego brata, który gdzieś się podział przed pięćdziesiąt laty. Dopiero ów starzec opowiedział, jak zmieniony przez czarownicę w wilka porwał swoją kochankę na tym samym miejscu podczas dożynek, jak żył z nią cały rok i jak mu potem umarła.

— Odtąd — mówił dalej — rzucałem się na wszystkich i pożerałem. Lat cztery, jak się błąkam w postaci człowieczej, chciałem was jeszcze zobaczyć, bo teraz — och uciekajcie! znowu mam zostać wilkołakiem.

Ledwo domówił, gdy zmieniony w wilka zawył przeraźliwie i znikł na zawsze w pobliskim lesie.

141. Parobek wilkołakiem

Czarownica, rozkochawszy się w młodym parobku, daremnie chciała pozyskać jego wzajemność, na koniec rozgniewana ta wzdargą zaprzysięła mu zemstę. Jakoż spotkawszy go jadącego do boru po drzewo, zapowiedziała mu, iż za pierwszym cięciem siekiery zamieni się w wilkołaka.

Nie zważał zrazu parobek na te groźby, lecz skoro przybył do lasu, a cięciem silnym rąbnął w drzewo, siekiera wypadła mu z ręki. Przestraszony tym zdarzeniem, spojrzy i widzi, że ręce jego zmieniły się w wilcze łapy. Bezprzytomny zaczął biegać po lesie, ci natrafiwszy zdrojowisko przejrzał się i postrzegł, że cały zmienił się w wilka. Pospieszył do swoich wołów, ale te przestraszone uciekają od pana. Chciał je zatrzymać znajomym głosem, lecz zamiast głosu ludzkiego zawył przeraźliwie. Widząc tedy, jak się sprawdziły pogrożki pogardzonej czarownicy, nie mogąc mimo przemiany w wilka oderwać się od strzechy rodzinnej, błąkał się po okolicy. Nadaremnie usiłował przyzwyczaić się do surowego mięsa, nie mógł tego przemóc na sobie, a tym bardziej nie mógł się żywić ludzkim ciałem. Dlatego zaczął straszyć pasterzy i żniwiarzy, którym wyjadał chleb, mleko i inne potrawy.

Lat kilka przebywszy uczuł do snu pociąg nadzwyczajny, położył się więc i zasnął. Ale jakież jego zdziwienie, kiedy po obudzeniu ujrzał się w postaci człowieka.

Uradowany z swego odczarowania, jak stał nagi, tak leciał do swego sioła; ale krótka była jego pociecha, bo w domu rodzice już pomarli, dziewczyna, którą kochał, poszła za innego i miała czworo dzieci; a przyjaciele dawni pomarli, drudzy w świat poszli.

142. Niewierna żona

Pewien gospodarz, który przez lat siedm był wilkołakiem, odpokutowawszy swój czas, przemieniony został na powrót w człowieka. Spiesząc co tchu przez cały dzień do domu, gdzie był zostawił żonę i kilkoro dzieci, już dobrze pod wieczór przybył i zaczął stukać do drzwi zamkniętych.

— Kto tam? — zapytano z chaty. Gospodarz poznawszy głos swej żony odpowiedział: — To ja, twój mąż!

— Wszelki duch chwali Pana Boga! Mężu! Wstawajcie — zawołała wystraszona niewiasta — a gospodarz ujrzał przed sobą swego dawnego parobka, który się z jego żoną ożenił, a teraz wybiegł z widłami odpędzić złego ducha. Oburzony tym gospodarz wykrzyknął z rozpaczą: — O czemuż nie jestem wilkołakiem, żebym ukarał niewierną i nieczułą mego nieszczęścia!

Stało się zadość jego życzeniu, bo na powrót przemieniony w wilka z wściekłością rzucił się na żonę karmiącą dziecko z drugiego małżeństwa i pokaleczył ją śmiertelnie.

Na jęki nieszczęśliwej niewiasty zlecieli się sąsiedzi i uderzyli na drapieżnego zwierza, który padł pod licznymi razami. Po odniesionym zwycięstwie, gdy przy świetle zaczęto przyglądać się zwierzęciu, postrzeżono, że zamiast wilka leżał zabity gospodarz, co zniknął przed siedmią laty, a o którym wieść biegała, że był wilkołakiem. Żona jego wkrótce z zadanych ran umarła.

143. Kupiec poznański wilkołakiem

Ridt, kupiec poznański, trzymając się wyznania luterskiego i mając dom swój naprzeciwko nowego klasztoru benedyktynek, niechętnie słuchał śpiewania zakonnice i w gniewie raz wyrzekł:

— Wolałbym zdechnąć, niż słyszeć te wilcze głosy. Wkrótce potem nagle umarł, a w sam dzień rocznicy jego śmierci, gdy czeladź jechała przez las, w którym był skonał, aż oto wy- pada wilk srogi i zaczyna ją gonić. Kiedy się zatem ludzie Ridta do bronie na zwierza porywają, on rzecze:

— Stójcie, jam jest nieszczęsny pan wasz, Ridt, którym na tym miejscu tak rok nagle zdechł, jakom sobie życzył, pierwaj niżli był usłyszał zakonnice śpiewające, które żem zwał wilczycami, za to w tej postaci aż do dnia sądnego chodzić będę i jestem wiecznie potępionym.

144. Mądry Uburtis i diabeł

Każdego razu, kto tylko przechodził mimo góry Dżuga, postrzegał tam Niemczyka w kusym fraczku przeskakującego z drzewa na drzewo. Wszyscy tę górę omijali ze strachem; bo kto tylko do niej się zbliżył, wnet go duch nieczysty w rozmaite wyzywał zakłady, a po przegraniu porywał i dusił.

Jeden więc odważny wieśniak imieniem Uburtis przyszedł do bagna leżącego tuż przy górze i począł pleść łapcie dla siebie z łyka łoziny rosnącej w tamtym miejscu. Po kilku chwilach przychodzi diabeł.

— Co tu robisz, człowiecze?

— Łapcie plotę.

— Któż ci to pozwolił?

— Kiedy co robię, nikogo o pozwolenie nie pytam.

— Jak śmiesz na mojej ziemi i z moich drzew zdzierać łyko! Ja jestem panem tych okolic, jeżeli więc nie wygrasz zakładów, jakie ci przełożę, natychmiast zginiesz.

— Zgoda. A gdy wygram, co mi dasz?

— Kapelusz pieniędzy.

— Jakież więc będzie pierwszy zakład?

— Spróbujemy się, kto silniejszy.

— Dobrze.

— No! Mocujmy się.

— Dałbyś sobie pokój, co tobie ze mną się porywać, kiedy ty nawet mojego stuletniego dziada, który oto o kilka kroków śpi, nie zmożesz.

To mówiąc, Uburtis wskazał na leżącego niedźwiedzia. Diabeł podskoczył ku niemu i chwycił oburącz za szyję. Niedźwiedź rozjątrzony rzucił Niemczyka o ziemię i począł chłostać swą łapą. Zmordowany, zbity, ledwie się wydobył biedny diabeł z uścisków niedźwiedzia.

— No, jeden zakład wygrałeś. Teraz drugi: rzucajmy, kto dalej zarzuci — to mówiąc, porwał blisko leżący ogromny kamień i cisnął w powietrze, kamień spadł za trzy godziny.

Uburtis zaś miał w ręku skowronka i puścił. Głupi diabeł rozumiał, że to kamyczek. Czekają godzinę, czekają drugą, trzecią, czwartą, piątą i jeszcze dłużej — nie spada.

— Wygrałeś, człeczce, drugi zakład — teraz trzeci: kto z nas pędzszy, ty uciekaj, ja będę gonił.

— Co tobie diable ze mną się porywać, ty nawet mego dziecięcia urodzonego wczoraj nie dopędzisz. Jeśli chcesz, spróbuj się z nim.

To mówiąc postraszył w łomie leżącego zająca. Zając skoczył i począł zmykać. — Łapaj! łapaj! — Diabeł popędził za zającem i nic nie wskórawszy powrócił.

— Twoja prawda, człeczce, wygrałeś. No, jeszcze ostatni zakład i pieniądze będą twoje. Oto widzisz tę kulę, waży ona funtów sto tysięcy — kto z nas wyżej wyrzuci?

— Ty najprzód próbuj, diable.

Diabeł chwycił kulę jedną ręką i wyrzucił tak wysoko, iż z oczu zniknęła, a gdy spadła, połowa zaryła się w ziemi.

— Teraz na ciebie kolej, człeczce.

Człowiek przyłożył rękę do kuli i począł przypatrywać obłokom, które po niebie się przesuwają.

— Czegóż się tak przypatrujesz? — rzekł diabeł.

— Czekam, aby ta ogromna chmura nadeszła. Mój brat jest w niebie kowalem i teraz bardzo potrzebuje żelaza; on siedzi za tymi obłokami i czeka, abym mu kulę podał.

— Ach! Zmiłuj się, dobry człeczce, nie rzucaj, ona mi jest bardzo potrzebną. Wiem, że jesteś silny. Wygrałeś wszystkie zakłady, a więc daj mi swój kapelusz dla napełnienia go złotem.

— Dobrze, chodź ze mną w głąb lasu, a tam mi oddasz należną kwotę.

Człowiek miał już od dawna wykopaną ogromną jamę, nad którą postawił swój dziurawy kapelusz, zakrywający darniną wszystkie naokoło otwory, aby diabeł jego sztuki nie poznał.

— Oto, panie diable, mój kapelusz, syp pieniądze. Diabeł wsypał jeden wór złota, w kapeluszu ani znaku, przy- niósł drugi — ani znaku, wysypał trzeci, czwarty, dziesiąty, setny. A gdy już napełniło się miejsce w jamie, napełnił nareszcie i kapelusz.

Od tego czasu nigdy diabeł nie pokazał się na górze Dżuga. Uburtis zaś stał się bogatym, zbudował sobie nowy dom, nakupił miodu, wódki i co dzień pił krupnik. I ja u niego byłem, jadłem i piłem, przez brodę ciekło, a w zęby się nie dostało.

145. Chłopski rozum

Jeden chłop zostawszy bardzo ubogim, gdy nie miał innego sposobu, sprzedał diabłu duszę za pieniądze: wszelako przy kupnie położył warunek, że wtedy będzie do niej miał prawo, kiedy wszystkie liście opadną z drzewa. Diabeł przystał, myśląc, że w jesieni przyjdzie jak po swoje. Ale gdy jesień nadeszła i diabeł przyszedł upominać się, chłop pokazał mu sosny zawsze zielone i zadrwił sobie z niego.

Inny znowu wieśniak brał od diabła złoto na miarę ćwierci bez dna, pod którą był dół głęboki, a w terminie oddał tą ćwiercią, ale dno wprawiwszy.

Z innym chłopem stracił diabeł na w spółce w ten sposób: Poczeli razem warzyć piwo. Chłop smaczne zrobił, a diabeł, co mu pomagał, gdy cały war był w kadzi, rzekł: — Dzielmy się teraz. — Dzielmy — kmieć odpowie i zabiera z wierzchu z musem piwo, diabłu drożdże zostawiwszy.

Widzi diabeł, że źle, a gdy się kurczy pocierając żywot, co go bolał, gdy się opił drożdży burzących, rzekł znowu: — Siejmy i zbierajmy razem — Dobrze — odrzekł chłop i zasiał rzepę. Diabeł już teraz mądrzejszy, bierze z wierzchu; dostały mu się liściaste nacie, a chłopu smaczna rzepa.

Złe! — pomyślał sobie bies — pomszczę się na chamie — dalej, kmotrze. — Rzucajmy w górę, kto z nas mocniejszy? I porwał chłopą, zamiótł po piasku, rzucił w górę, aż nad komin swojej chałupy wyleciał.

— Mocnyś, diable — rzekł kmieć, co zbladł nieco, bujając tak wysoko — teraz na mnie kolej i porwał diabła w poły, ścisnął, ale miasto rzucić, w górę wlepił oczy, patrzy się w miesiąc, co był w pełni. Zdziwiony diabeł pyta: — Czego tam ślepisz?

— Patrę, mój kmotrze, czy się mój rodzic na miesiącu nie pokaże, co cię jak rzuć, odbierze.

Diabeł na to w przestachu wyrwał się z rąk chłopą i uciekł jak oparzony.

146. Wesele zamienione w wilkołaki

Przez jedną wieś nad Bugiem przechodził żołnierz w czasie wesela. Pan młody, rozgrzany trunkiem, wybiegłszy z chaty poszczuł go psami. Oburzony żołnierz niegościnnością zawołał drżąc z gniewu: — Pamiętaj! Ty co mnie szczujesz psami, zobaczysz, jak na ciebie będą te same psy szczekać. — To wymówiwszy zaklął całe wesele w wilkołaki, które wielkie szkody w bydło narobiły i nie- mało ludzi pożarły. Później w trzy lata, w czasie obławy na wilki, zabito trzech wilkołaków zaklętych z owego wesela. Dowody były oczywiste, albowiem pod skórą jednego z nich znaleziono skrzypce z całym przyborem grajka; pod skórą drugiego strój pana młodego, u trzeciego zaś panny młodej. Przed tą jeszcze obławą, skoro wieść o tym wypadku zaczęła się rozchodzić, jeden ze śmielszych ruskich wieśniaków postanowił odczarować te wilkołaki i przywrócić im postać ludzką. W tym celu wziąwszy z sobą prosię pieczone, chleb i widły chodził po okolicy, ale szukał ich daremnie. Gdyby którego napotkał, miał rzucić chleb i prosię, a gdy wilkołak żarłby to z chciwością, uderzyć go miał widłami między ślepie i takim sposobem wrócić mu ludzką postać.

147. Paproć

Paproć kwitnie tylko o północy, w dzień św. Jana, i to jedną krótką chwilkę, bo zaledwie kwiat się pokaże, natychmiast niknie; który człowiek byłby tak szczęśliwym, iż by dostał kwiatu paproci (co ma być tak drobnym, że za paznokciem wygodnie się zachować może), nie tylko znalazłby ogromne skarby, których diabeł pilnuje, ale nadto ciemna zasłona przyszłości nie zakrywałaby oczom jego nieprzewidzianych zdarzeń i wypadków; słowem byłby tak, jak za czasów Pana Jezusa. Ale na próżno wielu kusiło się o tak ważną zdobycz, na próżno umyślnie czatowano. Okropność, jaka towarzyszy chwili rozkwitania kwiatu paproci, najodważniejszych i siły, i przytomności pozbawiła. Skoro bowiem przyszła północ i chwila rozkwitania cudownego kwiatu, straszne trzęsienie ziemi, bicie piorunów przy jaskrawych błyskawicach, wycie wichru i śmiech diabelski towarzyszą ciągle.

Jeden wieśniak dostał go mimowolnym sposobem. Szukał on od dni kilku zbłąkanej krowy. Właśnie w przed j utrze św. Jana szedł zasmucony o północy, gdy przypadkiem w łapcie wpadł mu kwiat paproci. Natychmiast znalazł obłąkaną krowę, dowiedział się o skrytych rozlicznych skarbach i cała przyszłość w widnej postaci stanęła mu na oczy. Biedak nie wiedział, że ma kwiat tak cudowny. Wróciwszy do domu rozszedł się z łapci i kwiat zgubił. Po tej stracie przyszłość mu znowu ściemniała, jak dawniej, zapomniał o skarbach i tę tylko korzyść odniósł, iż znalazł zbłąkaną krowę.

148. Początek wierzby

Niewiasta pewna, nazywająca się Blinda, miała szczególny dar wydawania na świat mnogiego potomstwa z niewypowiedzianą łatwością, tak dalece, że nie tylko sposobem przyrodzonym rodziła, ale z rąk, nóg, głowy i innych części ciała wydawać mogła dzieci. Ziemia, najpłodniejsza z matek, pozazdrościła jej takiej płodności, przeto razu jednego, gdy szła Blinda przez łąkę, która grzeską była, nogi jej uwięzły w ziemi i tak mocno ziemia ścisnęła stopy, że z miejsca zejść nie mogła i przemieniła się w drzewo wierzbowe. To dało powód, iż między gminem uważają wierzbę za drzewo święte i przypisują jej zbawienny wpływ na płodność.

149. Homen

Rusin jeden, straciwszy żonę i dzieci przez dżumę, uciekł w lasy z opustoszałej chaty i tam szukał ocalenia. Błądził dzień cały; nad wieczorem zrobił z gałęzi budę, rozpałił ognisko i strudzony usnął. Już było po północy, gdy go mocny odgłos zbudzał. Staje na nogi, słucha: jakieś go śpiewy dochodzą z dala, a przy śpiewie głos bębenków i piszczałek. Słucha dziwiąc się, że gdy wkoło śmierć grasuje, tam się cieszą tak radośnie.

Odgłos słyszany zbliżał się coraz i wystraszony wieśniak ujrzał szeroką drogą ciągnący się homen. Był to orszak mar dziwaczych, co otaczał wóz wokoło, wóz był czarny i wyniosły, a na nim siedziała dżuma. Za każdym krokiem coraz zwiększała się straszliwa drużyna, bo po drodze wszystko niemal przerzucało się w widmo.

Słabo tlało jego ognisko; głównia spora dymiła jeszcze nieco: zaledwo zbliżył się homen, głównia stanęła na nogach, wyciągnęła dwa ramiona, a zarzewie zajaśniało dwoma błyszczącymi oczyma i razem z innymi śpiewać zaczęło.

Oślupiał wieśniak; w niemym przestraszeniu porywa siekierę i najbliższą chce uderzyć matkę, ale siekiera z rąk mu ulata, przerzuca się w wyniosłą niewiastę z kruczym warkoczem i śpiewając powiała mu przed oczyma. Homen szedł dalej, a Rusin widział, jak drzewa, krzaki i sowy, i puchacze wysokie przybierając postacie zwiększały ten orszak, straszny zwiastun okropnej śmierci. Upadł bez siły, a gdy rano ciepło słońca go zbudziło, sprzęty, jakie uniósł, były połamane i potłuczone, odzienie podarte, jadło zepsute. Poznał, że nie kto inny, jak homen, tyle mu psot wyrządził. I dziękując Bogu, że choć z życiem ocalał, poszedł dalej szukać przytułku i jadła.

150. Madej

Jechał kupiec przez las gęsty, ciemny; błądził długo i w pomroce nocnej ugrzązł w bagnie bez ratunku. Zasmucony począł rozpaczać, gdy nagle w postaci ludzkiej zły duch mu się pokazał.

— Nie smućcie się, człowieku! — wyrzekł do kupca — ja was wyciągnę z błota i do domu wskażę drogę, ale pod warunkiem, że to, co masz w domu, a o czym ty nie wiesz, moją zostanie własnością.

Kupiec pomyślał trochę i przystał rad na podany warunek, nie wiedząc, że żona powiła mu, podczas gdy był w podróży, urodne- go syna. Diabeł wyciągnął go z błota, wyprowadził na szeroki gościniec, a zmusiwszy kupca do wydania cyrografu, raz jeszcze umowę przypomniał i zniknął.

O ile z radością powitał żonę tak dawno nie widzianą, o tyle zasmucił się widząc ładnego syna, którego już złemu duchowi zapisał. Skrycie płakał nieraz poczciwy kupiec, tając łzy gorzkie przed żoną, tymczasem dziecię w pacholę wyrosło.

Było ciche, spokojne i chętne do nauk; w piątym roku już dobrze czytało i pisało, co tym więcej strapione serce ojca jątrzyło, że z dziecięciem tak lubym wkrótce się rozstać musi, oddając na ofiarę diabłu.

Małe pacholę, doszedłszy lat siedmiu, uważało smutek ojca i łzy rzewne, ile razy zapatrywał się w jego urodne oblicze. Tyle przeto prosił, tyle nalegał, że kupiec wyjawiał mu wszystko.

— Nie troszcz się, mój rodzicu, Bóg mi dopomoże, ja pójdę do piekła i cyrograf odbiorę.

Płakała matka, płakał i ojciec, błogosławiąc na tak daleką drogę chłopczyńkę, który zrobiwszy potrzebny przybór, niebawem wyruszył z domu.

I szedł długo i daleko, aż zawędrował w puszcę ciemną i straszną, a tu w jaskini ukrytej zamieszkał rozbójnik Madej.

Morderca własnego ojca, matkę jedno zachował przy życiu, co mu gotowała strawę. Nikomu nie podarował życia; kogokolwiek dostał, bez litości zabijał. Matka, podeszła niewiasta, zabłąkanych podróżnych w jaskini przechowywała, ale Madej miał węch tak doskonały, że wracając do jaskini, zaraz zwietrzył ludzkie mięso.

Chroniąc się przed burzą, przypadkiem zaszło tam nasze pacholę; stara, litując lat młodych, ukryła go w ciasnym zakątku jaskini, lecz Madej zaledwie wpadł do niej, poczuł świeżego człowieka. Już biedne dziecię nachyliło głowę pod zabójczą pałkę, kiedy rozbójnik dowiedziawszy się, gdzie idzie, podarował mu życie z warunkiem, ażeby zobaczył w piekle, jakie dlań zgotowano po śmierci męczarnie.

Pacholę, równo ze świtem puszczając jaskinię, prędko dostało się do piekielnej bramy; święconą wodą i obrazkami, które przylepiał, otworzyła się snadnie. Zaskoczył mu Lucyper z zapytaniem, czego żąda.

— Cyrografu na moje duszę przez ojca mego wydanego.

Hetman piekielny kropiony święconą wodą, chcąc go pozbyć czym prędzej, wydać cyrograf rozkazał, ale trzymał go jeden kulawy diabeł, a choć parzony kropidłem święconej wody, nie chciał wrócić cyrografu.

Rozgniewany Lucyper: — Weźcie go na Madejowe łoże! — zawołał, a diabeł, przestraszony okropną męką, oddał pismo w tejże chwili.

Ciekawy chłopczyna poszedł zobaczyć tak straszliwe łoże. Było z żelaznej kraty, wysłane ostrymi nożami, igłami i brzytwami, pod spodem palił się ogień nieustanny, a z góry kapłała kroplami rozpalona siarka.

Wyszedł z piekła i szedł dzień jeden, dzień drugi, aż trzeciego zaszedł do tejże jaskini, gdzie go już oczekiwał zasmucony Madej. Doniósł więc o tym, co widział, rozbójnikowi. Zmartwił z przestachu zbrodzeń, a chcąc tak srogiej męczarni uniknąć, postanowił pokutować.

Wyszli więc razem z jaskini; Madej ukląkł w lesie, zatknął w ziemi przy sobie morderczą maczugę, wiedząc zaś, że młode pacholę poświęciło się na księdza, przyrzekł, iż dopóty czekać będzie na tym samym miejscu, dopóki nie zostanie biskupem.

Minęło lat, kilkadziesiąt, nim on chłopczyna wyszedł na dostojność biskupią.

Raz przejeżdżając puszcza ciemną i gęstą, niezajrzaną okiem, doszedł go jabłek zapach przyjemny. Rozkazuje więc swej służbie tego owocu wyszukać; dworzanie wkrótce wracają i donoszą, że w pobliżu jest piękna jabłoń, ale żadnego nie da sobie urwać jabłka, przy niej zaś klęczy starzec siwobrody.

Biskup wysiada z powozu, idzie na wskazane miejsce i z podziwieniem poznaje Madeja, okrytego siwizną, z długą, do ziemi zarosłą brodą, który go o wysłuchanie spowiedzi i rozgrzeszenie prosił. Przychylił się kapłan do jego prośby, dworzanie z osłupieniem widzieli, jak w czasie spowiedzi jabłko po jabłku zamienione w białe gołąbki znikwały w powietrzu. Jedno tylko pozostało jabłko, była to dusza ojca Madeja, którego sam zamordował, a ten grzech ciężki utaił, lecz gdy wyznał i ten grzech ostatni, ostatnie jabłko przemienione w siwego gołąbka za innymi uleciało.

Modlił się gorąco biskup nad grzesznikiem, a gdy dał mu rozgrzeszenie i trącił palcem, ciało Madeja w drobny proch się rozsypało.

151. Iskrzycki

Pewien pan w okolicach Tarnowa potrzebował ekonoma. Jak raz jawi się nieznajomy człowiek, powiada, że się zowie Iskrzycki i prosi, aby jemu ten obowiązek powierzono. Pan przystaje, przychodzi do umowy, później do zgody, na koniec do kontraktu: już i kontrakt podpisany, już go pan wręcza nowo przyjętemu, kiedy znienacka postrzeżę, że Iskrzycki nie ludzkie ma pazury.

Zmieszał się obywatel, waha się jakąś chwilę, w końcu zrywa całą umowę i służbę Iskrzyckiemu wypowiada. Ale Iskrzycki ani da sobie mówić o odprawie; przysięga, że raz podpisawszy kontrakt musi — mimo woli pana — dopełnić wszystkich jego warunków; z tym zapewnieniem wychodzi i ginie.

Odtąd nie pokazał się już nikomu, ale obrał sobie mieszkanie w piecu i stamtąd wszystkie usługi najgorliwiej na każde zawołanie pełnił. Państwo bali się z początku, lecz z wolna tak przywykli do niewidomego sługi, tak byli pewni jego dobrych chęci, że wyjeżdżając z domu oddawali mu dzieci w dozór.

Z tym wszystkim samej pani swędziło gadanie sąsiadek, że w domu swoim diabła przechowuje; nastaje tedy na męża, aby na czas pewny przemienić mieszkanie. Mąż wypełnia wolę żony i bierze dzierżawę gdzieś za Wisłą; wyjeżdżają na nowe siedlisko radzi, że z diabła zażartowali. W drodze wypadło przebywać jakieś miejsce tak złe czy niebezpieczne, że pani krzyknęła ze strachu, aż tu za powozem dało się słyszeć:

— Nie bój się, pani! Iskrzycki z wami.

Zdumieni państwo pomiarkowali, że nie było sposobu rozstania się z tak wiernym sługą; wrócili do domu i żyli z nim w dawnej zgodzie, póki termin kontraktu przeznaczony nie rozłączył ich na zawsze.

152. Boruta

Zamek łęczycki stoi wśród błot nad Bzurą, w jego lochach siedzi diabeł Boruta i pilnuje ogromnych skarbów. Krąży o nim takie podanie:

Pewien ksiądz z Łęczycy zaproszony jadąc na obiad, przy pacierzach porannych przewidując, że nie będzie miał czasu, odmawiał i modlitwy nieszporne. Właśnie przebywał groble wśród błota, gdy napotka wieśniaka, który go z rubaszną pozdrawia miną i tymi słowami: — Dobry wieczór, księżu! — Zdziwiony pleban odpowiada: — A wszakże to nie wieczór, ale rano. Na to wieśniak rzecze z szyderstwem: — Musi być wieczór, kiedy już po niesporach. — Przelękniony pleban poznał, z kim rozmawia, i prędzej pojeżdżać kazał. Był to Boruta, co przybrał na się postać rubasznego wieśniaka.

Inną razą Boruta uprzykrzywszy sobie siedzieć na skarbach w lochach łęczyckich umyślił przejść się po okolicznej szlachcie. Przypadkiem trafił na wesele, pił i hulał; a podochociwszy sobie wdał się w kłótnię, tak że musiał stanąć szlachcicowi do korda, który, że był zawołanym rębaczem, uciął mu od razu pazur u łapy.

Odtąd Boruta nie chce wyłazić z lochu, bo mu wstyd, że go szlachcic obciął tak szkaradnie.

* O Borucie krąży też powieść i w Litwie nadniemieńskiej.

153. *Twardowski*

Twardowski był dobry szlachcic, bo po mieczu i kądzieli. Chciał mieć więcej rozumu, niż mają drudzy poczciwi ludzie, i znaleźć od śmierci lekarstwo, bo nie chciało mu się umrzeć.

W starej księdze raz wyczytał, jak diabła przywołać można:

o północnej przeto dobie wychodzi z Krakowa, kędy leczył w całym mieście i przybywszy na Krzemionki, zaczął biesa głośno przywoływać. Stał prędko zawezwany; jak w one czasy bywało, zawarli z sobą umowę. Na kolanach zaraz diabeł napisał długi cyrograf, który własną krwią Twardowski, wyciśniętą z serdecznego palca, podpisał.

Między wielą warunkami był ten główny: że dopóty ni do ciała, ni do duszy czart nie ma żadnego prawa, dopóki Twardowskiego w Rzymie nie ułapi.

Na mocy tej to umowy diabłu jako swemu słudze rozkazał naprzód, by z całej Polski srebro naniósł w jedno miejsce i piaskiem dobrze przysypał. Wskazał mu Olkusz; posłuszny służka dopełnił rozkaz wydany i z tego srebra powstała sławna kopalnia srebra w Olkuszu.

Wszystko, co jeno zażądał żywnie, miał na swoim zawołaniu: jeździł na malowanym koniu, latał w powietrzu bez skrzydeł, w daleką drogę siadł na kogucie i prędzej biegał niż konno; pływał po Wiśle ze swoją kochanką wstecz wody bez wiosła i żagli, ogromny kamień pod Czerwińskiem sam przyniósł i jednej nocy wykopał pod Knyszynem staw — Czechowizną zwany.

Upodobawszy jedną pannę chciał się ożenić, ale panna chowała we flaszcze robaka i pod tym warunkiem obiecywała oddać temu rękę, kto zgadnie, co to za robak?

Twardowski w ciemność nie bity, przebrał się za dziada i przyszedł do ładnej panny. Pyta go zaraz ukazując z dala flaszczykę:

Co to za zwierz, robak czy wąż? Kto to odgadnie, będzie mój mąż.

A Twardowski odrzekł na to: — To jest pszczołka, mościwa panno! Zgadł w istocie i wnet się ożenił.

Pani Twardowska na rynku krakowskim ulepiła z gliny domek i w nim przedawała garnki i misy. Twardowski za bogatego przebrany pana, przejeżdżając z licznym dworem, tłuc je zawsze czeladzi kazał. A kiedy żona ze złości wyklinała w pień, co żyje, on siedząc w pięknej kolasie śmiał się szczerze z tej psoty.

Złota miał zawsze by piasku, bo co chciał, to diabeł znosił. Kiedy długo dokazuje, raz był zaszedł w bór cienisty bez narzędzi czarnoksiężkich. Zaczął dumać zamyślony; nagle napada go diabeł i żąda, aby niezwłocznie udał się do Rzymu.

Rozgniewany czarnoksiężnik mocą swojego zaklęcia zmusił biesa do ucieczki, zgrzytając kłami ze złości, wrywa sosnę z korzeniem i tak silnie Twardowskiego uderzył po obu nogach, że jedną zgruchotał całe. Od onej doby już był kulawy i zwany odtąd powszechem nie kuternogą. W ostatku sprzykrzywszy sobie, zły duch czekając dość długo na

duszę czarnoksiężnika, przybiera postać dworzana i jak biegłego lekarza zaprasza niby do swojego pana, że potrzebuje pomocy. Twardowski za posłańcem spieszy do jednej wsi w Sandomierskiem, nie wiedząc, że w niej się gospoda nazywała „Rzymem”.

Skoro tylko próg przestąpił onej karczmy, mnóstwo kruków osiadło dach cały i wrzaskliwymi głosy napełniało powietrze. Twardowski od razu poznał, co go może tutaj spotkać, więc z kołyski dziecię małe, świeżo dopiero ochrzczone, porywa na ręce i zaczyna piastować, gdy w własnej postaci wpada diabeł do izby.

Chociaż był pięknie ubrany, miał kapelusz trójganiasty, frak niemiecki z długą na brzuch kamizelką, spodnie krótkie i obcisłe, a trzewiczki ze sprzączkami — wszyscy poznali go od razu, bo wyglądały rogi spod kapelusza, pazury z trzewika i harcap z tyłu.

Już chciał porwać Twardowskiego, gdy spostrzegł wielką przeszkodę, bo małe dziecię na rękę, do którego nie miał prawa. Ale bies wnet znalazł sposób, przystąpił do czarownika i rzecze: — Jesteś dobry szlachcic, zatem *verbum nobile, debet esse stabile*.

Twardowski widząc, że nie może złamać szlacheckiego słowa, złożył w kołysce dziecię, a wraz ze swym towarzyszem wylecieli wprost kominem.

Zawrzało radośnie stado kruków. Lecą wyżej, coraz wyżej. Twardowski nie stracił ducha: spojrzę na dół — widzi ziemię i miasto Kraków.

Żal mu szczery serce ścisnął: tam zostawił wszystko, co kochał w życiu, ozwało się w nim uczucie z lat niewinności i zanucił godzinki. Bowiem w młodości swojej, kiedy był pobożny, ułożył był kantyczki na cześć Marii i Jezusa.

To go uratowało od piekielnej mocy, albowiem gdy skończył ona pieśń, poznał zdziwiony, że już więcej w górę nie leci i że zawisł w powietrzu. Oglądnie się koło siebie, już nie widzi towarzysza swej podróży, głos tylko mocny słyszy nad sobą:

— Zostaniesz do dnia sądnego zawieszony jak teraz!

Dziś, gdy miesiąc zejdzie w pełni, pokazują czarną plamkę, która jest ciałem Twardowskiego zawieszonym do dnia sądnego.

154. Dziewięć groszy

Mieszkał w Bydgoszczy szlachcic polski, który piękny majątek osiągniony po przodkach zmarnowawszy, po kraju się włóczył. Przypadek sprowadził Twardowskiego do tegoż miasta. Z nim marnotrawca znajomość zawiera, stanu swojego się zwierza i aby go swą cudowną sztuką z niedostatku wydzwignął, prosi. Lituje się Twardowski, proszącemu daje radę, zalecając, iż od ścisłego jej dopełnienia wszystko zależy.

— Idź! — rzecze — i szukaj puste na ustroniu chaty i miawszy ze sobą dziewięć pieniążków, ani mniej, ani więcej, będziesz je bez ustanku liczył, powtarzając zawsze od jednego do dziewięciu i na odwrót od dziewięciu do jednego, aż dobrze dzień zacznie. Strzeż się zaś najusilniej pomyłki, boby to wszystko zepsuło. Strachów się żadnych nie lękaj, bo

ja cię zapewniam, iż te nic złego ci nie zrobią. Gdy to dopełnisz, staniesz się bogatszym panem, niżeli byłeś, i nigdy ci na pieniądzech zbywać nie będzie.

Słucha rady chudzina, znajduje pustą chatę, siada i natężoną myślą, aby się nie pomylił, dziewięć groszy rachuje. Już dzień miało, gdy czart w Twardowskiego postaci przed nim staje: i czy by się nie mylił? — pyta.

Ten odpowiada z radością, że nie. — Rachuj że! — rzekł mu — dalej, bo dzień niedaleko. — I zniknął.

Chce nieborak liczyć, ale na czym stanął, nie pamięta. Otóż po bogactwach! Wychodzi pełen rozpaczy, ale mu diabli drogę zastąpili. Od nich stłuczony i zbity, ledwie się biedak do miasta za- czołgał; a żalując swojego postępu, resztę życia pokucie poświęcił w mni- szym kapturze i w bydgoskim klasztorze reformatem został.

155. Odmłodzenie się Twardowskiego

Twardowski, który całe życie pracował, aby się wykręcić od śmierci, wynalazł wresz- cie sposób pewny. Na kilka lat przed porwaniem swojemu zaufanemu uczniowi kazał się posiekać w kawałki i przepisał mu, jak dalej ma postępować. Uczeń rozgłosił śmierć Twardowskiego; jakoż znikł czarnoksiężnik, a tymczasem krajał ciało jego, siekał, goto- wał zioła i maście. Tak posiekawszy, maścią nasmarował, polał sokami roślin i złożył na powrót ciało jak należy. Nie pochowano je na cmentarzu, ale pod murem otaczającym wkoło. Twardowski polecił, aby przez trzy lata, siedm miesięcy, siedm dni i siedm godzin leżało ciało nie odkrywane. Wierny uczeń dotrzymał wiernie i przepisu, i czasu odkopania grobu.

O północy w pełni księżyca sam z rydlem, zapaliwszy siedm świec z tłustości trupiej, wziął się do roboty, zrzucił ziemię i oderwał nadgniłe wieko. Jakież podziw! Zwłoki Twar- dowskiego znikły, w miejscu wiórów, na których leżały, kwitły wonne fiołki i macierzan- ka; na tej to murawie spoczywało snem ujęte nadobne dzieciątko zachowawszy w zdrob- niałych rysach oblicze Twardowskiego. Wyjął to dziecię — zaniósł do domu; przez noc urosło, by przez rok; za siedm dni już mówiło tak o wszystkim, jak Twardowski, w sied- miu miesiącach urosło w młodzieńca. Wtedy zaczął znowu pracować odrodzony Twar- dowski w czarnoksiężskiej sztuce; wynagrodził sownie wiernego ucznia, wszakże zaraz, żeby tajemnica odrodzenia nie wyszła na jaw, zaklął go w pająka, trzymał w swojej kom- nacie mając o nim czułe staranie.

Kiedy potem diabli porwali Twardowskiego z karczmy, a on pająk, ile razy z domu wychodził, przyczepiał się doń nitką — i zawiesili w powietrzu, pająk, wierny towarzysz przyczepiony co jego nogi, spuszcza się na swojej nici ku ziemi, przygląda, co się dzieje, wraca na powrót i usiadłszy na uchu rozpowiada mu, co widział i usłyszał, czym nędzarza pociesza.

156. Cień Barbary

Żałosny król Zygmunt August po stracie ulubionej swej żony, Barbary Radziwiłłówny, cień jej przynajmniej oglądać pragnął. W wychowaniu niewieścim młodości swojej nasłuchał się tysięcznych powieści, jak dusze osób zeszyłych, lub same dobrowolnie, lub wywołane sztuką czarnoksiężką, ukazywały się żyjącym. O możliwości więc nie wątpił, chęci swej zwierzył się dworakom ubiegającym się w staraniach zadosyć uczynienia żądy swego pana. Sprowadzono zewsząd do dworu ludzi w sztuce czarnoksiężskiej biegłych, obiecano sowitą nagrodę, kto by dokazał tego, iżby król skutkiem swych chęci pocieszony został. Podjął się tego Twardowski, czego inni nie śmieli i królowę Barbarę chodzącą królowi pokazać przyrzekł. Zawierza król przyrzeczeniu i czasu ku temu przeznaczonemu z największą niecierpliwością oczekuje. Ostrzega tylko Twardowski Augusta, aby w milczeniu i spokojnie siedząc na widok ukazującej się królowej z miejsca się swego nie ruszył, inaczej za duszę i za życie króla nie zaręcza.

Poddaje się August tak twardemu i tak trudnemu do zachowania warunkowi, byle dopiąć celu swych chęci. Nadeszła pożądana chwila; wywołana z cieniów śmiertelnych zjawia się mara. Ledwie zdołał Twardowski na miejscu króla zatrzymać, tak żywo się porwał i chciał lubą marę uściskać, aż wtem widmo zniknęło.

157. Zwierciadło Twardowskiego

W Węgrowie, w kościele farnym, znajduje się w zakrystii zwierciadło z metalu białego, płaskie, wysokie cali 22, szerokie 19, z fasetką dokoła, w czarne, szerokie, staroświeckie ramy oprawne, przezroczyste, żadnej skazy na sobie nie mające, rozbite tylko u dołu na czwartą część wysokości.

Podanie miejscowe niesie, że studenci ciskali dawniej w to zwierciadło ciężkimi rzeczami, dlatego, że w nim pokazywały się rozmaite postacie drażniące i straszące ich; na ostatek jeden uderzywszy kluczami kościelnymi roztrzaskał je w ten sposób, iż odtąd dziwacznymi potworami więcej ich nie straszycyło. Zwierciadło to należało do czarnoksiężnika Twardowskiego, jak sam napis na ramach białymi literami wyraża:

*Luserat hoc speculo magicus Twardomus artes,
Lusus at iste, Dei versus in obsequium est.*

Zwierciadło to zawieszono wysoko nad drzwiami dlatego, iż straszycyło wpatrujących się w takowe; księża szczególnie ubierając się do mszy przeglądać się w nim nie mogli, gdyż diabeł zwykle się pokazywał.

158. Liber magnus

I

Z pazura lwa poznać, a z dzieł życie człowieka. Jakie życie prowadził ów sławny czarnoksiężnik Twardowski, jak je skończył, wykazuje owe dzieło jego czarodziejskie, czyli rękopism, który po śmierci króla Zygmunta Augusta, z daru jego, z wielą innymi księgami wileńskiemu domowi jezuitów się dostał; o którym ksiądz Szpot pisze, iż słyszał z ust księdza Daniela Butwiła, naówczas pomocnika przełożonego nad księgozbiorem wileńskim, który mu wskazał miejsce osobne, gdzie książka rzeczona Twardiowskiego łańcuchem żelaznym do muru przykuta była. Gdy ów ksiądz ciekawością zjęty, co by zawierała, czytać ją zaczął, dał się słyszeć zgiełk i łoskot okropny w książnicy; zbiegły się snadź złe duchy, a ksiądz przelęknięty rzuciwszy książkę ledwie do pobliskiej izby zemknął zdążył i całą noc potem z przestachu bezsennością przepędził. Nazajutrz rano wezwawszy drugich, wszedł do książnicy, ale już owej książki nie znalazł, ani mógł wiedzieć, gdzie by się podziała.

II

Księga ta znajdowała się potem w książnicy krakowskiej. Pewien żak słyszał, że kto by w niej czytał, temu diabeł się objawi i spełni rozkaz, jaki mu wyda czytający. Zakradł się więc pewnej nocy, otworzył ją i czytał formuły czarnoksiężskie. Wtem diabeł stanął przed nim w straszliwej postaci i zapytał: — Czego żądasz? — Żak, który się nastraszył niezmiernie, zamiast powiedzieć: — Chcę pieniędzy! — jak był sobie ułożył, rzekł: — Chcę pietruszki! — Posłuszny rozkazowi diabeł zaczął nosić i drzwiami, i oknami pietruszkę, ale szczęściem, że kur zapiał, więc musiał zaprzestać roboty.